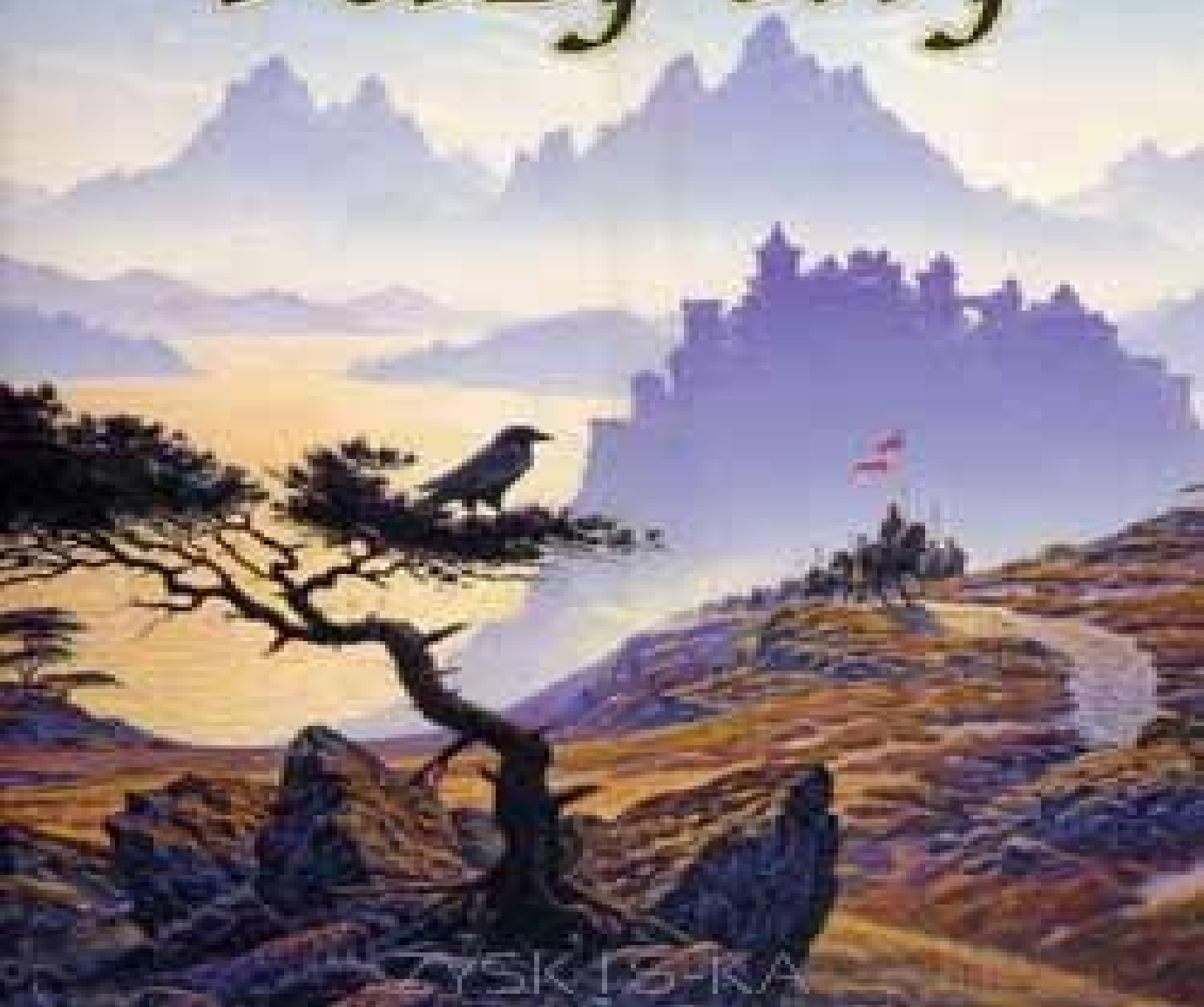


POUL ANDERSON

Trzy serca
i trzy lwy



Poul Anderson

Trzy serca i trzy lwy

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[PROLOG](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[EPILOG](#)

PROLOG

Upłynęło już tyle czasu i czuję, że opisanie tej historii stało się moim obowiązkiem. Spotkaliśmy się, Holger i ja, przed ponad dwudziestu laty. Wtedy było inne pokolenie, inne czasy. Promienni chłopcy, których teraz uczę są oczywiście bardzo mili, ale oni i ja nie myślimy już tym samym językiem i nie ma sensu udawać, że jest inaczej. Wątpię, czy byliby w stanie zaakceptować tego typu opowieść. Są bardziej trzeźwi, niż byliśmy my, moi przyjaciele i ja, i chyba czerpią z życia mniej przyjemności. Jednak z drugiej strony – oni przecież dorastali w otoczeniu rzeczy niezwykłych. Zajrzyjcie do jakiegokolwiek czasopisma naukowego, do jakiegokolwiek gazety, wyrzycie przez którekolwiek okno i zadajcie sobie pytanie czy to, co niezwykle nie stało się dla świata codziennością.

Mnie opowieść Holgera nie wydaje się nieprawdopodobna. Nie upieram się oczywiście, że jest prawdziwa, Nie mam żadnych dowodów, że jest tak lub inaczej. Mam jedynie nadzieję, że nie przejdzie ona zupełnie bez echa. Założmy, wyłącznie teoretycznie, że to, co usłyszałem było prawdą. W takim razie z tej opowieści wynikają konsekwencje dla naszej przyszłości i na pewno moglibyśmy jakoś tę wiedzę wykorzystać. Założmy z kolei, co oczywiście jest dużo rozsądniejsze, że była to relacja snu lub wręcz wyssana z palca bujda. Uważam, że nawet w takim przypadku jest ona godna utrwalenia, choćby dla niej samej.

Prawdą niepodważalną jest przynajmniej to: Holger Carlsen stawiał się do pracy w zespole inżynierskim, w którym i ja byłem zatrudniony jesienią odległego, 1938 roku. W ciągu kilku następujących miesięcy poznałem go dość dobrze.

Był Duńczykiem i jak większość młodych Skandynawów miał w sobie ogromną ciekawość świata. Jako chłopiec przemierzył na piechotę lub rowerem prawie całą Europę. Później pełen tradycyjnego w jego kraju podziwu dla Stanów Zjednoczonych załatwił sobie stypendium jednego z naszych wschodnich uniwersytetów i rozpoczął w nim studia na wydziale inżynierskim. W czasie letnich miesięcy chwycił się doraźnych prac i włóczył się autostopem po całej Ameryce Północnej. Tak bardzo polubił ten kraj, że po zrobieniu dyplomu znalazł sobie tutaj pracę i zaczął poważnie myśleć o naturalizacji.

Wszyscy byliśmy jego przyjaciółmi. Był sympatycznym, spokojnym facetem, mocno trzymającym się ziemi, z nieskomplikowanym poczuciem humoru i prostymi upodobaniami, jakkolwiek dość często popuszczał sobie cugli i wędrował do pewnej duńskiej restauracji, żeby zajadać się smorrebodem i zapijać akvavitą. Jako inżynier sprawiał się zupełnie zadowolająco, nawet jeśli nie był zbyt błyskotliwy – jego talenty skłaniały go raczej ku praktycznemu rozstrzygnięciu problemów "na oko", niż ku podejściu dogłębnie analitycznemu. Krótko mówiąc, jego umysłu na pewno nie można było określić jako wyjątkowy.

Zupełnie inaczej rzecz się miała z jego ciałem. Był ogromny, mierzył ponad dwa metry, ale miał tak szerokie bary, że wcale na ten wzrost nie wyglądał. Oczywiście grał w football i byłby z pewnością gwiazdą drużyny uniwersyteckiej, gdyby nauka nie zajmowała mu tyle czasu. Jego twarz miała dość nieregularne rysy, była kwadratowa, z wysokimi kośćmi policzkowymi i wyrazistym podbródkiem. Nos sprawiał wrażenie nieco wyszczerbionego. Całość fizjonomii uzupełniały jasnoblonde włosy i błękitne, szeroko rozstawione oczy. Gdyby był lepszy technicznie, przez co rozumiem przykładanie mniejszej wagi do zranionych uczuć miejscowych pań, mógłby być

prawdziwym pożeraczem serc. Jednak ta odrobina nieśmiałości chyba powstrzymywała go od większego niż normalny udziału w tego typu przygodach. Tak więc Holger był miłym, ale w sumie dość przeciętnym facetem, typem, który później określany był mianem "dusza – człowiek". ,

Opowiedział mi co nieco o swym pochodzeniu.

– Wierz w to lub nie – uśmiechnął się – ale ja naprawdę byłem podrzutkiem, no wiesz, dzieckiem zostawionym na progu domu. Musiałem mieć zaledwie parę dni, jak mnie znaleziono na podwórzu w Helsingor. To jest bardzo ładne miejsce, wy je nazywacie Elslynor, miasto rodzinne Hamleta. Nigdy się nie dowiedziałem, jak się tam znalazłem. Takie wypadki są w Danii bardzo rzadkie. Policja usilnie starała się czegoś dowiedzieć, ale do niczego nie doszli. Wkrótce zostałem adoptowany przez rodzinę Carlsenów, A poza tym w moim życiu, nie ma nic nadzwyczajnego.

Tak mu się wtedy zdawało.

Pamiętam, że kiedyś namówiłem go, żeby poszedł ze mną na wykład przyjezdnego fizyka, jednego z tych wspaniałych typów, które tylko Wielka Brytania zdawała się kształtować – naukowca. filozofa, poety, eseisty, kawalarza – słowem człowieka Renesansu, odrodzonego w nieco zlągodzonej formie. Omawiał on nowe teorie kosmologiczne. Od tamtych czasów fizycy posunęli się jeszcze dalej, ale nawet wtedy wykształceni ludzie z pewną dozą tęsknoty wracali do dni, w których wszechświat był tylko dziwny, ale nie niepojęty. Wykład został zakończony kilkoma dość daleko idącymi spekulacjami na temat tego, co może zostać odkryte w przyszłości. Jeżeli teoria względności i mechanika kwantowa dowiodły że obserwator jest nierozłączny ze światem, który obserwuje, jeżeli logiczny pozytywizm wykazał jak wiele z naszych pozornie nie dających się podważyć faktów jest tylko przypuszczeniami i wynikiem konwencji, jeżeli naukowcy wykazali, że umysł ludzki posiada umiejętności, o które go nigdy nie podejrzewano, to być może niektóre ze starych mitów i sztuk magicznych były czymś więcej niż tylko przesadami. Hipnotyzm i leczenie zaburzeń psychosomatycznych za pomocą czystej wiary były kiedyś odrzucane jako legenda. Ile z tego, co odrzucamy dzisiaj może być oparte na rzeczywistych obserwacjach, choćby wyrwykowych, dokonanych wieki temu, zanim jeszcze samo istnienie struktur naukowych zaczęło decydować o tym, jakie fakty miały szansę zostać odkryte, a jakie nie? A to pytanie dotyczy tylko naszego własnego świata. A co z innymi wszechświatami? Mechanika falowa już teraz dopuszcza możliwość istnienia odrębnego, koegzystującego z naszym wszechświata. Wykładowca powiedział, że nie jest rzeczą trudną wyprowadzenie równań dla nieskończonej ilości takich równoległych światów. Zgodnie z logiką w każdym z nich prawa natury muszą być choć odrobinę inne. Tak więc gdzieś w bezgranicznej, niezmierzonej rzeczywistości musi istnieć wszystko, co tylko można sobie wyobrazić!

Holger ziewał przez większą część wykładu, a kiedy potem poszliśmy na drinka rzucił kilka ironicznych uwag.

– Ci matematycy tak bardzo wysilają swoje mózgi, że nie należy się dziwić, iż po godzinach pracy popadają w metafizykę. Reakcja równa, odwrotnie skierowana.

– Używasz właściwego określenia, tyle że nieświadomie – powiedziałem złośliwie.

– To znaczy jakiego?

– Metafizyka. Oznacza to dosłownie – po lub poza fizyką. Innymi słowami tam, gdzie kończy się fizyka, którą znasz, którą mierzysz swoimi instrumentami i obliczasz na suwaku logarytmicznym; zaczyna się metafizyka. I w tym właśnie punkcie teraz jesteśmy, mój chłopcze – na skraju znalezienia się poza fizyką.

– Ha! – Wypił swego drinka i gestem poprosił o następny. – Widzę, że cię to wzięło.

– No cóż, może. Ale pomyśl chwilę. Czy my naprawdę z n a m y wymiary w fizyce? Czy nie definiujemy ich, odnosząc po prostu jeden do drugiego? W sensie absolutnym, Holger, czym ty jesteś? Gdzie jesteś? Lub raczej czym – gdzie – kiedy jesteś?

– Jestem sobą, tutaj i teraz, pijącym jakąś niezbyt dobrą ciecz.

– Jesteś w równowadze z – dostrojony do? – jednym z elementów? – konkretnego continuum. Ja również. Tego samego continuum dla nas obu. Jest ono ucieleśnieniem konkretnego zestawu matematycznych zależności między takimi wymiarami jak przestrzeń; czas, energia. Znamy niektóre z tych zależności pod nazwą "prawa natury". I dlatego stworzyliśmy gałęzie nauki, które nazywamy fizyką, astronomią, chemią...

– I voodoo! – Podniósł szklanekę. – Czas, żebyś już przestał śnić i wreszcie zaczął poważnie pić. Skaal!

Dałem spokój. Holger już nie wrócił do tego tematu. Musiał jednak zapamiętać to, co powiedziałem. Być może nawet trochę mu to pomogło, dużo później. Przynajmniej mam taką nadzieję.

Za oceanem wybuchła wojna i Holger zaczął się niepokoić. Wraz z mijającymi miesiącami stawał się coraz bardziej nieszczęśliwy. Nie posiadał głębokich przekonań politycznych, ale stwierdził, że nienawidzi faszystów i to z zawziętością, która zadziwiła nas obu. Kiedy Niemcy wkroczyli do jego kraju pił przez trzy dni bez przerwy.

Okupacja Danii zaczęła się jednak dość spokojnie. Rząd przełknął gorzką pigułkę, został w kraju jedyne rządy, który tak postąpił – i zaakceptował status państwa neutralnego pod niemieckim protektoratem. Nie myślcie, że nie wymagało to odwagi. Oznaczało, między innymi, że król przez kilka lat był w stanie zapobiegać aktom gwałtu, szczególnie na Żydach, które były udziałem innych okupowanych narodów.

Holger jednak szalał z radości, gdy duński ambasador w Stanach Zjednoczonych zdeklarował się po stronie aliantów i upoważnił nas do wkroczenia do Grenlandii. W tym czasie większość z nas już zaczęła zdawać sobie sprawę z tego, że Ameryka prędzej czy później zostanie wciągnięta w tę wojnę. Najbardziej oczywistym rozwiązaniem dla Holgera było oczekiwanie na ten dzień, a potem zaciągnięcie się do wojska. Mógł jednak od razu wstąpić do armii brytyjskiej lub do Wolnych Norwegów. Często, zdziwiony sam sobą, zwierzał mi się, że nie może zrozumieć, co go od tego powstrzymuje.

W 1941 roku zaczęły jednak nadchodzić wiadomości, że Dania ma już dosyć. Sprawy nie dojrzały jeszcze do wybuchu (który w końcu nadszedł w formie strajku generalnego – Niemcy wygnali wtedy rząd królewski i zaczęli rządzić krajem jak jeszcze jedną podbitą prowincją), jednak już zaczynało się słyszeć strzały karabinowe i eksplozje dynamitu. Podjęcie przez Holgera decyzji wymagało dużo czasu i piwa. Z jakiegoś powodu dostał bzika na punkcie powrotu do kraju.

Było to dość bezsensowne, jednak nie mógł się od tego uwolnić. W końcu się poddał. Po siódme i ostatnie. Jak mawiają jego ziomkowie, nie był Amerykaninem, tylko Duńczykiem. Porzucił pracę, wyprawiliśmy mu przyjęcie pożegnalne i odpłynął na szwedzkim statku. Z Halsinborg mógł złapać prom do domu.

Wyobrażam sobie, że przez pewien czas Niemcy musieli go mieć na oku. Nie sprawiał kłopotu,

pracował spokojnie w zakładach "Burmeister i Wain", produkujących silniki okrętowe. W połowie 1942, gdy uznał, że Niemcy stracili zainteresowanie jego osobą, przystąpił do ruchu oporu... i odkrył, że zajmuje wyjątkowo dogodną pozycję do sabotażu.

Nie będziemy się tutaj zajmowali historią jego dokonań. Musiał się dobrze sprawiać. Cała organizacja dobrze się sprawiła – działali tak skutecznie i w tak ścisłym kontakcie z Brytyjczykami, że przez całą wojnę koniecznych było tylko kilka nalotów na ich obszar. W drugiej połowie 1943 roku dokonali najbardziej bohaterkiego ze swych czynów.

Pewien człowiek musiał zostać wyprawiony poza Danię. Alianci bardzo potrzebowali jego wiedzy i umiejętności. Niemcy trzymali go pod ścisłym nadzorem, dobrze wiedząc kim jest. Podziemi udało się jednak niepostrzeżenie wyprowadzić go z domu i przewieźć nad Sund, gdzie czekała łódka, którą miał przepłynąć do Szwecji. Stamtąd już miano go przerzucić do Wielkiej Brytanii.

Prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy czy Gestapo coś o tej akcji wiedziało, czy po prostu niemiecki patrol przypadkowo zauważył ludzi na plaży, długo po godzinie policyjnej. Ktoś krzyknął, ktoś inny strzelił i zaczęła się walka. Plaża była otwarta i kamienista. Gwiazdy i światła na szwedzkim brzegu rozjaśniały ją akurat w dostatecznym stopniu, żeby widzieć. Nie było drogi ucieczki. Łódka zaczęła odpływać i partyzanci postanowili powstrzymać nieprzyjaciela do czasu aż dotrze ona na przeciwległy brzeg.

Nie mieli jednak na to zbyt wielkiej nadziei. Łódź była powolna. Sam fakt, że jej bronili zdradzał jej znaczenie. Za kilka minut, gdy Duńczycy zostaną zabici któryś z Niemców włamie się do najbliższego domu i zatelefonuje do kwatery sił okupacyjnych w pobliskim Elslynorze. Wyposażony w potężny silnik kuter patrolowy przechwyci uciekinierów zanim zdołają stanąć na neutralnym terytorium. Jednak ludzie z podziemia robili co mogli, żeby do tego nie dopuścić.

Holger Carlsen miał pełną świadomość tego, że umrze. Nie było jednak czasu na strach. Jakaś część jego umysłu wróciła do tych wcześniejszych, spędzonych tutaj dni, słonecznego spokoju i mew nad głową. do przybranych rodziców i domu pełnego małych, ulubionych przedmiotów; tak, i zamku Kronborg, czerwonej cegły i smukłych wież, do pokrytych patyną miedzianych dachów ponad błyszczącą wodą... Dlaczego nagle pomyślał o Kronborg? Z gorącym pistoletem w dłoni przykucnął na kamieniach i strzelił do ciemnych, przeskakujących kształtów. Kule świsnęły mu koło uszu. Ktoś krzyknął. Holger wycelował i znowu wystrzelił.

Potem świat eksplodował płomieniem i ciemnością.

Budził się powoli. Przez chwilę leżał, nieświadom niczego poza bólem w czaszce. Wzrok wracał stopniowo, aż wreszcie mógł zobaczyć, że rzecz, która tkwi przed jego twarzą to korzeń drzewa. Gdy się odwrócił, zatrzeszczał pod nim gruby dywan zeschniętych liści. W nos wwiercał się zapach ziemi, mchu i wilgoci.

– Det var som fanden! – mruknął. – Co u diabła! – Podniósł się.

Dotknął głowy i poczuł zakrzepłą krew. Jego mózg był wciąż otępiały, jednak uświadomił sobie, że kuła musiała ześlizgnąć się po czaszce, pozbawiając go tylko przytomności. Kilka centymetrów niżej i... Zadrżał.

Ale co się działo od tamtej pory? Leżał w lesie, w świetle dnia. W pobliżu nikogo. Nawet śladu człowieka. Najpewniej jego przyjaciele zdołali uciec, unosząc go ze sobą. Potem schowali go w tej gęstwinie. Ale dlaczego zdjęli z niego ubranie i zostawili go samego?

Wstał, oszołomiony, ze sztywnymi mięśniami, niesmakiem w ustach i żołądkiem pełnym głodu. Chwycił głowę, żeby nie rozpadła się na kawałki. Z przebijających przez korony drzew promieni słonecznych wywnioskował, że jest późne popołudnie. Światło poranka nie ma w sobie tego specjalnego, złotego poblasku. Ha! Przespał niemal pół doby. Kichnął.

W pobliżu, poprzez głębokie, nakrapiane światłem cienie przebłyskiwał strumyk. Podeszedł do niego, nachylił się i zaczął pić potężnymi łykami. Potem obmył twarz. Zimna woda przywróciła mu nieco siły. Rozejrzał się wokół, próbując ustalić gdzie się znajduje. Lasy Grib?

Nie, na Boga. Te drzewa były zbyt wielkie, zbyt poskręcane, zbyt dzikie: jesiony, buki, głogi, pokryte gęstymi naroślami mchu, połączone niemal zwartymi ścianami wybujałego poszycia. W Danii nie było takiego lasu od średniowiecza.

Wiewiórka, jak czerwona smuga ognia, wbiegła po pniu. Para szpaków zerwała się do lotu. Przez szczelinę w listowiu zobaczył jastrzębia, krążącego wysoko na niebie. Czy w jego kraju były jeszcze jakieś jastrzębie?

No, może kilka, nie wiedział dokładnie. Spojrzał na swoją nagość i zaczął bezładnie zastanawiać się nad tym, co robić dalej. Jeżeli jego koledzy rozebrali go i zostawili tutaj, musieli mieć po temu ważne powody. Nigdzie nie powinien się stąd oddalać. Szczególnie w takim stanie, w całkowitym dezabilu. Z drugiej jednak strony, im również mogło się coś przytrafić.

– Niełatwo ci będzie spędzić tutaj noc, mój chłopcze – powiedział. – Dowiedzmy się przynajmniej co to za miejsce. – Jego głos, mający za tło tylko szum lasu, wydawał się nienaturalnie głośny.

Nie, jest jeszcze jakiś dźwięk. Stężał na chwilę, potem rozpoznał rzenie konia. Poczuł się wyraźnie lepiej. W pobliżu musi być jakaś farma. Jego nogi stąpały już dostatecznie pewnie, żeby był w stanie przedrzeć się przez ścianę krzewów łoży i odnaleźć tego konia.

Zrobił to i stanął jak wmurowany.

– Nie – powiedział.

Zwierzę było ogromne, ogier o rozmiarach perszerona, ale znacznie szlachetniejszej budowy,

smukły i czarny jak polerowana noc. Nie był spętany, jednak ze zdobnej, nabijanej srebrem uździenicy luźno zwisała para wymyślnych, obszytych frędzlami wodzy. Na grzbiecie miał siodło z wysokimi łękami, również ze zdobionej skóry, białą, jedwabną kapę z wyszytym czarnym orłem oraz jakieś juki.

Holger przełknął ślinę i podszedł bliżej. No i dobrze, pomyślał, ktoś lubi konne przejażdżki w takim stylu.

– Halo – zawołał. – Halo, jest tu ktoś?,,

Gdy się zbliżył, koń potrząsnął długą grzywą i radośnie zarżał. Miękkie nozdrza dotknęły jego policzka, wielkie podkowy z mocą uderzyły w ziemię. Holger poklepał go – nigdy dotąd nie spotkał konia tak przyjaznego wobec obcych. Przyjrzał mu się bliżej. Na uździenicy widniało wygrawerowane srebrem słowo, składające się z dziwnie archaicznych liter – Papillon.

– Papillon – powiedział z namysłem. Koń znowu zarżał, tupnął i naprężył trzymane już przez Holgera wodze.

– Papillon to twoje imię? – Holger znowu go klepnął. – Po francusku motyl, prawda? To dość pomysłowe, nazywać bydlaka o twoich rozmiarach Motylem.

Jego uwagę przyciągnął leżący za siodłem pakunek. Przesunął się, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Co u diabła. Kolczuga!

– Halo! – zawołał jeszcze raz. – Czy jest tu ktoś? Pomocy!

Tylko sroka zaskrzeczała szyderczo.

Rozglądając się wokół, Holger zauważył długie, oparte o pień dębu drzewce ze stalowym grotem z jednej i miseczkową osłoną uchwytu z drugiej strony. Kopia, na Boga, autentyczna średniowieczna kopia. Zawrzało w nim podniecenie. Niespokojne życie, które dotychczas prowadził sprawiło, że stał się człowiekiem nieco mniej skrupulatnie przestrzegającym prawa niż większość jego rodaków, nie miał więc zahamowań rozwiązując tobolek i rozkładając na ziemi jego zawartość. Znalazł całkiem sporo: kolczugę, która mogłaby sięgnąć mu do kolan, stożkowy, ozdobiony purpurowym pióropuszem hełm z nosalem, sztylet, odpowiednie pasy i rzemienie, gruby, miękki kaftan pod zbroję. Było tam również kilka kompletów ubrań, na które składały się bryczesy, koszule z długimi rękawami, tuniki, kaftany, peleryny i tak dalej. Ta część ubrań, której nie zrobiono z surowego, jaskrawo barwionego płótna, była z obszytego futrem jedwabiu. Nie był wcale zaskoczony, gdy, przeszedłszy na lewą stronę konia, znalazł miecz i tarczę, wiszące na rzemieniu. Tarcza miała konwencjonalny, heraldyczny kształt przy około czterech stopach długości i była wyraźnie nowa. Zdjął z niej płócienny pokrowiec i zobaczył, że na jej powierzchni, wykonanej z cienkiej stalowej wykładziny na drewnianej bazie, widnieją trzy złote lwy naprzemiennie z trzema czerwonymi sercami, wszystko na błękitnym tle.

Obudziło się w nim niejasne przypomnienie. Stał przez chwilę, zastanawiając się. Czy to jest... chwileczkę. Godło Danii. Nie, tam jest dziewięć serc. Pamięć znowu się zamknęła.

Ale o co tu chodzi? Podrapał się w głowę. Ktoś organizuje jakieś widowisko? Wyciągnął miecz: wielki, o szerokiej głowni z krzyżowym jelcem, obosieczny i ostry jak nóż. Jego inżynierskie oczy rozpoznały niskowęgłową stal. Nikt z taką precyzją nie podrabiał średniowiecznego ekwipunku, nawet do filmów, nie mówiąc już o paradach. Pamiętał jednak eksponaty muzealne. Mężczyzna z wieków średnich był sporo niższy od swych współczesnych potomków. Ten miecz natomiast

pasował do jego dłoni tak, jakby był specjalnie dla niej zaprojektowany, a on przecież był wysoki nawet w dwudziestym wieku.

Papillon zarżał i szarpnął w tył. Holger odwrócił się gwałtownie. Zobaczył niedźwiedzia.

Był to wielki, brązowy niedźwiedź, który prawdopodobnie przyszedł tutaj, żeby przekonać się co tak hałasuje. Łypnął na nich okiem – Holger bardzo zapragnął mieć w tej chwili swoją strzelbę – a potem odwrócił się i pobiegł z powrotem w gęstwinię.

Holger oparł się ciężko o Papillona, czekając aż serce trochę mu się uspokoi.

– Możliwe, że istnieje jeszcze jakaś ostoja dzikiej puszczy – usłyszał swój pełen przekonania głos. Może nawet zostało kilka jastrzębi. Ale w Danii nie ma, z całą pewnością nie ma niedźwiedzi.

Chyba, że jakiś uciekł z zoo... No, zaczynają się ślepe domysły. Przede wszystkim musi zebrać jakieś informacje i wtedy wyciągać wnioski.

A może zwariował i ma halucynacje? Albo śni? Chyba jednak nie. Jego umysł pracował zbyt precyzyjnie. Wyczuwał promienie słoneczne i widział drobniutkie pyłki, które w nich tańczyły, widział liście, czuł zapach konia, mchu i swój własny pot, a to wszystko było pełne szczegółów i najzupełniej prozaiczne. Jakkolwiek jest, zdecydował gdy jego spokojny z natury charakter wyhamował nieco gonitwę myśli, nie pozostaje mu nic innego niż brnąć dalej, nawet jeśli to sen. Teraz najbardziej potrzebne są mu informacje i pożywienie.

Po namyśle odwrócił hierarchię ważności.

Ogier wydawał się wystarczająco przyjacielski. Nie miał prawa brać tego zwierzęcia, ani znalezionych przy nim ubrań, jednak jego własne potrzeby były niewątpliwie znacznie bardziej pilne niż osobnika, który tak niefrasobliwie pozostawił tutaj swoją własność. Ubrał się starannie. Nieznana garderoba wymagała pewnego wysiłku umysłowego przy nakładaniu, jednak wszystko, aż po same buty, pasowało podejrzanie dobrze. Spakował na nowo dodatkowe ubiory oraz zbroję i przytroczył je z powrotem do konia. Ogier parsknął cicho, gdy Holger podniósł się w strzemieniu, żeby nań wsiąść, potem powoli podszedł do kopii.

– Nigdy bym nie przypuścił, że konie są takie mądre – powiedział Holger głośno. – No dobrze, zrozumiałem aluzję. Wziął kopię i oparł koniec drzewca o podpórkę, która, jak stwierdził, zwisała z siodła, potem ujął wodze w lewą dłoń i cmoknął. Papillon ruszył – w stronę słońca.

Dopiero po pewnym czasie Holger zauważył jak dobrze sobie radzi z jazdą konno. Jego doświadczenie w tym względzie ograniczało się dotychczas do kilku dość nieszczęsnych prób w wypożyczalniach. Teraz przypominał sobie, że zawsze twierdził, iż koń jest wielką, niezdarną rzeczą, zajmującą tylko przestrzeń, którą w przeciwnym przypadku mógłby zająć inny koń. Dziwna była ta natychmiastowa sympatia, jaką poczuł do tego wielkiego, czarnego potwora. Jeszcze dziwniejsza była łatwość, z jaką jego ciało przystosowało się do siodła. Jakby przez całe życie był kowbojem. Pogрузzył się w myślach na ten temat i znowu stał się niezdarny. Papillon parsknął. Holger mógłby przysiąc, że była to drwina. Wyrzucił więc z głowy wszelkie wątpliwości i skupił się na wybieraniu drogi między drzewami. Mimo że podążali ścieżką – wydeptaną przez jelenie? – las był tak gęsty, że jechało się dość niewygodnie, szczególnie z kopią.

Słońce schodziło coraz niżej, aż w końcu spoza czarnych pni i gałęzi przeświecało tylko kilka czerwonych pasm. Do diabła, przecież to niemożliwe, żeby gdziekolwiek w Danii istniała tak rozległa puszcza. Czyżby, będąc nieprzytomnym, został przywieziony do Norwegii? Laponii? Do

Rosji, na bramy Piekieł? A jeśli kula spowodowała zanik pamięci, trwający być może całe tygodnie? Nie, to niemożliwe. Rana była zbyt „świeża”.

Westchnął. Takie zmartwienia nie wytrzymały konkurencji z myślami o jedzeniu. Zastanówmy się, ze trzy wędzone dorsze i kufel zimnego Carlsberga... nie, bądźmy amerykańscy i zamówmy stek z kością, obłożony zasmażaną cebulką...

Papillon stanął dęba. Niemal wyrzucił Holgera z siodła. Przez gąszcz poszycia i narastającą ciemność nadchodził lew!

Holger wrzasnął. Lew zatrzymał się, wyginając ogon i pomrukując groźnie z głębi ukrytego w grzywie gardła. Papillon niespokojnie zatańczył i zaczął uderzać kopytem w ziemię. Holger uświadomił sobie, że opuścił kopię, kierując ją w stronę wielkiego kota.

Z głębi lasu dobiegało przeciągłe wycie wilka. Lew stał nieruchomo. Holger nie bardzo miał ochotę dyskutować z nim na temat pierwszeństwa na tej ścieżce. Poprowadził Papillona bokiem, mimo że koń sprawiał wrażenie gotowego do walki. Gdy minęli lwa, Holger poczuł wielką chęć puszczenia się galopem. Gdyby to jednak zrobił, z pewnością, przy takim świetle zostałby wysadzony z siodła przez jakiś konar czy gałąź. Pocił się.

Nadeszła noc. Zaczęli błądzić. Błądziły też myśli Holgera. Niedźwiedzie, wilki i lwy – nie ma takiego miejsca na ziemi, w którym te zwierzęta występują razem – może poza jakimiś odległymi rejonami Indii. Ale przecież tam w Indiach nie rosną europejskie drzewa, prawda? Próbował przywołać w pamięci lektury Kiplinga., Nic mu nie przychodziło do głowy, poza niejasnymi przypomnieniami, że wschód jest wschodem, a zachód zachodem. Potem gałąź uderzyła go w twarz i zajął się przeklinaniem.

– Wygląda na to, że spędzimy noc pod gołym niebem – powiedział w końcu. – Pięknie.

Papillon szedł dalej, jeszcze jeden cień w pełnej dźwięków ciemności. Holger słyszał puchacze i odległe ochryple piski, które mogły być głosem żbika, i wycie wilków. A to? Co to było? Złośliwy chichot, tuż nad ziemi.

– Kto to? to tam jest?

Oddalający się tupot małych stóp. Wraz z nim uleciał śmiech. Holger zadrżał. Równie dobrze można jechać dalej, zdecydował.

Noc znacznie się ochłodziła.

Nagle niebo wybuchnęło gwiazdami. Holger potrzebował dobrej chwili na to, żeby zrozumieć, że wyjechali na polanę. Przed nimi migotało światelko. Dom? Zmusił Papillona do ruszenia kłusem.

Kiedy dotarli na miejsce, Holger zobaczył chatę, niezwykle prymitywną, ze ścianami z oblepionej gliną wikliny i dachem z darni. Blask płonącego wewnątrz ognia odbijał się czerwienią od dymu, uciekającego przez otwór w szczycie dachu, sączył się przez maleńkie okienka z okiennicami i wyciekał przez szpary wokół krzywych pni. Holger ściągnął wodze i językiem zwilżył wargi. Serce mu waliło, jakby znowu stanął przed lwem.

A jednak...

Zdecydował, że najrozsądniej będzie zostać w siodle. Uderzył w drzwi końcem kopii. Otworzyły się ze skrzypieniem. Stała w nich zgarbiona postać, czarna na tle wnętrza chaty. Dobiegł o głos starej kobiety, wysoki i skrzekliwy.

– A tyś kto? Kto zawitał do Matki Gerdy?

– Chyba się zgubiłem – powiedział Holger. – Czy znajdzie się u pani wolne łóżko?

– Och. Och, tak. Piękny młody rycerz, jak widzę, tak, tak. Stare mogą być te oczy, ale Matka Gerda dobrze widzi kto po nocach puka w jej drzwi, dobrze, dobrze widzi. Dalej, jasny panie, zejź z konia i skorzystaj z tej ubogiej gościny, którą biedna, stara kobieta może ofiarować i nie musisz się mnie obawiać, ani ja ciebie, nie w moim wieku, ale wiedz, że był taki czas... ale to było zanim się narodziłeś, a teraz ze mnie tylko stara, samotna babcia, rada wszelkim wieściom o wielkich zdarzeniach za ścianami tej skromnej chatki. Chodź, chodź, wyzbądź się obaw. Bardzo proszę, wejź do środka. Niełatwo tu o schronienie, tutaj, na krańcu świata.

Holger przecisnął się obok niej do wnętrza lepianki. Nie zauważył nikogo innego. Bez wątpienia mógł się tu bezpiecznie zatrzymać.

Usiadł przy rozklekotanym stole z nieheblowanego drewna. Oczy piekły go od dymu zbierającego się pod krokwiemi. Jedyne wewnętrzne drzwi wiodły do stajni, w której teraz przywiązany był jego koń, poza tym budynek składał się tylko z tej jednej izby, z klepiskiem zamiast podłogi. Z płonącego na wielkim kamieniu ognia padało przyćmione światło. Rozglądając się wokół, Holger zauważył kilka krzesel, słomiany materac, trochę narzędzi i różnych utensyliów oraz czarnego kota; siedzącego na zupełnie nie pasującej do tego wnętrza, wielkiej i ozdobnej drewnianej skrzyni. Żółte oczy kota ani razu nie mrugnęły i nawet na moment się od niego nie oderwały. Kobieta, Matka Gerda, mieszała coś w żelaznym kotle, zawieszonym nad ogniem. Była to zgarbiona, sucha i pomarszczona staruszka; ubrana w – strój, przypominający postrzępiony worek. Jej siwe włosy zwisały rzadkimi kosmykami wokół zapadniętej twarzy, ozdobionej nosem jak haczyk i nieustannie wyszczerzonymi w bezsensownym uśmiechu pieńkami zębów. Ale jej oczy były twardą, połyskliwą czernią.

– Ach, tak, tak – powiedziała – nie takim jak ja, biednym starym kobietom wypytywać o to co nieznanymi radzi by trzymać w ukryciu. Wielu jest takich, co wolą sekretnie przemierzać te spokojne ziemie przy krańcu świata i ty sam możesz być jakimś rycerzem z Faerie w ludzkim przebraniu, gotowym położyć czar na język zbyt ciekawy. Jednakże, dobry panie, czy mogę się ośmielić i spytać o twoje imię? Nie twoje własne, oczywiście, jeśli wolisz nie wyjawiać go takiej starej babinie jak ja, która życzy ci dobrze, choć musi przyznać, że wiek się na niej odcisnął i czasem paple odrobinę za dużo, ale imię jakiegokolwiek żebym mogła zwracać się do ciebie odpowiednio i z należnym szacunkiem.

– Holger Carlsen – odpowiedział.

Tak podskoczyła, że niemal wywróciła kociołek.

– Co powiedziałaś?

– A co...? – Czyżby był ścigany? Czyżby to była jakaś wyjątkowo dzika okolica w Niemczech? Wymacał sztylet, na wszelki wypadek zatknięty za pas. – Holger Carlsen! No i co z tego?

– Och... nic, dobry panie. – Gerda odwróciła wzrok, potem znów spojrzała na niego, szybkim, ptasim spojrzeniem. – Tyle tylko, że Holger i Carl są imionami co nieco głośnymi, jak ci wiadomo, jednak by rzec prawdę to nigdy nie było mówione jakby jeden był synem drugiego, jako iż ich ojcami byli Pepini Godfred, czy raczej powinnam powiedzieć odwrotnie... jednak, w pewnym sensie król jest ojcem swego wasala i...

– Nie jestem żadnym z tych gentelmanów – powiedział Holger, żeby położyć tamę potokowi słów. To czysty przypadek, że się tak nazywam.

Odprężyła się i z kociołka nałożyła mu miskę gulaszu. Zaatakował go natychmiast, nie zwracając sobie głowy martwieniem się o zarazki czy trucizny. Dostał również chleb i ser, które musiał odcinać swym nożem i jeść palcami, a także kufel wyjątkowo dobrego piwa. Minęło sporo czasu, zanim wyprostował się, odetchnął i powiedział:

– Dziękuję. Uratowało mi to życie, a przynajmniej rozsądek.

– To nic, panie, prostacka to strawa dla takiego jak ty, co często z królami i książętami jadać

musiał i słuchał minstreli z Prowansji, ich pieśni i sztuczek wymyślnych, a ja, mimo że stara i niewprawna, to jednak na twą cześć pozwolę sobie...

– Pani piwo jest wyśmienite – powiedział Holger pośpiesznie. – Nie wiedziałem, że istnieje tak znakomity gatunek. Chyba... – zamierzał powiedzieć: "Chyba wasz lokalny browar jakimś cudem ominęła dotychczas zasłużona sława", ale przerwała mu z przebiegłym chichotem:

– Och, zacny sir Holgerze, z pewnością musisz być rycerzem, jeśliś nie wyższego nawet stanu, tak przenikliwym i spostrzegawczym jesteś człowiekiem. W jednej chwili przejrzałeś małe sztuczki biednej starej kobiety. I jakkolwiek większość z podobnych tobie wzdraga się na takie niewinne zaklęcia i nazywa je wymysłami Szatana, choć po prawdzie w podstawach swoich nie różnią się one wcale od cudotwórczych praktyk niektórych świętych, którzy czynią swoje cuda zarówno dla pogan, jak i chrześcijan, to jednak musisz być świadom ilu tutaj na tych pogranicznych ziemiach para się taką pomniejszą magią, tyle dla swej własnej ochrony przed siłami Środkowego Świata, ile dla wygody i zysku, i sam pojmujesz w swej łaskawości, że nie byłoby to bardzo sprawiedliwe palić biedną starą poczciwinę za wyczarowanie odrobiny piwa, żeby ogrzewało jej stare kości w zimowe noce; podczas gdy tylu jest i to tak potężnych czarowników, otwarcie frymarczących czarną magią, na których kara ciągle nie spada i...

A więc jesteś wiedźmą?, pomyślał Holger. A ja to powinienem zauważyć. Co ona mu wmawia? Co to za maskarada?

Pozwolił jej mamrotać dalej, zastanawiając się ze zdumieniem nad językiem. Była to dziwna mowa, w jego własnych ustach twarda i dźwięczna, archaiczny francuski z dużą domieszką słów niemieckich język, który być może byłby w stanie powoli rozszyfrować w książce, jednak z pewnością nie potrafiłby w nim mówić i to z taką łatwością, jakby to robił od dziecka. W jakiś sposób przeniesienie do... – gdziekolwiek to było – wyposażyło go w umiejętność porozumiewania się w lokalnym dialekcie.

Nigdy nie miał specjalnego upodobania doczytania beletrystyki – science fiction czy innej, jednak coraz silniej i silniej był pchany ku stwierdzeniu, że jakiś nieprawdopodobny splot wydarzeń przerzucił go w przeszłość. Ta chata, ta starucha, która przyjęła jego rycerski ekwipunek za zupełnie naturalny, i język, i ta bezkresna puszcza... Ale g d z i e się znajdował? W Skandynawii nigdy nie mówiono w ten sposób. Niemcy, Francja, Brytania?... Jeśli jednak znalazł się w średniowieczu, to co tu robił lew, albo co znaczyła ta rzucona mimochodem wzmianka o życiu na granicy magicznej krainy, Faerie?

Dał spokój spekulacjom. Kilka bezpośrednich pytań bardziej może tu pomóc.

– Matko Gerdo? – zaczął.

– Tak, zacny panie. Z każdą posługą, jaką mogę ci wyświadczyć zaszczyt spływa na ten skromny dom, więc tylko wypowiedz swe pragnienia, a w wąskich granicach moich możliwości uczynię wszystko, czego sobie życzysz. – Pogłaskała kota, który nieprzerwanie obserwował Holgera.

– Możesz mi powiedzieć, który teraz jest rok?

– Och, dziwne pytanie zadajesz, dobry rycerzu, i pewnie to ta rana na twojej głowie, odniesiona niechybnie w heroicznej walce z jakimś potwornym trollem lub olbrzymem zmaćła trochę pamięć mego dobroczyńcy; ale po prawdzie, choć rumienię się musząc to wyznać, takie rachuby dawno mi się już wymknęły, tym bardziej że czas często bywa wielce nieodgadniony tutaj, na skrzydle świata

odkąd...

– Nieważne. A co to za kraj? Jakie królestwo?

– Zaprawdę, jasny rycerzu, zadajesz pytanie nad którym wielu uczonych łamało sobie głowy i wielu wojowników łamało głowy sobie nawzajem. Heee, heee! Długi czas to pogranicze było przedmiotem dysputy między synami ludzi i ludem Środkowego Świata i srożyły się wojny i wielkie czarnoksiężskie spory, a teraz mogę tylko rzec, że zarówno Faerie, jak i Święte imperium roszczą sobie do niego prawa i żadne z nich tu naprawdę nie włada, jakkolwiek prawa ludzi wydają się nieco mocniejsze przez to, że nasza rasa rzeczywiście się tu osiedla i zostaje; a może jakieś pretensje do tych ziem i Saracenowie mieć mogą, zważywszy, że mówi się jakoby ich Mahound sam był złym duchem, przynajmniej chrześcijanie tak twierdzą. Co, Grimalkin? – poklepała szyję kota.

– No więc... – Holger rozpaczliwie czepiał się resztek cierpliwości. – Gdzie mogę znaleźć ludzi... chrześcijan, powiedzmy... którzy mi pomogą? Gdzie jest najbliższy król, książę albo ktokolwiek taki? – Jest miasto niezbyt wiele mil stąd według ludzkiej miary odległości – powiedziała – muszę jednak ostrzec, że przestrzeń tak jak czas, jest dziwacznie tu naruszona przez czarnoksiężstwo wiejące od Faerie i czasem miejsce, ku któremu zmierzasz wydaje się niedalekie, a potem znów odpływa w rozległe i uciążliwe obszary najeżone niebezpieczeństwem, a i sama ziemia i droga, po której stąpasz nie są już takie same...

Holger zrezygnował. Gdy poniósł klęskę, potrafił się do niej przyznać. Albo ta wiedźma była bredzącą idiotką, albo z rozmysłem starała się go zmęczyć. W żadnym przypadku nie mógł liczyć na jakieś konkretne wiadomości.

– Jednak jeśli rada jest tym, czego potrzebujesz – powiedziała nagle Gerda – to mimo że moje własne myśli są częstokroć splątane, jak to w starych głowach bywa, a Grimalkin choć niezwykle sprytny, jest niemy, możliwym jest, żeby rada dla ciebie została przyzwana, a z nią razem sposób, który uszczerbek w tobie usunie i całym cię znów uczyni. Nie sroź się, jasny panie, jeśli odrobinę magii tu zaproponuję, gdyż biała ona jest... lub szara w najgorszym razie; gdybym była potężną czarownicą, czy myślisz, że ubierałabym się w te łachmany i mieszkała w takiej chacie? Nie, pałac ze złota byłby wtedy dla mnie, i słudzy na każdą okazję powitaliby ciebie. Jeśli, za twym przyzwoleniem, ducha mogłabym przywołać, tylko malutkiego duszka, on by ci powiedział to, co sam lepiej niż ja byś zrozumiał.

– Hmm – Holger uniósł brwi. No dobrze, teraz wszystko się wyjaśniło. Ona jest stuknięta. Lepiej jej potakiwać, jeśli ma zamiar spędzić tutaj noc.

– Jak sobie życzysz, matko.

– Teraz widzę, że naprawdę z przedziwnych miejsc musisz przybywać – powiedziała – gdyż nawet się nie przeżegnałeś, zaś inni rycerze nieodmiennie Najwyższego wzywają, i częstokroć wielkimi zaklęciami, za które ogień piekielny będą cierpieć, a przecież nie żyją nadmiernie bogobojnym życiem; musi jednak Imperium używać tych marnych nawet narzędzi, które znaleźć może na tym niegodziwym, nędznym świecie. Ty nie jesteś z takich, sir Holgerze, ani pod jednym, ani pod drugim względem, co może nasunąć pytanie, czy naprawdę nie pochodzisz z Faerie. Spróbujemy jednak coś zrobić w tej materii, jednak muszę cię uprzedzić, że duchy są istotami nieobliczalnymi i mogą w ogóle nie dać odpowiedzi, albo udzielić takiej, która ma więcej niż jedno znaczenie.

Kot zeskoczył ze skrzyni i Gerda ją otworzyła. W jej zachowaniu było jakieś dziwne szyderstwo i Holger mocno się zastanawiał do czego ona zmierza. Poczł, że po plecach przebiega mu zimny

dreszcz. Wyjęła ze skrzyni kociołek na trójnogu, ustawiła go na podłodze i napełniła jakimś pyłem z butelki.

Wyjęła również krótki pręt, wykonany chyba z hebanu i kości słoniowej. Mamrocząc i gestykulując narysowała wokół kociołka dwa koncentryczne kręgi i stanęła wraz z kotem między nimi.

– Ta linia w środku ma zatrzymać samego demona, a ta na zewnątrz wszelkie czary, jakie mógłby rzucić, bo one często bywają kapryśne, gdy są przyzywane tak pośpiesznie – wyjaśniła – Muszę cię błagać, panie, żebyś nie modlił się, ani nie czynił znaku krzyża, bo demon natychmiast by odszedł i to w jak najgorszym humorze. – Jej głos po prostu stwierdzał fakt, ale oczy połyskiwały w jego stronę i Holger żałował, że nie umie odczytywać ich wyrazu.

– Zaczynaj już – powiedział trochę zbyt ochryple.

Zaczęła tańczyć wokół wewnętrznego kręgu i wydawało mu się, że wychwycił coś z jej zaśpiewu. "Amen, amen..." Tak, wiedział jakie słowa teraz padną, chociaż nie potrafiłby powiedzieć skąd. "...malo a nos libera sed..." Nie potrafił też powiedzieć, dlaczego dostał gęsiej skórki. Przestała mówić po łacinie i przeszła na piskliwy język, którego nie mógł rozpoznać. Dotknęła różdżką kociołka. Zaczął się z niego wydobywać gęsty, biały dym, który niemal ją zasłonił, ale, co ciekawe, nie wypłynął poza zewnętrzny krąg.

– O Beliya'al, Ba'al Zebub, Abaddon, Ashmadai! – wrzasnęła. – Samiel, Samiel, Samiel!

Czy dym zgęstniał? Holger zerwał się z krzesła. Ledwie mógł dostrzec Gerdę przez zabarwioną na czerwono mgłę. Wydawało mu się, że coś jeszcze wisi nad kociołkiem, coś szarego i podobnego do węża, na wpół przezroczystego... na Niebiosa, zobaczył szkarłatne oczy, a ta postać przybrała kształt niemal ludzki!

Usłyszał jak mówi, świszczącym, nieczłowieczym głosem, a stara kobieta odpowiada w języku, którego nie znał. Brzuchomówstwo, powiedział sobie pośpiesznie, brzuchomówstwo i omamy, zrodzone w jego własnym, zamroczonym zmęczeniu umyśle, tylko to, tylko to. Papillon rżał i szarpał się w stajni. Holger opuścił dłoń ku nożowi. Ostrze było gorące. Czy magia, wymamrotał, pobudza prądy wirowe?

Istota w dymie świszcziała i prychała i wyginała się gwałtownie. Rozmawiała z Gerdą bardzo długo, jak się zdawało. W końcu starucha podniosła różdżkę i zaczęła inny zaśpiew. Dym zaczął się przerzedzać, jakby wsysany z powrotem do wnętrza kociołka. Holger zaklął drżącym głosem i sięgnął po piwo.

Kiedy dym już całkowicie zniknął, Gerda wyszła poza krąg. Jej twarz była znowu bez wyrazu, obojętna, oczy na wpół przykryte powiekami. Jednak Holger zauważył jak drżała. Kot wypiął grzbiet, wyprężył ogon i splunął na niego.

– Dziwna odpowiedź – powiedziała po chwili zupełnie obojętnym głosem. – Dziwną dał mi demon odpowiedź.

– Co powiedział? – wyszeptał Holger.

– Powiedział... Samiel powiedział, że jesteś z daleka, z tak daleka, że człowiek mógłby do dnia Sądu Ostatecznego podróżować i nie dotrzeć do twego domu. Nie jest tak?

– Tak – powiedział Holger powoli. – Tak, myślę, że to może być prawda.

– I powiedział jeszcze, że pomoc w twych opałach, sposób wrócenia cię skąd przybyłeś, znajduje się w Faerie. Tam musisz się udać, sir... sir Holgerze. Musisz jechać do Faerie.

Zupełnie nie wiedział co odpowiedzieć.

– Och, to nie takie straszne jak wygląda – Gerda rozluźniła się nieco. Nawet zachichotała, czy raczej kaszlnęła. – Jeśli już cała prawda musi wyjść na jaw, to jestem w stosunkach nie całkiem nieprzyjaznych z księciem Alfrikiem, najbliższym z Panów Faerie. Jest trochę drażliwy, jak cały ich rodzaj, ale pomoże ci jeśli poprosisz, tak powiedział demon. A ja mogę dostarczyć przewodnika, żebyś szybko tam dotarł.

– D...dlaczego? – zająknął się Holger. – To znaczy, nie bardzo mogę zapłacić.

– Nie trzeba zapłaty – Gerda niedbale machnęła ręką. – Dobry uczynek może przez przypadek być mi policzony, gdy opuszczę ten świat dla innego, obawiam się o nieco cieplejszym klimacie. A w każdym razie, starej babci sprawia przyjemność pomaganie takiemu przystojnemu młodemu mężczyźnie, jak ty. Ach, był taki czas, jak to już dawno... Ale dość tego. Daj mi opatrzyć twą ranę, a potem jazda do łóżka.

Holger pozwolił, żeby przemyła zranienie i przywiązała, mamrocząc zaklęcia, okład z ziół. Był już zbyt zmęczony na sprzeciwianie się czemukolwiek. Jednak zostało w nim tyle ostrożności, żeby odrzucić propozycję zajęcia jej materaca i zamiast tego spał na sianie obok Papillona. Nie miało sensu kusić losu bardziej, niż to było konieczne. Ta chata była dziwna, łagodnie mówiąc.

Obudziwszy się, leżał przez jakiś czas w półśnie, aż przypomniał sobie gdzie jest. Senność natychmiast go opuściła. Usiadł z jękiem i rozejrzył się wokół.

Tak, stajnia! Prymitywne, mroczne pomieszczenie, wypełnione zapachem siana i gnoju, czarny koń, pochylający się nad nim i delikatnie trącający go pyskiem. Podniósł się na nogi, wyskubując z ubrania żdźbła siana.

Promienie słoneczne przecięły półmrok, gdy Matka Gerda otworzyła drzwi.

– Ach, dzień dobry, jasny panie – krzyknęła. – Zaprawdę spałeś snem sprawiedliwego, albo tym, co mówią, że jest snem sprawiedliwego, chociaż w moim życiu niejednokrotnie widziałam dobrych ludzi, co cała noc rzucali się bezsennie i ludzi podłych, którzy dach swym chrapaniem wstrząsali, i rankiem nie miałam serca cię budzić. Ale teraz chodź i zobacz, co na cię czeka.

Okazało się ta być miską owsianki, znowu chlebem, serem i piwem i kawałem na wpół ugotowanego boczku. Holger zjadł wszystko z apetytem, a potem z tęsknotą pomyślał o papierosie i kawie. Na szczęście wojenne braki odzwyczaiły go nieco od tych przyjemności. Zadowolili się więc energicznym myciem w korycie z wodą na zewnątrz chaty.

Kiedy znowu wszedł do środka, stwierdził że przybył nowy gość. Zauważył go dopiero, gdy jakaś dłoń szarpnęła jego spodnie i basowy głos zahuczał:

– Tum jest.

Holger spojrział w dół i zobaczył krępego, brązowego jak ziemia mężczyznę z uszami jak uchwyty od kufla, z ogromnym nosem, białą brodą i bosymi, płaskimi stopami, ubranego w brązową kurtę i spodnie. Osobnik ten nie miał nawet trzech stóp wzrostu.

– To jest Hugi – powiedziała Matka Gerda. – Będzie twoim przewodnikiem do Faerie.

– Ummm... miło pana poznać – powiedział Holger. Potrząsnął twardą i ciepłą dłonią karła, co chyba wprowało go w osłupienie.

– A teraz pora ruszać – powiedziała wesoło stara kobieta – jako że słońce już wysoko, a przed wami ciężka droga przez okolice wielce niepewne. Nie obawiaj się jednak, sir Holgerze. Hugi jest z leśnego plemienia i bezpiecznie doprowadzi cię do księcia Alfrika. – Podała mu owinięty w płótno tobolek. Włożyłam tu trochę chleba, mięsa i innego pożywienia, gdyż dobrze wiem jak niepraktyczni wy, młodzi paladyni bywacie, wałęsając się po świecie i ratując piękne dziewice i nawet przez chwilę nie myśląc o tym, żeby zabrać z sobą kawałek obiadu. Ach, gdybym była znowu młoda i dla mnie niczym by to było, bo co znaczy pusty brzuch, kiedy świat jest zielony, ale teraz już w swoich latach jestem i myśleć trochę muszę.

– Dziękuję, moja pani – powiedział Holger z zakłopotaniem.

Odwrócił się, żeby odjechać, Hugi pociągnął go z powrotem z zaskakującą siłą.

– A ty tu co? – ryknął. – W jednej jeno koszuli iść w las żeś zamyślił? Moc tu w onej kniei takowych, co wielce by radzi trochę żelaza w bogatego wędrowca wrazić.

– Ach... ach, tak. – Holger rozpakował swój bagaż. Matka Gerda zachichotała i wykuśtykała na

zewnątrz.

Hugi pomagał mu zakładać we właściwy sposób średniowieczny strój. Obwiązał jego łydki pasami skóry, podczas gdy on sam przez głowę wciągał gruby kaftan. Potem, również sam, włożył kolczugę, która zabrzączała i upadła mu na ramiona niespodziewanym ciężarem. A teraz popatrzmy – najwyraźniej ten szeroki pas zapina się na talii i wtyka się zań nóż, zaś pendent ma podtrzymywać miecz. Hugi podał mu pikowaną czapkę a potem normański hełm. Kiedy złożone ostrogi znalazły się na jego stopach, a purpurowy płaszcz na ramionach, Holger zaczął się zastanawiać, czy wygląda oszalamiająco czy po prostu idiotycznie.

– Dobrej podróży, sir Holgerze – powiedziała Matka Gerda, kiedy wyszedł z chaty.

– Ja... będę o tobie pamiętał w moich modlitwach – powiedział, pomyślawszy, że w tym kraju będzie to odpowiednie podziękowanie.

– A jakże, sir Holgerze, pamiętaj! – Odwróciła się od niego, wybuchając niepokojącym śmiechem i zniknęła we wnętrzu chaty.

Hugi mocniej ścisnął pas.

– No chodźże już, gamoniu pasowany, albo dzień cały tu zabawim – mruknął. – Komu do Faerie droga, trza mu mocno konia spinać.

Holger wskoczył na Papillona i pomógł wsiąść Hugiemu. Mały mężczyzna przysiadł na łęku siodła i wskazał na wschód.

– Tam jedziem – powiedział. – Ze dwa albo i trzy dni do Alfrikowego zamku nam zejdzie, tedy ruszajmy co żywo.

Koń ruszył z kopyta i wkrótce chata zagubiła się w lesie za nimi. Szlak zwierzyny, kto rym dzisiaj podążali był stosunkowo szeroki. Jechali pod wysokimi drzewami, w spokojnym zielonym świetle, pełnym szelestów i świergotów, stłumionych uderzeń podków o ziemię, skrzypienia skóry i pobrzękiwania żelaza. Dzień był zimny i jasny.

Po raz pierwszy od porannego przebudzenia Holger przypomniał sobie o ranie. Nie czuł bólu. Dziwaczny medykament rzeczywiście działał.

Jednak cała ta historia była tak niesamowita, że... Stłumił wszelkie pytania. Wszystko po kolei. W jakiś sposób – chyba, że śnił, a coraz bardziej w to wątpił, gdyż jaki sen mógłby być tak konsekwentny? – a przeniósł się do świata spoza swego czasu, być może również spoza swojej przestrzeni. wiata, w którym wierzono w wiedźmy i duchy, w którym był przynajmniej jeden najprawdziwszy krasnolud i jedna szatańsko dziwaczna istota o imieniu Samiel. A więc, rozpatrujmy wszystko po kolei, rozważnie i powoli. Zastosowanie się do rady nie było sprawą prostą. Nie tylko jego własna sytuacja, al i przypomnienie domu, przypuszczenia na temat tego, co się tam mogło wydarzyć, okropny strach, że 3utaj, w tym świecie mógłby zostać na zawsze uwięziony – to wszystko ścisnęło jego myśli jak obcęgi. Przypomniał sobie wyraźnie pełne gracji iglice Kopenhagi, wrzosowiska, plaże i odległe horyzonty Juandii, podniebną arogancję Nowego Jorku i złożoną zachodem słońca mgłę nad Zatoką San Francisco kochank i milion drobnych spraw, które były domem. Chciał uciec, biec wołając o pomoc, aż znowu rafi tam z powrotem, znowu odnajdzie ten dom. Nie, nic z tego! Był tutaj – i mógł robić tylko to, co tyło tutaj możliwe. Jeżeli ten ksiązę w Faerie (czymkolwiek to miejsce mogło być) jest w stanie mu pomcic, nadzieja jeszcze nie zgasła. A na razie może być tylko wdzięczny losowi, że nie ma zbyt bujnej wyobraźni i niełatwo traci zimną

krew. Spojrzał na owłosionego człowieczka, który jechał przed nim.

– To bardzo uprzejmie z twojej strony – powiedział. – Chciałbym móc się jakoś odplacić.

– Nie, ja to w wiedźminej służbie czynię – odpowiedział Hugi. – Nie żebym, uważasz, naprawdę był jej sługą. Jeno od czasu do czasu my leśni jej pomagamy drwa narąbać, albo wody nanieść, albo sprawy jak ta załatwić. Potem ona dla nas w zamian robi. Rzec nie mogę, nie bardzo ja ją, starą sowę, lubię, jeno multum kufla jej przedniego piwa za to dostanę.

– Dlaczego, wydawała się... miła.

– Och, a jakże, gładki u niej język, kiej zechce, gładki – Hugi zachichotał ponuro. – Wždy zbałamuciła i młodego sir Magnusa kiej go tu przyniosło, wiele i wiele lat temu. Toć ona czarcią sztuką się para. Sprytna jest, choć nie tak potężna, jeno paru mniej znacznych demonów przyzwać może, a i myli się nierzadko w tych swoich czarach. – Uśmiechnął się szeroko. – Pomnę, czasu jednego chłopak taki z Westerdales za skórę jej załazł i ona klęła się, że mu śnieć na zboże spuści. Czy to on błogosławieństwo miał kapłańskie, czy jej w tym niezdarność – tego nie wiem, ale długo natężyła się i sapał i nic nie wskórała, jeno osty na polach wybiła. Nawet nadskakiwania panom ze Środkowego Świata, próbuje, może moc większą jej nadadzą, jeno potąd mały ma z tego zysk.

– Hmm... – To nie brzmiało zbyt dobrze. – A co się stało z tym sir Magnusem? – spytał Holger.

– Och, krokodyle go w końcu zeżarty, widzi mi się.

Jechali dalej w ciszy. Wreszcie Holger spytał czym się zajmują leśne krasnoludy. – Hugi odpowiedział, że jego lud żyje w lesie – który wydawał się być niezmiernie rozległy – żywiąc się grzybami, orzechami i tego typu rzeczami i że mają umowę o wzajemnej pomocy z pomniejszych leśnymi zwierzętami jak króliki czy wiewiórki. Nie posiadają wrodzonych zdolności magicznych, tak jak prawdziwi mieszkańcy Faerie, ale z drugiej strony nie muszą się obawiać żelaza ani srebra, ani świętych symboli.

– Nam nic do wojen na tych niepewnych ziemiach – powiedział Hugi. – Patrzym swego jeno życia, a niechaj tam Niebiosy, Piekło, Ziemia i Środkowy Świat drą się, kiej taka ich woła. A kiej ci panowie dumni wzajem się trupem zimnym i sztywnym położą, my tu będziemy, jakeśmy byli. A bodaj ich wszystkich kiła zeżarła! – Holger pomyślał, że ta rasa była dogłębnie obrażona afrontami, których doznała zarówno od ludzi, jak i od mieszkańców Środkowego Świata.

– No, teraz to już nic nie wiem – powiedział z wahaniem. – Jeżeli Matka Gerda nie ma dobrych zamiarów, dlaczego miałbym stosować się do jej rady i jechać do Faerie?

– Juści, dlaczego? – Hugi wzruszył ramionami. – Pomnij jeno, ja żem nie gadał, co ona zawždy zła była. Jak ona urazy do cię nijakiej nie chowa, toć może i zwidziało jej się prawdziwie ci dopomóc. Nawet księżę Alfrik pomóc może, dla zabawy samej z zagadki takowej, jaką widzi mi się mu niesiesz. Nijak za nimi nie trafisz, co robią. Sami nie wiedzą, ani dbają o to. Żyją w dziczy i dlatego w wojnie po ciemnej Chaosu stronie staną.

To w dalszym ciągu ani trochę nie pomogło. Faerie było jedyną nadzieją na powrót do domu, jaką mu dano, a przecież było możliwe, że jest wpędzany w pułapkę. Dlaczego jednak ktoś miałby zawracać sobie głowę łapaniem takiego, jak ja cudzoziemca bez grosza przy duszy...

– Hugi – spytał – czy chętnie wpędziłbyś mnie w tarapaty?

– Nie, wrogiem mi przecie nie jesteś, a i widzę, żeś dobry człowiek, nie jak tacy, których mogę nazwać. – Hugi splunął. – Ja nie wiem co Matka Gerda zamyśla, a i nie dbam o to za wiele. Rzekłem jeno, co wiem. Jeśli chcesz jechać do Faerie, poprowadzę.

– A co się stanie potem, to już cię nie obchodzi?

– Prawda. Nauczylim się w cudze sprawy nosa nie wściubiać.

W jego dudniącym basie zabrzmiała gorycz. Holger pomyślał, że mógłby ją wykorzystać dla swoich celów. Spotykał się już z ludźmi o rozbudowanym kompleksie niższości. A Hugi z pewnością mógłby być bardziej pomocny, niż tylko jako przewodnik nie wiadomo dokąd.

– Pić mi się chce – powiedział. – Zatrzymamy się na chwilę? Wydaje mi się, że słyszałem jak coś stuka w tym zawiniątku z jedzeniem.

Hugi oblizał wargi. Ściągnęli cugle i rozwiązali podarunek od wiedźmy. Tak, kilka glinianych flaszek. Holger odkorkował jedną z nich i podał krasnoludowi, żeby napił się pierwszy. Hugi był wyraźnie zaskoczony. W pełni jednak wykorzystał sytuację, jego grdyka poruszała się z błogością pod śnieżnobiałą brodą, aż wreszcie beknął i oddał flaszkę Holgerowi.

Podczas dalszej drogi Hugi usilnie się nad czymś zastanawiał.

– Niezwyczajne masz maniery, sir Holgerze – powiedział w końcu. – Ty chyba nie z rycerzy Imperium jesteś, a i nie Saracen.

– Nie – powiedział Holger. – Pochodzę z dużo dalszych stron. Tam, skąd jestem, uważamy, że jeden człowiek jest równie dobry jak każdy inny.

Podobne paciorkom oczy przyjrzały mu się uważnie spod krzaczastych brwi.

– Przerażliwe rzeczy gadasz. Kto krajem włada, jeśli pospólstwu z panami mieszać się wolno?

– Dajemy sobie radę. Każdy ma głos w rządach.

– Nie może to być! Wždy jedno gadanie z tego, a roboty nijakiej.

– Przez długi czas próbowaliśmy innej drogi, ale władcy z urodzenia byli często tak słabi, głupi albo okrutni, że pomyśleliśmy, iż my już nie możemy być gorsi. Dzisiaj w moim kraju król robi niewiele więcej niż tylko przewodniczy. A większość narodów w ogóle królów się pozbyła.

– Hmm... dziwaczna to mowa, i po prawdzie, hmm, widzieć mi się zaczyna, żeś może sam z sił Chaosu.

– Co to znaczy? – spytał Holger. – Niewiele wiem o waszych sprawach. Mógłbyś mi wyjaśnić?

Pozwolił krasnoludowi paplać przez dłuższy czas, niewiele się przy tym dowiadując. Hugi nie był zbyt mądry, poza tym żył w głębokiej puszczy. Dowiedział się jednak, że trwały tu ciągle zmagania między pierwotnymi siłami Chaosu i Ładu. Nie, to nie były dokładnie siły. Sposoby życia? Ziemskie odbicia duchowego konfliktu między Niebem i Piekłem? W każdym razie, najważniejszymi rzesznikami Ładu byli ludzie, jakkolwiek większość z nich tylko nieświadomie, a niektórzy – wiedźmy, czarnoksiężnicy, złoczyńcy – zaprzędali się Chaosowi. Część, dość niewielka, istot pozaludzkich również opowiadała się za Ładem. W przeciwnym obozie był niemal cały Środkowy Świat, do którego, jak się zdawało, należały takie krainy jak Faerie, Trollheim, jak również Olbrzymi – rzeczywiste dzieła Chaosu. Wojny między ludźmi, takie jak długo ciągnący się konflikt między Saracenami, a Świętym Imperium pomagały tylko Chaosowi. Pod panowaniem Ładu ludzie żyliby w

pokoju i harmonii, ciesząc się wolnością, której tylko on mógł nadać prawdziwe znaczenie. Jednak taki porządek rzeczy był tak obcy mieszkańcom Środkowego Świata, że bez przerwy mu się przeciwstawiali i starali się objąć wciąż nowe kraje swym mrocznym panowaniem.

To wszystko było dla Holgera tak mgliste, że zmienił temat rozmowy na bardziej konkretne aspekty polityki. W tym również Hugi okazał się niezbyt przydatny. Holger zrozumiał, że krainy ludzi, w których przeważał Ład, leżały na zachodzie. Były podzielone na Święte Imperium Chrześcijan, kraje Saracenów na południu i różne pomniejsze królestwa. Faerie, najbliższa część Środkowego Świata, znajdowała się niezbyt daleko na wschód. Ten obszar, na którym właśnie się znajdowali był spornym pograniczem, gdzie wszystko mogło się zdarzyć.

– Wiedz, że dawnymi czasy – powiedział Hugi – zaraz po Upadku, niemal wszystko pod Chaos podlegało. Jenó wypierany był, krok po kroku. Najdalej był wyparty, kiej Zbawiciel żył na ziemi, jako że z ciemności nic mu się ostać nie mogło i sam wielki Pan pomarł. Jenó nynie gadka chodzić poczyna, i że Chaos siły zebrał i k wojnie nowej się gotuje. Ja tam nie wiem.

Hm. Nie istniała możliwość natychmiastowego oddzielenia prawdy od zmyślenia. Jednak ten świat miał tak dużo wspólnego ze światem Holgera, że musiał istnieć między nimi jakiś związek. Może od czasu do czasu następował chwilowy kontakt, choćby przez takich jak on sam, wracających potem z opowieściami, które stawały się podstawą legend? Czy istoty z mitów tutaj, w tym świecie, istniały w rzeczywistości? Przypominając sobie niektóre z nich, Holger miał nadzieję, że jednak nie. Nie zależało mu specjalnie na spotkaniu z ziejącym ogniem smokiem czy trójgłowym olbrzymem, bez względu na to, jak interesującymi oni byli z zoologicznego punktu widzenia.

– Och, jeszcze coś – powiedział Hugi. – Musisz ostawić przy bramie swój krucyfiks, jeśli go nosisz i swoje żelazo. Takoz świętych stów na zamku nie wypowiadaj. Oni z Faerie nie ustoją przeciw nim, jeno jeśli takowych użyjesz, wynajdą sposoby, iżby zły omen na cię spuścić.

Holger zastanawiał się jaki był miejscowy status agnostyka. Został oczywiście wychowany jako luteranin, ale od lat już nie był w kościele. Jeżeli już musiało się to komuś przytrafić, dlaczego to nie był dobry katolik?

Hugi ciągle mówił. I mówił. I mówił. Holger starał się po przyjacielsku uczestniczyć w rozmowie, jednak w granicach przyzwoitości. Zaczęli opowiadać sobie różne historyjki. Holger wyciągnął wszystkie kiepskie dowcipy, jakie był w stanie sobie przypomnieć. Hugi ryczał ze śmiechu.

Na obiad zatrzymali się przy strumieniu o porośłych mchem brzegach. Hugi niespodziewanie nachylił się i położył dłoń na ramieniu Holgera.

– Panie rycerzu – powiedział patrząc w ziemię – rad byłbym wyświadczyć ci przysługę, jeśli zechcesz.

Holger z trudem zachował spokój.

– Dziękuję, na pewno mi się przyda.

– Nie wiem, jako lepiej ci postąpić. Może dążyć do Faerie za wiedźminą radą, może szybko w drugą stronę ruszać. A i wywiedzieć się nie mam sposobu. Aleć znam w boru kogoś, przyjaciela wszystkim co tam żyją, kto wieści wszelkie po kraju chodzące słyssał i dobrą radą może ci służyć.

– Gdybym mógł go spotkać, to byłoby... byłoby mi bardzo pomocne, Hugi.

- Nie jego, jeno ją. Innego rycerza kniej bym nie zawiódł, lubieżność im jeno we łbach i ona nie bardzo ich lubi. Ty jednak... hmm... tobie nie mogę być złym przewodnikiem.
- Dziękuję, przyjacielu. Jeśli kiedyś będę mógł coś dla ciebie zrobić...
- Nic to – warknął Hugi. – Dla swego honoru ja to czynię. I zważaj przy niej na maniery, gamoniu jeden!

Skręcili na północ i jechali przez kilka godzin, z których większość Hugi spędził na wspomnianiu swych podbojów wśród kobiet jego rasy. Holger słuchał jednym uchem, udając nabożne osłupienie, na które te historie faktycznie zasługiwały, jeżeli chociaż połowa z nich była prawdziwa. A naprawdę był pogrążony we własnych rozmyślaniach.

Wjechali na tereny położone nieco wyżej i las stał się bardziej otwarty, ukazując łąki pełne dzikich kwiatów i słonecznego światła, szare, porośnięte mchem głązy rozrzucone między kępami drzew, tu i ówdzie daleki widok na ciągnące się w siną dal wzgórza. Wiele strumieni przecinało tę okolicę, połyskujących i szemrzących w swym pośpiesznym biegu ku dolinom, z tęczami, mieniącymi się nad nimi w miejscach gdzie spadały z urwisk. Zimorodki fruwały tam jak małe, błękitne błyskawice, wysoko na niebie szybowały jastrzębie i orły, klucz dzikich gęsi wzbił się z krzykiem z trzcin na jeziorze, przemknęły gdzieś zające, przebiegł jelen i para niedźwiedzi. Białe chmury rzuciły cienie na wielobarwną, sfałdowaną krainę, zimny wiatr dmuchnął Holgerowi w twarz. Podobała mu się ta wędrówka. Nawet zbroja, która z początku trochę mu ciążyła, teraz stała się jakby jego drugą skórą. I w jakiś niewyraźny sposób w tej przestrzeni było coś bliskiego, znajomego, jakby kiedyś dawno często tu bywał.

Próbował sięgnąć w głąb pamięci. Czy to było w Alpach, a może na wysokiej norweskiej saeterze, albo na górskich łąkach wokół Góry Rainier? Nie, to było coś więcej niż tylko podobieństwo. Te pograniczne obszary były mu niemal znane. Jednak obrazu nie udało się przywołać i odrzucił to odczucie jako jeszcze jeden przypadek *deja vu*.

Jeśli jednak jego przejście do tego świata nauczyło go nowego języka, równie dobrze mogło jego mózgowi zrobić jeszcze jakieś psikusy. Na chwilę uczepliła się go szalona myśl, że może jego jaźń została przeniesiona w cudze ciało. Spojrzał w dół na swe wielkie, żyłaste ręce i sięgnął dłonią, żeby dotknąć znajomego wgniecenia na grzbiecie nosa, pamiątki tego wielkiego dnia, w którym dopomógł pobić drużynę Politechniki 36 do 2ę. Nie, bez wątpienia był ciągle sobą. I dość rozpaczliwie potrzebował golenia.

Słońce stało już nisko, kiedy przebyli ostatnią łąkę i zatrzymali się wśród drzew nad brzegiem jeziora: Woda odbijała światło i jej powierzchnia zdawała się płonąć: Z sitowia wzbiło się stado dzikich kaczek. – Tu możem czekać – powiedział Hugi. Ześlizgnął się na ziemię i roztarł pośladki. – Uff! – skrzywił się – biedny, stary tyłek.

Holger również zeskoczył z konia, samemu odczuwając skutki długiej jazdy. Nie miało sensu pętanie wiernego jak pies Papillona, przerzucił mu tylko wodze przez grzbiet i ogier z zadowoleniem zaczął się pożywiać.

– Ona wkrótce przybędzie, widzi mi się – zamruczał Hugi. – W tej tu okolicy gniazdo sobie zrobiła. A kiej czekać musimy, odświeżyć gardło by się zdało.

Holger wyjął z juków flaszkę z piwem.

– Jeszcze mi nie powiedziałaś kim ona jest – zauważył.

– Alianora, łabadziewa. – Piwo zagulgotało w gardle krasnoluda. – Lata tam i siam po lesiech, a nawet i do Środkowego Świata czasem, i wszyscy wieści głośne i szeptane jej opowiadają.

Szczerym jest nam przyjacielem. Aaaach! Może i wiedzma ze starej Matki Gerdy, ale piwowarka nad wszelkie porównanie!

Papillon zarżał. Holger odwrócił się i zobaczył długi, plamistożółty kształt, sunący w stronę jeziora. Lampart! Zanim zdążył pomyśleć, już trzymał w dłoni miecz, gotów do odparcia ataku.

– Nie, nie, wstrzymaj się – Hugi usiłował złapać go za ramię, nie mógł jednak sięgnąć tak wysoko, więc zadowolił się nogami. – On przybywa w pokoju! Nie pójdzie na ciebie, póki pannie zła nie wyrządzisz.

Lampart zatrzymał się, usiadł i zaczął ich obserwować zimnymi, bursztynowymi oczami. Holger na powrót wsunął miecz do pochwy. Skóra zaswędziała go od potu. Zaledwie ta dzicz zaczęła mu się wydawać znajoma, a już musiało zdarzyć się coś takiego.

Nad ich głowami załopotwały skrzydła.

– To ona! – krzyknął Hugi. Zaczął podskakiwać, wymachując rękami. – Hej, hej tam, siądź przy nas! Na ziemię sfrunęła łabędzica, siadając nie dalej niż kilka stóp od nich. Był to największy okaz, jaki Holgerowi zdarzyło się widzieć. Promienie wieczornego słońca płonęły złotem na jej piórach. Holger niezdecydowanie ruszył do przodu, zastanawiając się, w jaki sposób należy się przedstawiać łabędziowi. Ptak zatrzepotał skrzydłami i cofnął się przed nim.

– Nie, nie lękaj się, Alianoro – Hugi wskoczył między nich. – Szlachetny to rycerz, mówić jeno z tobą przybył.

Łabędzica zatrzymała się, podniosła wysoko łeb, rozłożyła skrzydła i stanęła na końcach łap. Jej ciało wydłużyło się, szyja skurczyła, skrzydła stały się węższe.

– Jesu Kriste! – wrzasnął Holger i przeżegnał się.

Na miejscu łabędzia stała kobieta.

Nie, dziewczyna. Nie miała więcej niż osiemnaście lat: wysoka i smukła, opalona na brąz, z kasztanowymi włosami opadającymi luźno na ramiona, wielkimi szarymi oczyma, kilkoma piegami na zuchwało zadartym nosku i szerokimi, łagodnymi ustami – była piękna! Niemal nie myśląc o tym, co robi Holger rozluźnił ramię pod brodą, zdjął hełm i czapkę i uklonił się nisko.

Nieśmiało podeszła bliżej, trzepocząc długimi, smolistoczarnymi rzęsami. Jej jedynym ubiorem była krótka tunika, pozbawiona rękawów i ściśle przylegająca do ciała, wyglądająca na utkaną z piór. Bose stopy bezszelestnie stąpały po trawie.

– Więc tyś to, Hugi – powiedziała. W jej miękkim kontralcie dość wyraźnie słychać było ślady gardłowej wymowy, do której Holger przyzwyczał się słuchając krasnoluda. – Witaj. I ty, panie rycerzu, jako żeś przyjacielem mego przyjaciela.

Lampart przycupnął, machnął ogonem i obrzucił Holgera podejrzliwym spojrzeniem. Alianora uśmiechnęła się i podeszła, żeby podrapać go w szyję. Otarł się o jej nogi, mrużąc jak silnik Diesla.

Ten długi młodzian zwie się sir Holger – oznajmił Hugi z powagą. – A ty, synu, sam możesz widzieć, i że to łabędziewa we własnej postaci. Posilim się?

– Hmm... – Holger szukał odpowiednich słów. – To wielka radość móc cię poznać, szlachetna pani. – Rozmyślnie starał się użyć jak najbardziej wyszukanej formy – ona wyraźnie się go obawiała, a lampart ciągle był w pobliżu.

– Och, nie – uśmiechnęła się i odprężyła. – To ja się winnam radować. Niewielu ludzi widuję, tym bardziej tak dzielnych rycerzy. – W jej głosie nie było kokieterii, próbowała jedynie dorównać jego uprzejmości.

– Och, jedzmy nareszcie – huknął Hugi. – Brzuch mi już ze szczętem do krzyża przywarł.

Usiedli na darni. Zęby Alianory wgrzyzały się w twarde ciemny chleb z równą łatwością jak zęby krasnoluda. Nikt się nie odezwał do końca posiłku. Słońce dotykało już niemal horyzontu i długie cienie zdawały się sięgać aż po kraniec świata. Gdy skończyli jeść, Alianora spojrzała prosto na Holgera i powiedziała:

– Jakiś człowiek cię szuka, panie rycerzu. Saracen. Jest ci on przyjacielem?

– Ach, hmm... Saracen! – Holger zamknął usta, aż szczęknęły zęby. – Nie. Ja... ja jestem z daleka. Nie znam nikogo takiego. Musisz się mylić.

– Być może – powiedziała Alianora ostrożnie. – Co cię tedy tu do mnie sprowadza?

Holger powiedział o swych wątpliwościach, o tym, że nie wie czy może ufać wiedźmie. Dziewczyna zmarszczyła brwi, mała fałdka między dwiema czarnymi kreskami.

– Tego, boję się, nie umiem ci powiedzieć. – Wyglądała na zmartwioną. – Jeno z ciemnym towarzystwem się zadałeś, panie rycerzu. Matka Gerda to nie jest dobra dusza, a i każdy tu wie jak przewrotny potrafi być książę Alfrik.

– Więc sądzisz, że lepiej, żebym do niego nie jechał?

– Tego nie twierdzę. – Była naprawdę strapiona. – Nic nie wiem o jaśnie panach z Faerie. Znam jeno kilkoro pomniejszych ze Środkowego Świata, kilka koboldów i skrzatów, jedną czy dwie leśne ruszałki i innych takich.

Holger zamrugał. I znowu się zaczynało. Załedwie zaczynał sobie wyobrażać, że jednak jest przy zdrowych zmysłach, że jego sytuacja, jakkolwiek nieprawdopodobna, jest jednak wytłumaczalna, gdy oni znowu zaczynali swoje, mówiąc o rzeczach nadprzyrodzonych, jakby były częścią codziennego życia.

No cóż... być może były, tutaj. Przecież, do cHolgery, sam przed chwilą widział jak łabędź zmienia się w człowieka. Złudzenie czy nie, nie przypuszczał, żeby coś podobnego mógł kiedykolwiek zobaczyć u siebie.

Początkowy szok i wynikające z niego otępienie powoli, ale wyraźnie ustępowały. Całym swoim jestestwem zaczął sobie zdawać sprawę jak daleko jest od domu, i jak jest samotny. Zaciśnął pięści, powstrzymując przekleństwa albo płacz.

Starając się zająć sobie czymś głowę, spytał:

– Mogłabyś mi powiedzieć coś więcej o tym Saracenie?

– Ach, on. – Dziewczyna zapatrzyła się w wieczorne odbłaski światła na jeziorze. Nad nim, w ogromnej ciszy, przemykały jaskółki. – Ja go nie widziałam, jeno las pełen jest tej opowieści, krety mamroczą ją w swoich norach, borsuki innym powtarzają, potem łapią ją zimorodki i kruki i wykrzykują na cały świat. Słyszę zatem, że kilka już tygodni samotny wojownik, Saracen ze stroju i wyglądu wnosząc, jeździ tam i siam po tych stronach wypytyjąc o chrześcijańskiego rycerza. Nie zdradził po co go szuka, jeno rycerz ten, jak go Saracen opisuje, twojej jest postaci: jasny olbrzym na czarnym koniu, noszący znak... – Spojrzała na Papillona. – Nie, twoja tarcza jest zakryta. Herb, o

którym on mówi to trzy serca i trzy lwy.

Holger zeszywniał.

– Nie znam żadnych Saracenów – powiedział. – W ogóle nikogo tutaj nie znam. Przybyłem ze stron bardziej odległych, niż jesteście w stanie zrozumieć.

– Może to wróg twój jakowyś, śmierci twej szukający? – spytał Hugi z zainteresowaniem. – A może on przyjaciel?

– Powiedziałem już, że go nie znam! – Holger uświadomił sobie, że krzyknął. – Przepraszam. Czuję się jak dziecko we mgle.

Oczy Alianory rozszerzyły się zdziwieniem.

– Dziecko we mgle? Ach, tak. – Jej chichot brzmiał słodko. – Ładne powiedzenie.

Gdzieś w zakamarku pamięci Holger odnotował na przyszłość, że popularne w jego świecie powiedzonka tutaj mogą uchodzić za mądrość pierwszej wody. Jednak przede wszystkim myślał o Saracenie. Kimże on, do diabła, jest? Jedynym muzułmaninem, jakiego kiedykolwiek znał był nieśmiały, maleńki Syryjczyk w wielkich okularach, studiujący na tym samym wydziale. Ten Saracen w żadnym wypadku nigdzie by nie myszkował, szczególnie ubrany w jedną z tych metalowych skorup!

On, Holger, ze względu na konia i ekwipunek musi być brany za kogoś, kto przypadkowo go przypomina. A to mogło oznaczać prawdziwe kłopoty. Nie ma sensu samemu szukać tego saraceńskiego wojownika. Z pewnością nie ma sensu!

Ogarnęło go pełne rezygnacji przygnębienie.

– Pojadę do Faerie powiedział. – Chyba nie mam żadnego wyboru.

– A i najlepszy to wybór dla śmiertelnika – powiedziała Alianora grobowym głosem. Pochyliła się ku Holgerowi. – A ty po której stronie się opowiadasz? Ładu czy Chaosu?

Holger zawahał się.

– Nie lękaj się – ponagliła. – Ja prawie z każdym żyję w pokoju.

– Ładu, jak sądzę – powiedział z namysłem – chociaż niewiele wiem o tym świecie... o tym kraju:

– Tak i myślałam – powiedziała Alianora. – Ja też jestem człowiekiem i chociaż stronniczy Ładu często moczymordami i nieokrzeszańcami bywają, to jednak myślę, że ich sprawa bliższa mi niż Chaosu. Pójdę tedy z tobą, panie rycerzu. Być może w Środkowym Świecie będę ci mogła służyć jakąś pomocą.

Holger zaczął protestować, ale ona podniosła szczupłą rękę, żeby go uciszyć.

– Nie, nie, ni słowa już o tym. Niewielka w tym groźba dla mnie, która umiem latać. A poza tym... – zaśmiała się. – Poza tym to może być piękna przygoda, jak myślę.

Nadciągała noc, niosąc gwiazdy i rosę. Holger zrobił sobie poślanie z koca spod siodła. Alianora odeszła, mówiąc, że woli spać na drzewie. Długo leżał, obserwując gwiazdozbiory. Były znajome, ponad nim rozciągało się letnie niebo północnej Europy. Jednak jak daleko był dom? I czy odległość w ogóle miała jakiegokolwiek znaczenie?

Przypomniał sobie, że mimowolnie się przeżegnał, gdy Alianora przybierała ludzką postać.

Nigdy dotychczas, w ciągu całego swego życia tego nie zrobił. Czy był to tylko wpływ średniowiecznego otoczenia, czy może część tego, co nieświadomie zyskał – znajomości języka, umiejętności konnej jazdy i Bóg wie jeszcze czego? Tym głębsza była samotność, gdy nie znało się nawet siebie samego.

Tutaj nie było komarów. Nawet za drobne łaski należy dziękować. Chętnie jednak powitałby chociaż jednego, jako przypomnienie domu.

W końcu usnął.

Wyruszyli wczesnym rankiem, Holger i Hugi na Papillonie, Alianora zaś leciała nad nimi jako łabędź, wznosząc się i zataczając kręgi, znikając za drzewami, żeby po chwili znów ukazać się w pionowym locie ku niebu. Wraz ze – słońcem podnosił się też nastrój Holgera. Przynajmniej gdzieś jechał i to, zdaje się, w niezłym towarzystwie. Około południa, kierując się ciągle na wschód, dotarli w wyższe rejony wzgórz, w wietrzną, dziką okolicę, pełną oznaczonych bliznami głazów, wodospadów i wąwozów, porośniętą wysoką, twardą trawą i zagajnikami poskręcanych drzew. Holgerowi zdawało się, że horyzont przed nimi jest ciemniejszy niż być powinien.

Hugi ochryplym głosem zaryczał pełną sprośności piosenkę. Holger, nie chcąc być gorszy, odpłacił mu takimi balladami jak "Szkocki domokrążca" i "Bękart – król Anglii", tłumacząc je z łatwością, która jego samego zadziwiła. Krasnolud ryczał ze śmiechu. Holger zaczął wtaśnię "Les Trois Orfevres", gdy padł na niego cień. Spojrzał w górę i zobaczył, że łabędzica krąży nad jego głową, słuchając z zainteresowaniem. Zakrztusił się.

– Hej, śpiewaj no dalej – ponaglił Hugi. – To sprośne jak rzadko. – Zapomniałem, jak to dalej idzie – powiedział słabo Holger.

Drętwiał na myśl o spojrzeniu w twarz Alianorze, gdy zatrzymają się na obiad. Stanęli w końcu obok gęstych krzaków zasłaniających wejście do jaskini. Dziewczyna, znów w ludzkiej postaci, podeszła do nich lekkim krokiem.

– Droga z tobą, sir Holgerze, pełna jest muzyki – uśmiechnęła się.

– Ummmmm... dziękuję – wymamrotał.

– Chciałabym, żebyś sobie przypomniał co stało się z trzema złotnikami – powiedziała. – Okrutne to było z twojej strony zostawiać ich tam na dachu.

Spojrzał na nią z ukosa. W szarych oczach nie było nic poza szczerością. No cóż, jeżeli dotychczas wiodła życie wśród niezbyt przecież subtelnego małego ludu... Nie miał jednak dostatecznie dużo odwagi.

– Spróbuję sobie przypomnieć – powiedział fałszywie.

Krzaki za nimi zatrzeszczały i zobaczyli, że z jaskini wyłania się jakaś istota. W pierwszej chwili Holger pomyślał, że jest ona zdeformowana, jednak później doszedł do wniosku, iż jest to całkiem normalny przedstawiciel jakiejś nieczłowieczej rasy. Był nieco wyższy niż Hugi i znaczne szerszy, z muskularnymi, zwisającymi do kolan ramionami. Jego głowa była duża i okrągła z płaskim nosem, szpiczastymi uszami i ustami jak cięcie nożem. Skórę miał bezwłosą i szarą.

– Ach, toż to Unrich! – krzyknęła Alianora. – Nie myślałam, że zapuszczacie się tak daleko na wzgórze.

– Och, psyslim tu, a jakże. – Stwór przykucnął i przyjrzał się uważnie Holgerowi okrągłymi oczami. Ubrany był tylko w skórzany fartuch, w dłoni trzymał młot. – Stolnie nowo rąbiem tamój. – Machnął ręką w stronę połowy okolicznych pagórków. – Złoto tu leży, w onych wzgórzach.

– Unrich jest gnomem – wyjaśniła Alianora. – Przez rodziny borsucze go poznałam.

Nowo przybyły był równie żądny nowych plotek, jak chyba każdy w tym świecie. Historia

Holgera musiała być opowiedziana od samego początku. W końcu gnóm potrząsnął głową i splunął.

– Niezbyt psyjazny to gród kaj idzieta – powiedział. – A nynie scególnie, kiej Środkowy Świat swoje hordy woła.

– Tak – powiedział Hugi – zimne na Alfrikowym zamku powitanie mogą nam zgotować.

– Powiadajo, elfy i trolle psymieze zawarły. A kiej one klany społu sie schodzo, cósik duzego sie gotuje.

Alianora nachmurzyła się. – Nie bardzo mi się to podoba – powiedziała. – Słyszę, że czarni magowie przez granicę coraz śmieiej chodzą; ku sercu Imperium nawet. Tak to wygląda, jakby bastion Ładu runął i Chaos do woli mógł się po świecie rozlewać.

– Ony bastion to było święte zakłęcie, na Cortanie położone. Jenó nynie ony miec lezy kajś pogzebany, z dala od óc wselakich. A kiejby go i wykopać, to nie uświadczys takiego, co by nim robić zdołał – powiedział Unrich z nutą pesymizmu w głosie.

Cortana, pomyślał Holger. Gdzie ja słyszałem to imię?

Unrich sięgnął do kieszeni fartucha i, ku zaskoczeniu Holgera, wyjął niezgrabną, glinianą fajkę i mieszek czegoś, co wyglądało jak tytoń. Skrzesał ogień kilkoma uderzeniami krzemienia o stal i zaciągnął się głęboko. Holger przyglądał się temu pożądliwie.

– Smocza to jakowaś sztuczka, to twoje zianie dymem – powiedział Hugi. – Ja to lubie – odparł Unrich.

– I zupełnie słusznie – wtrącił się Holger. – "...kobieta jest tylko kobietą, a dobre cygaro to rytuał."

Wszyscy troje spojrzeli na niego uważnie.

– Nie słyszałem nigdy o ludziach, którzy w ten sposób demony udają – powiedziała Alianora.

– Pożycz mi fajki – powiedział Holger do Unricha – i patrzcie wszyscy!

– Ta za dobra, by ji dawać. – Goblin zanurkował w jaskinię i chwilę później wrócił z dużą fajką z wrzośca. Holger ubił, zapalił i zaczął wypykiwać radosne chmury. Nie przypuszczał, żeby w fajce był tytoń – ziele było mocne jak wszyscy diabli, ale nie gorsze niż to, co palił we Francji przed wojną czy w Danii w jej trakcie. Hugi i Unrich chichotali, Alianora zanosila się śmiechem.

– Ile za to chcesz? – spytał Holger. – Mam zbywającą opończę i wymienię ją na tę fajkę z krzesiwem i mieszkim tytoniu – tego ziela do palenia.

– Zgoda! – powiedział Unrich natychmiast. Holger zaczął podejrzewać, że mógł ubić lepszy interes. Och, niech mu będzie.

– Mógłbyś mieć tyle przyzwoitości, żeby dorzucić trochę jedzenia – powiedziała Alianora.

– Kiej to ty prosis – Unrich znowu zniknął we wnętrzu jaskini.

Alianora spojrziała na Holgera ze współczuciem.

– Wy ludzie, jesteście mało praktyczną rasą – westchnęła.

Ruszyli znowu w drogę, bogatsi o kilka bochenków chleba, ser i wędzone mięso. Mimo że okolica stawała się coraz bardziej nierówna i dzika, Papillon zdawał się zupełnie tego nie odczuwać. Ponura ciemność na wschodzie wyrastała przed nimi jak niematerialny mur. Pod wieczór zatrzymali

się w miejscu, które było chyba grzbietem tego łańcucha – poniżej, porośnięte z rzadka kępami drzew i krzaków wzgórze opadały ku sosnowemu lasowi: Alianora zabrała się z zapalem do budowy szałas, Hugi zaczął przygotowywać kolację i Holger poczuł się bezużyteczny. Obserwował jednak z przyjemnością, jak dziewczyna się krząta.

– Jutro – powiedziała, gdy po zapadnięciu zmroku usiedli wokół ogniska – wchodzimy do Faerie. Potem już wszystko w rękach losu.

– Dlaczego tam na wschodzie jest tak ciemno? – spytał Holger.

Alianora spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Zaiste z daleka musisz przybywać, albo jakiś urok został na ciebie rzucony – powiedziała. – Wszyscy przecież wiedzą, że Faryzeusze nie mogą znieść światła dnia, i dlatego wieczny zmierzch u nich panuje. – Skrzywiła się. Blask ogniska kładł się czerwienią na jej młodej twarzy, wydobywając ją z rozciągającego się wokół, jęczącego wiatrem mroku. – Jeśli Chaos zwycięży, może ów półmrok na cały świat będzie położony i nikt już nie zobaczy promieni słońca, ni zielonych liści, ni kwiatów. Tak, myślę, że naprawdę stoję po stronie Ładu. – Zawahała się. – A jednak w Faerie przedziwne piękno się kryje. Sam zobaczysz.

Holger spojrzał na nią poprzez płomienie. Światło odbijało się w jej oczach, muskało włosy i łagodne tuki ciała, a dalej tkało jej płaszcz z ciemności.

– Nie chciałbym być wścibski – powiedział – ale nie mogę zrozumieć, dlaczego taka ładna dziewczyna jak ty żyje w dziczy wśród... wśród ludu, który nie jest jej własnym.

– Och, nie ma w tym nijakiej tajemnicy. – Zapatrzyła się w rozżarzone główne. Jej głos ledwo do niego docierał przez wycie nocnego wiatru. – Krasnoludy znalazły mnie w lesie, niemowlęciem jeszcze. Pewnie byłam dzieckiem jakiegoś zagrodnika, skradzionym w łupieżczym napadzie. Często to rzecz w tych stronach. Rabusie na niewolnicę myśleli mnie wychować, potem znudziło im się i w gęstwinie zostawili. Więc mali ludzie, i przyjazne im zwierzęta, mnie wychowali. Byli dobrzy, przyjaźni i dużo mnie nauczyli. W końcu darowali mi ten łabędzi strój, który, jak mówili, kiedyś należał do Walkirii. Za sprawą jego mocy mogę, choć zwykłym człowiekiem urodzona, zmieniać się tak, jak widziałeś i dzięki temu żyć bezpiecznie. Teraz idź gdzie chcesz, powiedzieli. Ale mnie nie ciągną zadymione siedziby ludzi. Tutaj są moi przyjaciele; i przestrzeń, i niebo, którym mogę się radować. I to wszystko.

Holger skinął głową powoli.

Alianora spojrzała na niego.

– Ty jednak niewiele nam powiedziałaś o sobie – uśmiechnęła się niepewnie. – Gdzie jest twój dom i jak się tu dostałeś, nie idąc przez ziemie ludzi ani przez Środkowy Świat, bo przecież zobaczyłbyś po drodze jakie one są?

– Sam chciałbym to wiedzieć – powiedział Holger.

Przez chwilę czuł chęć opowiedzenia jej wszystkiego, całej swej historii, ale prędko z tego zrezygnował. Prawdopodobnie nic by z tego nie rozumiała. Poza tym, dobrze jest mieć w zapasie jakąś tajemnicę

– Myślę, że rzucono na mnie czar – powiedział. – Mieszkałem tak daleko, że w moim kraju nigdy nawet nie słyszeliśmy o żadnym z tych miejsc. I nagle, jednej chwili, znalazłem się tutaj.

– Jak twój kraj się nazywa? – nalegała. – Dania.

Zaklął pod nosem, gdy wykrzyknęła:

– Słyszałam o twoim królestwie! Mimo że odległe, szeroką cieszy się sławą. Chrześcijański kraj, leżący na północy Imperium, tak?

– Hmmmm... no... to nie może być ta sama Dania. – Akurat! – Moja leży w... – Nienawidził myśli, że musi jej kłamać w żywe oczy. Żeby chociaż półprawda... Chwileczkę, kiedyś włóczył się po Stanach... – Ja myślę o miejscu w Południowej Karolinie.

Potrząsnęła głową.

– Zdaje mi się, że ty coś skrywasz. No cóż, skoro taka twa wola. My z pogranicza nauczyliśmy się nie być zbyt ciekawi.

Ziewnęła. – Idziemy spać?

Skulili się razem pod osłoną szafasu, szukając swego ciepła, gdy nadszedł nocny chłód. Kilka razy – Holger budził się, szcękając zębami i czuł Alianorę, oddychającą równo obok niego. Była słodkim dzieckiem. Gdyby nigdy nie znalazł drogi powrotnej...

Następnego ranka ruszyli w dół, szybko, mimo niebezpiecznej drogi. Hugi wrzeszczał, gdy kopyta Papillona ześlizgiwały się ze stromizny, a potem huścili się nad skrajem wiejącej chłodem otchłani. Alianora unosiła się wysoko ponad nimi. Znalazła sobie mrozącą krew w żyłach zabawę – wisząc w powietrzu zmieniała się w człowieka, przybierając z powrotem łabędzią postać w ostatnim momencie, w którym jeszcze mogła przerwać upadek. Obserwując to Holger bardzo zapragnął uspokojenia, jakie dawała fajka. Jednak nie mógł jej zapalić, dopóki Hugi nie pokazał mu jak korzystać z krzesiwa, które Holger miał w sakiewce przy pasie. Do diabła, dlaczego oni w tym świecie nie mają zapalek?

Wędrowali przez sosnowy las. W pewnej chwili, jak nadciągająca burza, zamknął się nad nimi półmrok. Gęstniał z każdym dziwnie stłumionym krokiem, Holger zastanawiał się, czy na końcu drogi w ogóle będą w stanie cokolwiek widzieć. Skóra cierpła mu na myśl o przedzieraniu się na ślepo przez krainę trolli, wilkołaków i Bóg jeden wie czego jeszcze.

W miarę, jak schodzili powietrze stawało się coraz cieplejsze. Gdy w końcu wynurzyli się z lasu było balsamiczne, przepelnione kadzidlany zapachem nieznanym Holgerowi kwiatów. Wjechali do otwartej, pofałdowanej doliny. Hugi głośno przełknął ślinę.

– No, to myśmy już w Faerie – zamruczał. – Jakim sposobem stąd wyjedziem, to już insza sprawa. Holger obrzucił zamyślnym spojrzeniem otaczający ich krajobraz. Mimo że słońce już się skryło, noc, której się tak obawiał, nie zapadła. Nie potrafił zidentyfikować źródła światła, ale widział niemal tak wyraźnie, jak w dzień. Niebo było wieczorne, głęboko błękitne i ten sam błękit nasycił powietrze, jakby jechali pod wodą. Trawa była wysoka i miękka, ze Srebrzystą poświatą na bladej zieleni, wśród niej białe kwiaty błyszczały jak gwiazdy. Asfodele, pomyślał Holger. Skąd to wiedział? Tu i ówdzie dostrzegał krzaki białych róż. Samotnie lub zagajnikami stały drzewa, wysokie, smukłe, z mleczną korą i liśćmi koloru trawy. Nieśpieszne powiewy wiatru poruszały nimi, wydobywając delikatne dzwonienie. W tym zwodniczym, nie dającym cienia świetle nie potrafił prawidłowo ocenić odległości. W pobliżu płynął strumień, który nie szemrał, ale grał – jakąś nie mającą końca melodię, opartą na obcej skali. Nad wodą unosiły się zawirowania powietrza, fosforyzujące bielą, zielenią, błękitem.

Papillon parsknął i zadrżał. Nie podobało mu się to miejsce.

Ja już to widziałem, myślał Holger, taki sam chłodny, spokojny błękit ponad bladymi drzewami i wzgórzami, które wtapiają się w niebo. Ale gdzie? Gdzie jeszcze wiatr wiał tak śpiewnie i rzeka dźwięczała jak szklane dzwoneczki? Czy w jakiejś dawnej wizji, półsennej, półprawdziwej, która nadeszła letnią nocą w Danii, a może jeszcze dawniej, w latach już zapomnianych? Nie wiem i sędzę, że chciałbym się dowiedzieć.

Jechali dalej. W tej nie ulegającej żadnym zmianom poświacie czas wydawał się płynny i niestały, mogli tak wędrować minutę albo stulecie. Niematerialny krajobraz przepływał wokół nich, a oni wciąż jechali. Aż wreszcie łabędzica spadła z nieba jak kula, wylądowała z trzepotem skrzydeł i stała się Alianorą. Na jej twarzy malował się strach.

– Widziałam rycerza, który zdąża w tę stronę – powiedziała łapiąc powietrze. – Rycerza z Faerie. Nie wiem, jakie są jego zamiary.

Holger poczuł, że jego serce zaczęło walić jak młot, zachował jednak pozór całkowitego spokoju:

– Niedługo się dowiemy.

Obcy wyjechał z za wzniesienia. Siedział na wysokim śnieżnobiałym koniu o rozwianej grzywie i dumnie wygiętej szyi. Jednak coś w tym zwierzęciu było niewłaściwego, zbyt długie nogi, za mała głowa. Jeździec ubrany był w pełną płytową zbroję, twarz krył za opuszczoną przyłbicą. Kita białych piór kołysała się na szczycie hełmu, tarcza była pusta i czarna, poza tym wszystko błyszczało nocnym błękitem. Zatrzymał się i czekał, aż Holger podjedzie bliżej.

Gdy Duńczyk był kilkanaście metrów od niego, zniżył kopię.

– Stój i opowiedz się! – Jego głos miał wibrujące, metaliczne brzmienie, niezupełnie ludzkie. Holger ściągnął wodze. Papillon zarżał wyzywająco.

– Zostałem przysłany przez wiedźmę Matkę Gerdę z wiadomością dla księcia Alfrika.

– Najpierw chcę zobaczyć twój herb – powiedział brązowy głos. – Nikt tu nie wjeżdża nieznanymi. Holger wzruszył ramionami, żeby ukryć niepokój. Sięgnąwszy w dół, odpiął tarczę z miejsca, w którym wisiała i wsunął ją na lewe ramię. Hugi ściągnął z niej płócienny pokrowiec.

– Oto jest.

Rycerz cofnął konia, spiął go ostrogami i runął na Holgera.

– Broń się! – wrzasnął Hugi. – On dybie na twoje życie!

Papillon odskoczył w bok, a Holger wciąż się gapił. Jeździec przemknął obok z głuchym dudnieniem kopyt. Zawrócił konia i znowu ruszył, z grotem kopii skierowanym wprost w gardło Holgera.

Potem – instynktowna reakcja. Holger zniżył własną kopię, ścisnął Papillona kolanami i podniósł tarczę jako osłonę. Czarny ogier skoczył naprzód. Postać wroga zbliżała się ze straszliwą prędkością. Grot jego kopii obniżył się i mierzył teraz w brzuch Holgera. Duńczyk opuścił tarczę i mocno wcisnął stopy w strzemiona.

Zderzyli się z hukiem, który zbudził echa wśród wzgórz. Tarcza przyłgnęła Holgerowi do żołądka. Niemal wypuścił kopię, gdy jej grot trafił w zasłonę hełmu przeciwnika. Ale drzewce tamtego jękło, a on sam chwiał się w siodle. Papillon napał. Obcy przetoczył się przez zad swego konia.

Jednak wstał natychmiast, z szybkością zadziwiającą przy pełnej zbroi. Jego miecz świsnął, wyskakując z pochwy. Ciągłe nie było czasu na myślenie. Holger musiał pozwolić swemu ciału, żeby działało za niego. Zdawało się wiedzieć, co robi. Wyciągnął miecz i ciął spieszonego wroga. Ostrza zderzyły się z brzękiem. Rycerz zamierzył się na jego nogę, Duńczyk odbił cios w ostatniej chwili. Sam z kolei chlasnął z góry w pierzasty hełm. Metal zadzwonił głośno i przeciwnik się zachwiał.

Zbyt niewygodne, uderzenie z góry. Holger skoczył na ziemię. Stopa zaplątała mu się w strzemię i runął na plecy. Obcy podbiegł do niego. Holger kopnął. I znów szczęk metalu, wojownik upadł. Wstali obaj jednocześnie. Ostrze miecza zadzwoniło na tarczy Holgera. On sam z kolei ciął w szyję, starając się znaleźć szczelinę między płytami zbroi. Rycerz sieknął nisko, mierząc w nie chronione nogi. Holger odskoczył. Tamten runął na niego, tnąc potężnie z góry. Holger zablokował cios w powietrzu. Ramię zdrząło mu od siły uderzenia. Jednak rycerzowi z Faerie miecz wypadł z dłoni.

Natychmiast wyciągnął nóż i doskoczył do Holgera.

Szeroki miecz Holgera nie był przeznaczony do pchnięć, jednak Duńczyk zauważył szczelinę nad naszyjnikiem i wbił w nią sztych. Sypnęły się iskry. Metalowa postać zatoczyła się, opadła na kolana i, z ostatnim szczękiem, zwała się, nieruchoma, w trawę.

Półprzytomnie, z szumem w głowie, Holger rozejrzał się wokół. Zobaczył, że biały koń galopuje na wschód. Opowiedzieć wszystko księciu, pomyślał. Potem Hugi zaczął tańczyć i wiwatować wokół niego, zaś Alianora zawisała mu na ramieniu, pociągając nosem i powtarzając jak wspaniale sprawił się w tej walce.

Ja?, pomyślał. Nie, to nie byłem ja. Ja nie mam pojęcia o mieczach i kopiach. Więc kto, w takim razie, zwyciężył w tym pojedynku?

Alianora pochyliła się nad nieruchomą postacią.

– On nic krwawi – powiedziała ochryple. – Jednak jest zabity, bo Faryzeusze nie mogą przetrwać rany zadanej kutym żelazem. Holger odetchnął głęboko. Zaczynał myśleć już trochę jaśniej. Dostrzegł błędy jakie popełnił: tak, powinien zostać na koniu i użyć go jako dodatkowego oręża. Następnym razem będzie bardziej uważał.

Przez chwilę zastanawiał się czego mieszkańcy Faerie – Faryzeusze, jak zdaje się byli tu nazywani, niewątpliwie dlatego, że tutejsza niepiśmienna ludność pozmieniała i pomyliła biblijną historię prawdziwych Faryzeuszy – czego oni używali zamiast stali. Stopów aluminium? Zapewne sztuka magiczna potrafiła wydobyć aluminium z boksytów. Może berylu, magnezu, miedzi, niklu, chromu, manganu...

Mimo że bez wątpienia poprawna, jednak wizja czarnoksiężnika – Elfa ze spektroskopem była dostatecznie zabawna, żeby umysłowi Holgera do końca przywrócić równowagę. Zdumiał swoich towarzyszy, roześmiewszy się głośno.

– No cóż – powiedział, sam nieco zdziwiony swym brakiem wrażliwości – zobaczymy, co tu mamy. Ukląkł i podniósł zasłonę hełmu. Zionęła na niego pustka. Zbroja była pusta. Pewnie przez cały czas.

Faerie wydawała się zupełnie dzika – wzgórza, lasy, nie uprawiane doliny. Holger spytał krasnoluda, dziwnie cichego odkąd przekroczyli granicę półmroku, czym żywią się jej mieszkańcy. W odpowiedzi usłyszał, że część żywności i napojów po prostu wyczarowują, część otrzymują z innych, podległych im rejonów Środkowego Świata, czasem także polują na dzikie bestie, zamieszkujące tutejsze lasy. Wszyscy są czarownikami i wojownikami, zaś cała praca spada na barki niewolników, wziętych spośród koboldów, goblinów i innych poślednich ras. Dalsze pytania pozwoliły Holgerowi dowiedzieć się, że Faryzeusze nie znali starości ani chorób, jednak twierdzono, że nie mają duszy. Nie wyglądają na towarzystwo, o jakim się marzy, pomyślał.

Starając się znaleźć solidne oparcie dla myśli i zapomnieć o tej pustej zbroi, leżącej w trawie wśród asfodeli, zaczął teoretyzować. Zdawał sobie sprawę, że jego wiedza matematyczno – fizyczna jest dość powierzchowna, miał jednak nadzieję, że jest zdolny do wyciągnięcia logicznych wniosków. Musi być jakieś wytłumaczenie dla istnienia tego świata!

Zarówno podobieństwa, takie jak identyczne gwiazdozbiory, jak i różnice między tym a jego własnym światem, których aż nadto miał teraz wokół siebie, wykluczały możliwość przeniesienia na inną, znajdującą się gdzieś w kosmosie planetę. To znaczy, w tym kosmosie, w którym istniała również jego Ziemia. Podstawowe prawa natury, jak grawitacja czy prawa rządzące reakcjami chemicznymi, nadal obowiązywały, jednak tutaj miały chyba klauzule zezwalające na istnienie mocy magicznych. Możliwe jest chyba założenie, że magia to nic innego, jak bezpośrednia kontrola umysłu nad materią. Nawet tam, skąd przybył niektórzy ludzie wierzyli w telepatię, telekinezę i tak dalej . Być może w tym świecie w pewnych, sprzyjających okolicznościach siły mentalne były silniejsze niż te, które rządzą materią nieożywioną... Doszedł do tego punktu i zorientował się, że właściwie nie doszedł do niczego, nadając tylko inne nazwy temu samemu zespołowi zjawisk.

No cóż, siły siłami, g d z i e w takim razie się znalazł? A może powinien spytać k i e d y? Na innej Ziemi? Może rzeczywiście jakieś dwa obiekty mogą zajmować tę samą przestrzeń w tym samym czasie, nie oddziałując na siebie wzajemnie. A jeśli jakieś dwa obiekty, to i jakieś dwa wszechświaty, wraz ze wszystkimi swoimi gwiazdami. Nie dwa, dowolna ich liczba. Znalazł się po prostu w jednym z nich: tak bliskim jego własnemu, że istniało między nimi jakieś połączenie. Jakie?

Westchnął i poddał się. Najpierw rzeczy najważniejsze. A w tej chwili rzeczą najważniejszą było utrzymanie się przy życiu w krainie, w której chyba niejeden miał coś za złe człowiekowi, noszącemu jako herb trzy serca i trzy lwy.

Z półmroku powoli wychynał zamek. Mury wznosiły się na zawrotną wysokość, dachy były szpiczaste, z wieloma załomami, zwieńczone strzelistymi, smukłymi wieżami: dzikie piękno, jak lód na zimowej puszczy. Biały kamień wyglądał jak koronki, tak delikatne, jakby można go było rozpuścić oddechem. Jednak gdy podjechali bliżej Holger zobaczył, że mury były bardzo masywne. Wzgórze, na którym zamek się wznosił otaczała fosa, a chociaż nie wpływała do niej żadna rzeka, woda krążyła, grając niestrudzenie.

Niedaleko wyrastało inne wzgórze, pokryte różami, na wpół schowane za pasmami mgły, jednak wyraźnie mające kształt kobiecej piersi. Hugi je wskazał.

– Elfi Pagórek – powiedział bardzo cicho. – W jego środku Elfy biesiady nieczyste urządzają, a

kiej księżyc na niebie stoi wychodzą, żeby tańcować wkoło.

W tle na północ, południe i wschód rozciągał się las tak ciemny, że Holger ledwo mógł odróżnić pojedyncze drzewa.

– Tamoj w Mrocznej Puszczy Faryzeusze łowy na gryfony i mantykory prowadzą – szepnął Hugi.

Z zamku zabrzmiała fanfara, daleki, zimny dźwięk jak szum rwącej rzeki. Zobaczyli nas, pomyślał Holger. Położył dłoń na rękojeści miecza. Alianora sfrunęła na ziemię i zmieniła się w człowieka. Jej twarz miała grobowy wyraz.

– Ty i Hugi – odchrząknął, przecyzszczając gardło – przyprowadziliście mnie tutaj i tysiąckrotnie wam za to dziękuję. Jednak teraz może lepiej już zawróćcie.

Alianora spojrzała w górę na niego.

– Nie – powiedziała po chwili. – Myślę, że jeszcze zostaniemy. Możemy być ci pomocni.

– Jestem dla was nikim – zająknął się. – Nic nie jesteście mi winni, zaś ja jestem winny wam więcej, niż zdołam kiedykolwiek zwrócić.

Szare oczy ciągle były bardzo poważne.

– Wydaje mi się, że jesteś kimś więcej niż nikim, nawet jeśliś sam tego nieświadom – powiedziała cicho. – Mam przecucie co do ciebie, sir Holgerze. I ja przynajmniej zostanę.

– I ja także – sapnął Hugi, jednak nie wyglądał na zadowolonego. – A tyś chyba nie myślał, że ze mnie tchórz teraz wylezie, co?

Holger nie nalegał. Spełnił swój obowiązek, dając im szansę wycofania się, ale, na Boga, był szczęśliwy, że z niej nie skorzystali!

Brama zamku otworzyła się, zwodzony most bezszelestnie opadł. Znowu zabrzmiały fanfary. Z bramy wyjechał oddział, z proporcami i herbami, w pióropuszcach, z kopiami kłującymi niebo. Holger wstrzymał konia i czekał, mocno ściskając włócznię. Więc to są władcy Faerie.

Ubrani byli w kolory, które zdawały się świecić na tle zmierzchu, w szkarłat, złoto, purpurę, zieleń, ale barwy każdego ze strojów iskrzyły się i migotały i zmieniały co chwilę. Niektórzy mieli na sobie kolczugi lub blachy ze srebrzystego metalu, wymyślnie ukształtowanego i grawerowanego, inni nosili tylko szaty i heraldyczne korony. Wszyscy byli wysocy, poruszali się z płynną gracją, której żaden człowiek, ani nawet kot nie mógłby dorównać. Zimna wyniosłość odbijała się w ich twarzach, dziwnie ukształtowanych, z wysokimi, skośnie ułożonymi kośćmi policzkowymi, szerokimi nozdrzami, wąskimi szczękami. Skórę mieli białą, włosy długie, błękitnosrebrne, mężczyźni w większości nie – nosili zarostu. Gdy podjechali bliżej, Holger pomyślał, że są ślepi, gdyż ich skośne oczy były jednolitym błękitem. Wkrótce jednak doszedł do wniosku, że widzą lepiej niż on.

Jadący na czele zatrzymał się i skłonił nieznacznie głowę.

– Witaj, panie rycerzu – powiedział. Jego głos był piękny, brzmiał bardziej jak śpiew, niż jak mowa. – Ja zwę się Alfrik, książę Alfarlandu w Królestwie Faerie. Nieczęsto zdarza się, żeby śmiertelny zawitał do nas w gości.

– Witajcie, panie. Skierowała mnie do was wiedźma Matka Gerda, która, jak ufam, jest uniżoną służką waszej łaskawości. – Gładkie zdania same formowały się w ustach Holgera. – Uważa ona, że

wasza mądrość może rozwikłać dręczący mnie problem. I tak oto przybywam, żeby prosić o przysługę.

– Ach tak. Rad to słyszę. Ty i twoi słudzy możecie zostać tak długo, jak będziecie chcieli, a ja dołożę wszelkich starań, żeby rycerzowi o twojej pozycji pomóc w miarę mojej mocy.

O mojej pozycji? Holger był przekonany, że stwór, który ich zaatakował był jednym ze sług księcia. Trzy serca i trzy lwy zdawały się nie cieszyć popularnością w Środkowym Świecie. Pozostawało pytanie, czy Alfrik już rozumiał, że Holger wcale nie jest tym, którego on chce zabić? A bez względu na to, czy rozumiał, co się naprawdę dzieje pod maską tej gładkiej twarzy?

– Dziękuję waszej łaskawości – powiedział głośno.

– Z bólem muszę prosić, żebyś zostawił krzyż i żelazo na zewnątrz, ale znasz przecież nieszczęsną słabość naszej rasy – powiedział Alfrik dwornie. – Nie obawiaj się, dostaniesz inną broń w zamian.

– W waszym zamku, panie, nie mogą kryć się żadne groźby – odpowiedział Holger, dziwiąc się jak łatwo przychodzą mu kłamstwa.

Alianora przestąpiła z nogi na nogę.

– Przypilnuję twego dobytku, Holgerze – powiedziała. – Ja wolę zostać za bramą. Alfrik i inni Faryzeusze zwrócili na nią swe szerokie, puste oczy.

– Toż to łabądziewa, o której tyle słyszeliśmy – książe uśmiechnął się. – Nie, piękna panno, złym byśmy się okazali gospodarzem, gdybyś również ty u nas schronienia nie znalazła.

Potrząsnęła z uporem głową. Alfrik lekko zmarszczył brwi.

– Czyżbyś odmawiała? – syknął.

– Odmawiam – powiedziała krótko.

– Ja tu przy niej останę – wtrącił się pośpiesznie Hugi.

– Nie, ty pójdziesz z sir Holgerem – powiedziała dziewczyna.

– Ale...

– Słyszałeś, co powiedziałam.

Alfrik wzruszył ramionami.

– Gdybyś zechciał do nas dołączyć, panie rycerzu... – zasugerował.

Holger zsiadł z konia i zdjął zbroję. Faryzeusze odwrócili wzrok, gdy dotknął swego miecza, w którym jelec tworzył ramiona krzyża. Papillon zarżał i spojrzał na ich konie. Alianora załadowała ekwipunek na ogiera i ujęła wodze.

– Poczekam na ciebie w lesie – powiedziała i odeszła razem z koniem. Holger patrzył za nią aż zniknęła mu z oczu.

Orszak wjechał do zamku. Działziniec był bardzo obszerny, z drzewami i kwiatami w donicach, szumiącymi wodą fontannami, muzyką i z powietrzem przesyconym zapachem róż. Holger zauważył grupę kobiet z Faerie, zebranych przed głównym budynkiem i przyglądających mu się uważnie. Na chwilę zapomniał o wszystkim innym. No, no... Warto było przemierzyć wszechświat, żeby chociaż przez chwilę na nie popatrzeć. Ukłonił im się, ciągle oszołomiony.

Alfrik kazał niskiemu, zielonoskóremu niewolnikowi zaprowadzić Holgera do jego kwatery.

– Oczekujemy cię na obiedzie – powiedział.

Holger i depczący mu po piętach Hugi przeszli wzdłuż długich, wysokich korytarzy, poskręcanych jak labirynt, ze ścianami jaśniejącymi przyćmionym światłem. Przez zwieńczone łukami wejścia widział fragmenty komnat, błyszczących drogimi kamieniami. Oczywiście, pomyślał, starając się zachować spokój ducha, co w tym dziwnego, jeżeli można takie rzeczy wyczarować wprost z powietrza...

Wspięli się na długie, biegnące łukiem schody, minęli obszerną salę i weszli do apartamentu, składającego się z kilku jakby wyjętych z baśni z tysiąca i jednej nocy pomieszczeń. Goblin uklonił się w pas i wyszedł. Holger rozejrzał się. Połyskujące dywany, mozaiki z kamieni szlachetnych, gobeliny tkane złotą nicią. Wyjrzał przez balkonowe okna, wychodzące na wieloakrowy ogród. Stożkowe lampy płonęły czystym, nieruchomym światłem. Na jednej ze ścian wisiał gobelin, na którym sceny z wolna się zmieniały, opowiadając historię, od której Holger z lekkim drżeniem odwrócił oczy.

– Rzec można, niegorzej sobie tutaj radzą – stwierdził Hugi. – Jeno cały ten kram z ochotą na mój stary dąb bym zamienił. Nieczyste są te mury.

– Bez wątpienia. – Holger wszedł do łazienki, w której znalazł wszelkie wygody własnego domu, mydło, bieżącą wodę, nożyczki, ostrza do golenia, szklane lustro, a jednak nic tu nie było takie, jak w domu. Mimo wszystko wyszedł z niej wyraźnie odświeżony. Na łóżku leżał strój, który najwyraźniej był przeznaczony dla niego – kiedy go włożył, leżał na nim jak druga skóra. Jedwabna koszula z długimi rękawami, purpurowa kamizela z atłasu, karminowe, obcisłe portki, krótka, błękitna peleryna, czarne pantofle z aksamitu, wszystko wyszywane złotą nicią, ozdobione kamieniami i obszyte miękkim, dziwnym futrem – ten strój jeszcze bardziej poprawił jego samopoczucie. Zauważył, że w rogu pokoju leży broń i wyposażenie towarzyszące, łącznie z mieczem o półokrągłym jelcu. Dobrze to świadczyło o takcie Alfrika, jakkolwiek nie leżało tu chyba w zwyczaju zabieranie broni na obiad.

– Zaiste godnie się prezentujesz, sir Holgerze – podziwiał Hugi. – Może jakieś damy tutejsze zawojujesz. One tu nie od tego, powiadają.

– Chciałbym wiedzieć dlaczego wszyscy oni stali się nagle tacy przyjaźni – powiedział Holger. – Czy Faryzeusze nie mają, łagodnie mówiąc, na pieńku z ludźmi? Czemu Alfrik tak się dla mnie stara?

– Tego ci nie powiem, chłopcze. Może to jeno sidła na ciebie zastawione. A może bawi go świadczyć ci grzeczności. Nie zgadniesz co oni z Faerie pomyślą albo zrobią. Sami siebie nie znają, ani też dbają o to.

– Czuję się winny, że pozwalam, żebyś ty tutaj samotnie siedział i żeby Alianora koczowała w lesie. – Och, pewnikiem przyniosą mi jakieś jedzenie, a i pannie lepiej być, gdzie jest. Wiem, co ona zamyśliła. Ja tutaj radą i czynem mam ci dopomagać. zaś ona za murami czeka, żeby zrobić co będzie mogła w razie potrzeby.

Pojawił się goblin, służalczo anonsując, że obiad został podany. Holger poszedł za nim przez dymnoblękitne sale i w końcu znalazł się w pomieszczeniu tak ogromnym, że niemal nie widział jego przeciwnego końca i sufitu. Panowie i damy z Faerie otaczali stół jak tęcza, w której wymieszano

kolory. Wokół krzatali się niewolnicy, skądś dobiegała muzyka, rozmowy i śmiech tańczyły ponad ciszą, która w jakiś sposób ciągle wisiała w powietrzu.

Holger został posadzony po lewej stronie Alfrika, po swojej lewej mając dziewczynę, przedstawioną mu jako Merwen. Wrażenie, jakie zrobiła na nim jej twarz i figura było tak wielkie, że ledwo usłyszał imię. Usiadł, czując wate w kolanach i spróbował nawiązać rozmowę.

Odpowiedziała ochoczo, mimo nieporadności jego starań. Z tego, co udało mu się dotychczas usłyszeć Holger wywnioskował, że rozmowa była tutaj subtelną sztuką: szybka, błyskotliwa, poetycka, cyniczna, zawsze ze śladem złośliwości, zawsze poddana złożonym zasadom, których jeszcze nawet nie zaczął pojmować. No cóż, pomyślał, nieśmiertelni, którzy nie mieli nic innego do roboty poza polowaniami, magią, intrygami i wojnami z czystej konieczności musieli rozwijać sofistykę. Nie słyszeli tutaj o widelcach, ale jedzenie i wiele gatunków win było symfonią. Gdyby tylko Meriven nie przyciągała tak jego myśli. Był to typowy *embarras de richesses*.

– Doprawdy – szepnęła, przykuwając jego wzrok tymi dziwnymi oczami, które u niej jakoś mu nie przeszkadzały – dzielny jesteś człowiekiem, skoro tutaj przyszedłeś. To śmiertelne uderzenie, które zadałeś swemu przeciwnikowi, och, to było naprawdę piękne!

– Widziałaś? – spytał ostro.

– Tak, w Czarnej Studni. Obserwowałam cię. A co do tego, czy tylko żartowaliśmy, czy też naprawdę nastawiliśmy na twe życie, no cóż, sir `Olgerze, dla młodego człowieka nie zawsze jest dobrze wiedzieć zbyt wiele. Odrobina niepewności chroni go przed ociężałością. – Zaśmiała się słodko. – Ale co cię tu sprowadza?

Uśmiechnął się.

– Również młode damy zbyt wiele nie powinny wiedzieć – odpowiedział.

– Ach, okrutnik! Jednak jestem rada, że przyjechałeś. – Zwracając się do niego, użyła formy, jaka była używana między przyjaciółmi. – Mogę tak do ciebie mówić, szlachetny panie? Jest między nami pokrewieństwo dusz, nawet jeżeli od czasu do czasu znajdujemy się w stanie wojny.

– Najdroższy nieprzyjaciel – powiedział Holger. Opuściła wzrok, uśmiechając się z uznaniem. Jego własne oczy również jakby miały tendencję do wędrowania w dół – ten jej dekolt! Przeszukał pamięć, starając się znaleźć więcej cytatów z Szekspira. Sytuacja była jakby dla nich stworzona.

Ciągnął dalej flirt w tym stylu przez cały bankiet; który zdawał się trwać wiele godzin. Gdy wreszcie się skończył, towarzystwo przeszło na tańce, do sali chyba nawet większej niż jadalna. Jednak gdy tylko zabrzmiała muzyka, księżę Alfrik odciągnął Holgera na bok.

– Chodź teraz ze mną na chwilę, szlachetny panie – powiedział. – Lepiej od razu, w cztery oczy, przedyskutujmy twój problem, żebym miał trochę czasu nad nim pomyśleć. Później jak przypuszczam, nasze panie raczej nie pozwolą ci cieszyć się spokojem.

– Dziękuję, panie – powiedział Holger, nieco niezadowolony. W tej chwili rzeczywistość niezbyt go obchodziła.

Nieśpiesznym krokiem wyszli do ogrodu, znaleźli ławkę, skrytą pod świecącymi gałęziami wierzby i usiedli. Przed nimi płąsała woda w fontannie, z tyłu śpiewał słowik.

– Powiedz, co chciałeś rzec, sir `Olgerze – zachęcił Alfrik.

Nie było powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Jeżeli Faryzeusz posiadał moc, która jego, Holgera,

mogła wysłać z powrotem do domu, to powinien dokładnie orientować się w sytuacji. Tylko jak zacząć? Jak można opowiedzieć cały świat?

Holger starał się, jak potrafił. Alfrik od czasu do czasu pomagał mu jakimś bardziej szczegółowym pytaniem. Ani razu nie okazał zdziwienia, jednak gdy Holger skończył, zamyślił się głęboko. Oparł łokcie na kolanach i wyjął sztylet z białego metalu, który nosił przy pasie. Obracał go jakby bezwiednie w palcach i Holger przeczytał wygrawerowaną na nim inskrypcję. "Płomienne Ostrze". Zastanawiał się, co to może znaczyć.

– Dziwna opowieść – powiedział Alfrik. – Najdziwniejsza z tych, które dotąd słyszałem. Jednak myślę, że jest w niej prawda.

– Czy... czy możecie mi pomóc, panie?

– Nie wiem, sir `Olgerze – zwracanie się do ciebie w ten sposób w dalszym ciągu wydaje się najbardziej odpowiednie. Nie wiem. W przestrzeni jest wiele światów, czarownicy i astrologowie od dawna zdają sobie z tego sprawę, ale wielość wszechświatów to całkowicie odrębna koncepcja, o której tylko niejasne wzmianki można znaleźć w pewnych starożytnych pismach. Jeżeli słuchałem cię, nie popadając w obezwładniające zdumienie, to tylko dlatego, że ja sam czyniłem pewne spekulacje na temat istnienia innej Ziemi, takiej, jaką ty opisujesz. To ona może być źródłem pewnych mitów i legend, jak opowieści o Fryderyku Barbarossie czy wielkie, epickie pieśni o cesarzu Napoleonie i jego herosach. – Jakby do siebie Alfrik wymruczał kilka linii:

Gerard li vaillant, brigadier magrees,
tres ans tut pleins ad este an Espagne
combattant contre le Grande – Bretagne.

Wstrząsnął się i ciągnął dalej nieco żywszym tonem:

– Leży w mej mocy przywołanie duchów, które mogą udzielić rad. Zajmie to bez wątpienia trochę czasu, zrobimy jednak co będziemy mogli, żeby okazać ci gościnność. Myślę, że możemy mieć poważne nadzieje na ostateczny sukces.

– Naprawdę jesteście, panie, aż nadto dla mnie uprzejmi – powiedział Holger zakłopotanym tonem. – Nie – Alfrik machnął ręką. – Wy, śmiertelni, nie wiecie jak nużące może się stać życie nie mając końca i jak chętnie wita się w nim takie, jak to, urozmaicenia. To ja powinienem ci podziękować.

Wstał, uśmiechając się.

– A teraz, jak sądzę, chętnie wrócisz na tańce – powiedział. – Baw się dobrze, przyjacielu.

Holger wracał w upojnym nastroju. Zbyt pochopnie oceniał ten Środkowy Świat. Nikt nie mógłby być równie układny i uprzejmy jak Faryzeusze. Lubił ich!

Gdy wszedł do sali balowej, Meriven oderwała się od grupy kilku innych pań. Zawisła mu na ramieniu i powiedziała kokieteryjnie:

– Sama nie wiem dlaczego to robię, panie rycerzu. Odszedłeś, nie mówiąc ani słowa i zostawiając mnie zupełnie samą.

– Teraz postaram się to nadrobić – powiedział Holger.

Elfia muzyka otoczyła go, wdarła się w niego. Nie znał majestatycznych układów tanecznych,

które obserwował wokół siebie, ale Meriven szybko nauczyła się kroku foxtrota i Holger stwierdził, że nigdy nie miał lepszej partnerki. Nie bardzo wiedział jak długo trwał ten bal. W pewnej chwili wymknęli się we dwoje do ogrodu, pili z fontanny, z której tryskało wino, śmiali się i już nie wrócili. Reszta nocy była równie przyjemna jak najlepiej wspomniane z tych, które miał już za sobą, albo nawet bardziej.

W tej krainie nie istniały prawdziwe poranki czy wieczory, jasne dni ani ciemne noce. Jej mieszkańcy zdawali się regulować te sprawy według własnego widzimisię. Holger budził się powoli i w znakomitym nastroju. Stwierdził, że jest znowu sam. W idealnie właściwym momencie drzwi się otworzyły i wszedł goblin, niosąc tacę ze śniadaniem. Musieli chyba użyć magii, żeby poznać jego gust kulinarny – żadnych kontynentalnych nonsensów, tylko dobre, amerykańskie śniadanie: jajka na szynce, grzanki, gryczane ciastka, kawa i sok pomarańczowy. Gdy już wstał i ubrał się, przyszedł Hugi. Minę miał dość zafrasowaną.

– Gdzie ty byłeś? – spytał Holger.

– Och, spałem tamoj w ogrodzie. Wydało mi się, że najwłaściwiej tak będzie, gdy ty... hmmm... byłeś zajęty, – Krasnolud usiadł na podnóżku – brązowa plama, zupełnie nie na miejscu w tym złocie, szkarłacie i purpurze. Pogładził się po brodzie. – Cosik tu wisi w powietrzu i mnie się to nie podoba.

– Po prostu jesteś do nich uprzedzony – powiedział Holger. Myślał przede wszystkim o tym, że umówił się z Meriven na polowanie z sokołami.

– Och, oni potrafią pięknie się pokazać i w głowie ci zawrócić różnymi winami i pannicami wielce chętnymi – wymamrotał Hugi – jeno że przyjaźni między ludźmi a Faerie nigdy za wiele nie było, a nynie, kiej Chaos k wojnie się zbiera to już najmniej. Ja tam swoje wiem. A i zobaczyłem co nieco, kiej w onym ogrodzie leżałem. Wielkie błyski światła na najwyższej wieży i postać jakoby demona odlatującą w dymie, a smród czarnoksięstwa był taki, że mało, a krew by mi się w żyłach ścięła. A później jeszcze inna postać z zachodu w pośpiechu nadleciała, lądowała na wieży i wlała do środka. Tak mi się widzi, że księżę dziwadło jakoweś nieczyste na pomoc zawezwał.

No cóż, pewnie tak – powiedział Holger. – Mówił mi, że tak robi.

– Baw się, baw – mamrotał dalej Hugi. – Raduj się w paszczy wilka siedząc. A kiej twoje martwe ciało krukom na pożarcie wywloką, nie gadaj zem cię nie ostrzegał.

Holger wyszedł na schody i zaczął schodzić w dół. Resztki obiektywizmu zmusiły go do rozważenia słów krasnoluda. To rzeczywiście mógł być podstęp, który miał go tu tutaj zatrzymać; aż będzie za późno... Za późno na co? Przecież gdyby planowali coś złego, mogli go z łatwością zasztyletować albo otruć. Potrafił stawić czoła jednemu z ich rycerzy – który zaatakował go prawdopodobnie tylko dlatego, że Holger miał tarczę jakiegoś tajemniczego paladyna o herbie z trzech serc i trzech lwów – ale przecież nie dałby rady tuzinowi. Dałby im radę? Opuścił dłoń na rękojeść miecza. Dobrze było mieć coś takiego przy sobie.

Meriven nie ustaliła dokładnej godziny – chyba nikt tu nie mierzył upływu czasu. Holger włączył się przez chwilę po głównej sali audiencyjnej. Potem przyszło mu do głowy, że mógłby odszukać księcia i spytać go, czy jest coś nowego w jego sprawie. Wypytał ponurego kobolda – niewolnika i dowiedział się, że pokoje pana tego zamku znajdują się w północnym skrzydle, na pierwszym piętrze. Pogwizdując wesoło wspinał się na szerokie schody, przeskakując po trzy stopnie, na raz.

Dotarł na górę w tym samym momencie, w którym z położonych naprzeciw drzwi wyszedł

Alfrik w towarzystwie jakiejś kobiety. Holger widział ją tylko przez chwilę, gdyż od razu weszła z powrotem do pokoju, jednak i tak był oszołomiony. Ten świat wydawał się pełen istot o nadzwyczajnej urodzie. Była człowiekiem, wyższa i pełniejsza w kształtach niż kobiety z Faerie; długie, ciemne jak noc włosy nosiła zwinięte pod złotym diademem; biała, atlasowa suknia zamiatała podłogę. Jej twarz miała bladość kości słoniowej, nos był lekko łukowaty, w kącikach czerwonych ust i w czarnych, błyszczących oczach czaiła się arogancja. Hm! Książę miał szczęście.

W oczach Alfrika błysnął gniew, znikając jednak niemal natychmiast.

– Dzień dobry, sir `Olgerze. Jak samopoczucie? – Gdy pochylił głowę w ukłonie, jego ręce wykonały kilka dziwnych gestów.

– Doskonale, panie – Holger odkłonił się. – Mam nadzieję, że wasze również...

– O, tu jesteś, niegrzeczny chłopaku. Czyżbyś chciał schować się przede mną? – Meriven chwyciła ramię Duńczyka. Skąd, do diabła, ona się tu wzięła? – Chodźmy, konie już gotowe, polowanie na nas czeka. – Odciągnęła go, zanim zdążył nabrać powietrza w płuca.

Spędzili kilka miłych godzin, wypuszczając sokoły na żurawie, dzikie pawie i jakieś mniej znajome Holgerowi ptaki. Meriven wesoło trajkotała i Holger musiał się śmiać razem z nią. Ta anegdota o polowaniu na bazyliuszka... no cóż, niezbyt nadawała się do opowiadania w mieszanym towarzystwie, ale była rzeczywiście śmieszna. Holger bawiłby się jeszcze lepiej, gdyby nie to, że znowu nie dawała mu spokoju jego pamięć. Ta kobieta z księciem – przecież on j ą z n a ł!

Miał możliwość widzieć ją tylko przez chwilę, ale jej obraz stał mu wyraźnie przed oczyma. Wiedział, że jej głos jest niski, sposób bycia wyniosły, kapryśny, że czasem bywa uprzejma, a czasem okrutna, ale że wszystkie jej nastroje to tylko barwy, mieniające się na powierzchni niewzruszonej woli. Meriven wypadła dość blado w porównaniu z... z... jak ona się nazywa?

– Jesteś smutny, mój panie. – Dziewczyna z Faerie położyła swoją dłoń na jego dłoni.

– Och, nie. Nie. Zamyśliłem się tylko.

– Wstydz się! Pozwól, że czaru użyję, żeby myśl odegnać, jest ona dzieckiem troski i ojcem smutku. – Meriven zerwała z drzewa zieloną gałązkę, zgięła ją i machnęła, wypowiadając przy tym kilka słów. Gałązka stała się harfą. Meriven zagrała na niej, śpiewając mu pieśni miłosne. Kołysały go one przyjemnie, a jednak...

Gdy, wracając, zbliżali się już do zamku, Meriven nagle chwyciła go za ramię.

– Tam, patrz! – szepnęła. – Jednorożec! Rzadko się teraz w tych stronach pokazują.

Zobaczył piękne, białe zwierzę, przemykające się między drzewami. Na rogu wisiał zabłąkany pęd bluszczu. Chwileczkę. Holger wyteżył wzrok, starając się pokonać półmrok. Tam z boku ktoś chyba idzie?

Meriven sprężyła się jak pantera.

– Jeśli podkradniemy się bliżej... – szepnęła. Jej koń ruszył naprzód, bezgłośnie stawiając kopyta na miękkim mchu.

Jednorożec stanął, obejrzał się na nich i już go nie było – jasny cień, gwałtownie niknący z pola widzenia. Meriven zaklęła z zupełnie niekobiecą wymyślnością. Holger nic nie powiedział, gdyż zobaczył kto towarzyszył jednorożcowi. Na chwilę jego oczy spotkały się z oczami Alianory. Teraz również jej już nie było.

– No cóż, takie jest życie – Meriven wróciła do niego i pojechali dalej razem. – Och, nie martw się tak bardzo, mój panie. Może później zbierzemy grupę i wytropimy tę bestię.

Holger chciałby w tej chwili być nieco lepszym aktorem. Nie może pozwolić, żeby odgadła, że narosły w nim nagle podejrzenia. Jednocześnie sam musiał je dobrze przemyśleć. Nie chodziło o to, że nagle miał jakieś nowe powody, żeby myśleć źle o Faerie: po prostu widok Alianory coś w nim poruszył. Potrzebna mu była rada Hugiego.

– Wybacz mi, pani – powiedział – chciałbym wziąć kąpiel przed obiadem.

– Och, moja wanna jest dostatecznie duża dla nas obojga i kilku przyjemnych ćwiczeń, których mogłabym cię nauczyć – zaproponowała.

Holger żałował, że nie ma hełmu, który zakryłby mu uszy. Czuł, że są rozżarzone.

– Chciałbym się też chwilę zdrzemnąć – tłumaczył się niezręcznie. I w przypływie natchnienia: – Muszę być w jak najlepszej formie na później. Dla ciebie. Mam przecież tylu konkurentów.

Uciekł, zanim miała okazję dalej nalegać i niemal wbiegł do swego apartamentu. Hugi spojrział na niego z łóżka, na którym zwinął się w kłębek. Holger nachylił się nad nim.

– Dzisiaj rano widziałem kobietę – powiedział, szybko i cicho, potem opisał ją, nie na podstawie dzisiejszego krótkiego spotkania, ale opierając się na tym, co tkwiło w jego pamięci, a co zdawało się rozciągać na lata. – Kim ona jest?

– Hummm... – Hugi przetarł oczy. – Tak wygląda, żeś królową Morgan le Fay wyszpiegował. Może to być, że ją samą Alfrik ostatniej nocy z Avalonu przyzwał? Tak już pewnikiem jakoweś diabelstwo się szykuje.

Morgan le Fay! To była ona. Holger był tego pewien, chociaż nie wiedział dlaczego. I Avalon, tak, widział tę wyspę ptaków i róż, tęczy i czarów, ale gdzie i kiedy i jak?

– Opowiedz mi o niej – nalegał – wszystko, co wiesz.

– Oho, to kniej teraz cholewki smalić zaczynasz? Ona nie dla takich jak ty, ani nawet jak książę Alfrik. Nie podnoś oczów za wysoko, bo ci je słońce spali. A lepiej, bo księżyc wyssie ci rozum.

– Nie, nie, nie! Ja po prostu muszę wiedzieć, to wszystko. Może będę mógł wywnioskować dlaczego ona tutaj jest.

– Taaak... Za wiele to ja nie wiem. Avalon hen na zachodnim oceanie leży, a ona część świata jeno z bająn starych bab nam znajoma. Jednak ludzie wiedzą, że Morgan le Fay siostra Arturowi, któren był ostatnim wielkim królem Brytów. Jeno że w niej mocno i dziko płynie ta krew, która w onej familii z Faerie pochodziła. Najpotężniejsza to wiedźma w całym Chrześcijaństwie czy spośród pogan, a i w Środkowym Świecie z każdym zmierzyć się może. Śmierci nie podlega, a drażliwa jest okropnie: nikt nie wie z Ładem czy z Chaosem stoi, czy jeno ze sobą. Powiadają, że Artura uniosła, kiej leżał ranion śmiertelnie, leczyć go i chować, aż czas jego przyjdzie, coby wrócił. Może i tak, a może to jeno chytra sztuczka, coby mu do onego powrotu sposobności nie dać. Och, nijak radości nie czuję, zem pod jeden dach z nią trafił.

Ciągle żadnego dowodu. Morgan mogła tu przybyć, żeby pomóc Alfrikowi w rozwikłaniu problemu Holgera, ale mogła także wpaść w jakiejś innej sprawie, nie mającej z tym nic wspólnego. Jednak mimo wszystko wyglądało to dość dziwnie.

Do sypialni wszedł goblin.

– Łaskawy książę ucztę dla zamkowych sług wydaje – powiedział. – Ty, krasnoludzie, proszony jesteś.

– Hummm... – Hugi pogładził się po brodzie. – Dzięki wielkie, nie. Nie czuję się za dobrze.

Goblin uniósł bezwłose brwi.

– Nie będzie to dobrze widziane, jeśli ucztą wzgardzisz – powiedział.

Hugi wymienił spojrzenia z Holgerem. Duńczyk skinął głową. Być może był to wybieg, mający usunąć krasnoluda z drogi; ale nawet jeśli tak, to nie było sposobu na wyłganie się z tego.

– Idź, Hugi – powiedział. – Zabaw się.

– No, tak. Uważaj na siebie. – Hugi podreptał za goblinem. Holger zapalił fajkę i ułożył się w wannie, żeby trochę pomyśleć. Czuł się tak, jakby był schwytyany w pajęczą sieć. Bardzo delikatna, nawet miła, ale nie możesz się wydostać. Ogarnęła go panika, chciał krzyczeć i uciekać.

Zdusił ją w sobie. W tej chwili nie mógł nic zrobić, mógł tylko udawać, że wszystko jest w porządku. Poza tym jego podejrzenia były oparte na tak wątplych podstawach. A jednak...

Został mu dostarczony nowy strój balowy. Włożył go, guziki i klamry pozapinały się same. Ledwo skończył, okrągła klamka u drzwi uformowała się w metalowe usta i powiedziała:

– Jego Wielmożność Książę prosi o pozwolenie wejścia. – Jiip! – powiedział Holger. Potem, odzyskując panowanie nad sobą – P – p – proszę wejść. Najwyraźniej niewolnicy, których właściwie nie wypadało dostrzegać, wchodzili i wychodzili bez pytania o zgodę, podczas gdy wyżej postawieni wzajemnie szanowali swoje prawo do samotności.

Faryzeusz wszedł, jego blada, rzeźbiona twarz rozciągnięta uśmiechem.

– Przynoszę dobre wieści – powiedział. – Naradzałem się z licznymi Mocami i wydaje się, że istnieją poważne szanse na odesłanie cię do domu.

– To... to... nie wiem, jak wam dziękować, panie – wyjąkał Holger.

– Trochę czasu zabierze zebranie ingrediencji, niezbędnych do czarów – powiedział Alfrik. – Sądzę, że tymczasem chętnie weźmiesz udział w urządzanej właśnie, specjalnej zabawie. Odbędzie się ucztą we Wzgórzu Elfów.

– Hm? Ach, tak. Widziałem to miejsce. Alfrik ujął go pod ramię.

– Możemy więc iść? Gwarantuję, że spędzisz kilka naprawdę pikantnych godzin. Elfy wiedzą, jak uczynić człowieka szczęśliwym.

Holger nie miał specjalnej ochoty na orgię, ale w żaden sposób nie mógł odmówić. Zeszli razem ze schodów. Mieszkańcy zamku już się gromadzili, rozszepcany wir kolorów, płynący przez sale na zewnątrz, na dziedziniec. Meriven wyszła spośród nich i Alfrik przekazał jej Holgera.

– Będę ci towarzyszyła do Wzgórza – powiedziała. – Nie mam zamiaru pozwolić jakiegś elfiej dziewczusze ukraść mi ciebie.

– A co, czyżby nie wszyscy tam szli?

– Później. My dwoje mamy pójść jako pierwsi. Reszta przyjdzie za nami, trochę później. Zobaczysz, jak to wszystko zostało przemyślane.

Holger pomyślał o śmiertelnych pułapkach, ale odrzucił to podejrzenie, gdyż będzie z nim

przecież jedna z nich.

Wijąca się parada płynęła przez bramy, na most i dalej, przez łąki ku porośniętemu różami Wzgórzu Elfów. Za Holgerem lekko stąpały konie, niosące wojowników, na długich kopytach powiewały proporce, muzycanci dęli w rogi, przebierali palcami po strunach harf i lutni, setka panów i dam z Faerie tańczyła, zbliżając się do wzgórza. Usłyszał inną muzykę, tę, która popłynęła im na spotkanie, wysokie, pełne słodczy tony, mieszające się z jego krwią i wirujące mu w głowie. Uśmiechnął się do Meriven, nagle bardzo jej pragnąc, a ona zaśmiała się w odpowiedzi, ściskając mocniej jego ramię. Wiatr dmuchnął mu w twarz jej jasnymi, rozpuszczonymi włosami, na wpół go oślepiając, i zapachem jak smak mocnego wina. Wzgórze otworzyło się. Przez loki Meriven zobaczył migoczące światło, od którego czernią odcinały się wysokie postacie. Muzyka przyspieszała jego kroki, już nie mógł dłużej czekać...

Podkowy zadudniły o ziemię. Zarżał koń, głośno i gniewnie. Holger odwrócił się i zobaczył Alianorę, galopującą od strony lasu. Jej twarz była wykrzywiona przerażeniem.

– Holger! Nie, Holger, nie wchodź tam!

Za jego plecami Alfrik bluznął przekleństwami. Włócznia przeszła powietrze, o włos mijając dziewczynę. Holger stał, skamieniały ze zdumienia.

– Wzgórze! Wprowadźcie go do wzgórza! – ryknął Alfrik.

Meriven pociągnęła go za ramię. Trzech Faryzeuszy rzuciło się naprzód jak gracze w rugby. Holgera ogarnęła nagle dzika wściekłość. Runął im naprzeciw. Najbliższego nadział na wyciągniętą rękę, pozwalając mu osunąć się na ziemię i tam spokojnie leżeć. Jego prawa pięść zatoczyła tuk, ciągnąc za sobą Meriven, i wbiła się w drugą przystojną twarz. Przed trzecim wojownikiem uskoczył. Wyrósł przed nim jeździec, kopią sięgając niemal jego żeber. Wyrwał się Meriven, kurczowo uczeplonej jego ramienia, chwycił ją, podniósł nad głowę i cisnął nią w pierś jeźdźca. Oboje przetoczyli się przez zad konia.

Trzech konnych otoczyło Alianorę. Papillon stanął dęba, uderzył przednimi kopytami i posłał jednego z nich na ziemię. Obróciwszy się, ukąsił potężnie konia, na którym siedział drugi jeździec. Zwierzę zarżało żałośnie i pogalopowało w dal. Trzeci napastnik ciał Alianorę mieczem. Uchyliła się i zeskoczyła na ziemię.

– Hai! – Wskoczyła niemal prosto w ramiona ubranego w aksamit Faryzeusza. Złapał ją, uśmiechając się szeroko, gdy próbowała się wywinąć. Jednak chwilę później już trzymał łabędzicę. A łabędzie mają paskudne charaktery.

– Jej! – krzyknął gdy łabędzica sięgnęła dziobem do jego oczu.

– Jejej! – dodał, gdy uderzenie skrzydła niemal złamało mu szczękę.

– Ratunku! – zakończył, gdy Alianora zamknęła dziób na jego palcu. Potem puścił ją i uciekł. Panowie z Faerie wrzeli wokół Holgera, siekąc i dźgając jego nieosłonięte zbroją ciało. Był zbyt wzburzony, żeby czuć rany. Jakaś niewielka część jego mózgu chłodno dziwiła się niesamowitemu szczęściu, które pozwalało mu na razie obejść się tylko niewielkimi skaleczeniami. Czy może to być tylko szczęście? Nakarmił najbliższego przeciwnika swoimi knykciami, złapał jego miecz i wywinął nim młyńca wokół siebie. Miecz był lżejszy niż żelazny, mógł nim operować jedną ręką, ostrze było jednak jak brzytwa. Wojownik ciał w jego głowę toporem, Wolną ręką chwycił trzonek, wykręcił go z palców tamtego i teraz rąbał Faryzeuszy mieczem i toporem.

Papillon zaatakował tłum od tyłu, kopiąc, kłusując, depcząc, aż przebił się do swego pana. Stopa Holgera szybko znalazła strzemień. Wskoczył na siodło. Ogier ruszył galopem naprzód.

Za nimi zadudniły podkowy. Odwracając się, Holger zobaczył goniących go rycerzy. Ich wierzchowce były szybsze od Papillona. Wyrzucił już zdobyczną broń, a Alianora siłą rzeczy nie mogła przynieść jego kopii. Jednak jego własny miecz i tarcza wisiały przy jego nogach. Sięgnął po nie. Nie było na razie czasu na wkładanie zbroi, zwiniętej w pakunek za siodłem.

Obok machała skrzydłami biała łabędzica. Nagle gwałtownie skręciła. W miejsce, w którym przed chwilą się znajdowała uderzył orzeł. Holger spojrzał w górę i zobaczył, że z nieba spada więcej tych wielkich ptaków. Och, mój Boże, zamieniają się w orły, teraz ją dostaną... Alianora syknęła, dziobem i skrzydłami utorowała sobie drogę i pofrunęła w stronę lasu. Znowu w ludzkiej postaci, będzie mogła schronić się przed ornitomorfami w gęstych zaroślach. Ale w jaki sposób

ujdzie wtedy naziemnemu pościgowi?

Papillona dogonił inny koń. Siedział na nim Alfirk, z mieczem w dłoni. Długie, srebrzyste włosy owiewały mu wciąż uśmiechniętą twarz. Holger usłyszał jego głos, wyraźny mimo dudnienia kopyt, wyjącego w uszach powietrza i grania myśliwskich rogów.

– Przekonajmy się, czy rzeczywiście jesteś niezwycięzony, sir `Olgerze z Danii!

– Z przyjemnością! – odwarknął Duńczyk. Alfrik znajdował się po jego nieosłoniętej tarczy, prawej stronie, ale Holger o to nie dbał. Jego miecz uderzył z góry, spotykając się w pół drogi z lżejszym ostrzem z Faerie. Broń Alfrika skoczyła w bok i naprzód, obok zasłony Holgera. Z wprawą, której nawet u siebie nie podejrzewał, Holger trafił sztychem pod półokrągły jelec i postawił siłę swego ramienia przeciw chwytowi Alfrika. Broń wyfrunęła z dłoni księcia. Alfrik warknął i podprowadził bliżej konia. Jego lewa dłoń wystrzeliła naprzód, szybka jak wąż, zamykając się na trzymających miecz palcach Holgera. Nie mógł się długo przeciwstawiać potężniejszemu przeciwnikowi, ale też niewiele czasu mu było potrzebne, żeby wyciągnąć sztylet zza pasa.

Holger wykręcił się w siodle. Nie mógł wprowadzić całej tarczy między nich, ale udało mu się spuścić jej rant na ramię, zakończone nożem. Księżę wrzasnął. Z jego skóry dmuchnął dym. Holger poczuł smród przypalonej skóry. Biały koń dziko pogalopował przed siebie. Na Niebiosa, to prawda, co mówili! Ciała Faryzeuszy nie znosiły dotyku żelaza.

Holger tak ściągnął wodze, że spod kopyt Papillona wystrzeliły grudy ziemi. Zawrócił i nieco cofnął ogiera, zamachał mieczem i ryknął do zbliżających się jeźdźców:

– No chodźcie tu robaczki! Mam coś dla was!

Zatrzymali się równie szybko, jak on chwilę wcześniej, potem rozjechali się spokojnie na boki. Holger zobaczył biegnących ku niemu wojowników z tukami. To było niezbyt dobre. Mogli stać sobie daleko i szpikować go strzałami. Po wariacku pogalopował w ich stronę z niejasną myślą o przełamaniu ich szyku. – Rach,ciach,ciach! – wrzeszczał. – Ty – y – gry – y – ys!...

Rycerze rozpierzchli się na boki przed jego szarżą, ale łucznicy nie cofnęli się o krok. Usłyszał wstrętne bzyknięcie strzały koło ucha.

– Jesu Kryste Fili Mariae...

Faryzeusze zawyli! Wbili ostrogi w boki swych koni, porzucili broń, galopowali i uciekali we wszystkie strony jak rozrzućeni eksplozją. To także jest prawda, myślał Holger tryumfalnie, nie potrafią znieść dźwięku świętego imienia. Powinien sobie wcześniej o tym przypomnieć. Tylko... dlaczego, nie myśląc o tym, wykrzyczał to wezwanie po łacinie?

Przez moment miał ochotę spuścić im na głowy całą niebiańską hierarchię, jednak powstrzymał się, żeby nie nadużywać. ojej przewagi. Szczera modlitwa to jedno, a przywoływanie Wielkich Imion nadaremno, dla czystej radości z cudzego strachu to zupełnie coś innego i w perspektywie nie może przynieść szczęścia. (Skąd to wie? Na cóż po prostu wie.) Zadowolił się skierowaniem Papillona z powrotem na zachód i pokrzykiwaniem:

– Hej, ho, srebro!

Bądź co bądź wieść głosiła, że Faryzeusze srebra również nie lubią.

Coś błysnęło w stratowanej trawie. Wstrzymał konia, pochylił się z siodła i podniósł sztylet, który został upuszczony przez księcia. Broń nie wyglądała na nadzwyczajną, była niezbyt ostra i lekka

jak piórko, jednak na metalu widniał napis "Płomienne Ostrze". Nie wiedząc, co o tym myśleć, ale mając nadzieję, że sztylet może okazać się przydatnym talizmanem, włożył go za pas.

Teraz Alianora. Przejechał powoli brzegiem lasu, wołając jej imię, ale nie doczekał się odpowiedzi. Poprzednie radosne uniesienie zniknęło jak zdmuchnięte. Jeżeli została zabita... och, niech ich piekło pochłonie! Poczul, że zaczęły szczypać go oczy. Nie dbał o to, że zostanie sam w świecie pełnym wrogów, po prostu ona była wspaniałym dzieciakiem i uratowała mu życie. A czym on jej odpłacił? Co z niego za przyjaciel – żarł, chlał i mizdrzył się do obcych kobiet, podczas gdy ona spała w chłodnej rosie i...

– Alianora!!!

Żadnej odpowiedzi. W ogóle żadnego dźwięku. Wiatr ułożył się na spoczynek, zamek skrył się za szybko wstającą mgłą, las stał się murem nocy. Nie poza mgłą się nie ruszało, nic nie wydało dźwięku, był tu, w tym mglistym półmroku jedyną żywą istotą. Pomyślał z niepokojem o tym, że przecież nie może tutaj zbyt długo zostać. Faryzeusze wkrótce wymyślą jakiś sposób, żeby dobrać mu się do skóry. Mogą przywołać sprzymierzeńców, którzy nie boją się żelaza ani Boga. Morgan le Fay, na przykład. Jeżeli chce uciec, lepiej to zrobić od razu.

Pojechał na zachód wzdłuż granicy lasu, wołając Alianorę. Mgła jeszcze bardziej zgęstniała, podnosząc się z ziemi białymi kłębkami i smugami, tłumiąc uderzenia kopyt Papillona, zdając się niemal zduszać jego własny oddech. Krople połyskiwały na grzywie konia, tarcza lśniła wilgocią. Świat wokół zacieśniał się, w końcu z trudnością widział najbliższe dwa metry.

Sztuczka Faryzeuszy, pomyślał czując nagły przyływ strachu. Mogą go w ten sposób oślepić, a potem już łatwo będzie go pokonać. Puścił Papillona cwałem. Mimo zimnej wilgoci w powietrzu, jego usta były suche.

Coś zamajaczyło przed nim, niewyraźnie i blado w kłębiącej się szarości. – Halo! – krzyknął. – Kto tam? Stój w miejscu, albo będzie źle.

Odpowiedział mu śmiech nie kłamliwy chichot z Faerie, ale śmiech czysty i młody.

– Holger, to tylko ja. Musiałam znaleźć sobie wierzchowca. Nie możemy w długą drogę, która nas czeka we trójkę na jednym koniu wyruszać, a moje skrzydła szybko się męczą.

Wyjechała z mgły – smukła, brązowa sylwetka w białej tunice z piór. Krople rosy błyszczały na jej włosach. Dosiadała na oklep jednoroźca, niewątpliwie tego samego, którego Holger widział wcześniej.

Zwierzę przyglądało mu się czujnymi, onyksowymi oczyma i nie chciało podejść bliżej. Przed dziewczyną tkwiła skulona sylwetka krasnoluda.

– Zawróciłam, żeby tego młodzianka odnaleźć – wyjaśniła – a potem znowu w las poszliśmy i przywołałam mojego wierzchowca. Teraz jednak musisz go zabrać, bo wielce się starać musiałam, żeby Jednoróg zechciał choć krótko kogoś oprócz mnie na swym grzbiecie ponieść.

Holger poczul dojmujący wstyd. Zupełnie zapomniał o Hugim. A rozsierzdony księżę Alfrik pewnie szybko by się z nim rozprawił. Wziął małego człowieczka, z ramion Alianory i usadził przed sobą.

– I co teraz robimy? – spytał.

– Trza nam galopem się puścić, cobyśmy najszybciej jak można z tych ziem parszywych zniknęli

– burknął Hugi. – Im prędzej na powrót w uczciwym kraju się znajdziemy, tym lepsze nasze widoki, że żyć będziemy i wszem opowiadać na jakiejś to durnej wyprawie byli.

– Hm, tak. Ale obawiam się, że w tej mgle zgubimy drogę.

– Będę polatywała ponad nią od czasu do czasu i wybierała kierunek – powiedziała Alianora. – Tym sposobem przechytrzymy tych, co ją przywołali.

Poklusowali naprzód przez wilgotny, bezdźwięczny mrok. Holger zaczynał odczuwać reakcje pobitewne. Przybrały one postać poczucia własnej nieprzydatności. Do czego był potrzebny, poza wciąganiem wspaniałych, wartościowych ludzi jak Alianora w grożące im śmiercią sytuacje? Co takiego zrobił, żeby zasłużyć choćby na ten chleb, który dotychczas zjadł? Był najgorszym nierobem, utrzymywanym przy życiu przez dobroczynność.

Przypomniawszy sobie pytanie, które wcześniej przyszło mu do głowy.

– Hugi, dlaczego wchodzenie do tego wzgórza było dla mnie takie niebezpieczne?

– Nie wiesz tego? – Gęste brwi krasnoluda powędrowały ze zdziwieniem w górę. – To o to im szło, kiej mnie od ciebie odciągnęli! Cobym ostrzec cię nie zdołał... Wiedz więc, że czas w Elfim Wzgórzu przedziwnie ma zwyczaj. Trzymaliby cię tam przez jedną noc uciech, a kiej byś wyszedł, tutaj już sto lat by przeszło. W one lata oni by mogli robić to, w czym ty im wyraźnie na przeszkodzie stoisz.

Holger zadrżał.

To jednak rzuciło zupełnie nowe światło na jego status w tym świecie. Nie do pomyślenia było, żeby Alfrik i Morgan le Fay ciągle mylili go z jakimś bohaterem, którego tarczę z herbem przypadkowo znalazł. Tak więc to on sam, Holger Carlsen; sierota i uchodźca, był w jakiś sposób centralnym punktem nadciągającego kryzysu. Jednak zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, w jaki. Możliwe, że przeniesienie z innego świata dało mu... co? Aurę? W każdym razie siły Chaosu musiały przeciągnąć go na swoją stronę, a gdyby im się to nie udało – pozbyć się go.

Oszalamiająca gościnność, z Meriven wliczoną w koszty, była prawdopodobnie próbą pozyskania go. Miał też zamyślić mu oczy, podczas gdy Alfrik wzywał Morgan le Fay i toczył z nią narady. Najwyraźniej wspólnie zdecydowali, że lepiej jest nie ryzykować, ale wykorzystać jego niewiedzę i uwięzić go wewnątrz Elfiego Wzgórza na następne sto lub dwieście lat.

Ale dlaczego po prostu nie wsadzili mu noża pod żebra? To powinno być dość proste. Być może atak pustego w środku rycerza był właśnie próbą zrobienia czegoś takiego. Kiedy to się nie powiodło, Alfrik zmienił taktykę i użył podstęp. Skąd jednak książę o nim wiedział? Oczywiście, Matka Gerda. Demon, którego przyzywała musiał powiedzieć jej o Holgerze coś, co spowodowało, że natychmiast skierowała go do swych potężnych znajomych w Faerie. Bez wątpienia, używając magii, przesłała również wiadomości o nim. Pewnie miała nadzieję, że Alfrik sobie z nim poradzi.

Co takiego mógł powiedzieć ten demon? I następne pytanie – jakich sposobów teraz, gdy zawiodły siła i podstęp, Środkowy Świat się chwyci?

W każdym razie ta droga powrotu do domu była już zamknięta. Będzie musiał się rozejrzeć za inną. Sądząc z tego, co słyszał i widział, obok czarnych istnień również biali czarownicy. Może mógłby się zwrócić do któregoś z nich. Nie miał zamiaru mieszać się w tutejszy konflikt, jeżeli mógł tego uniknąć. Tylko jedna wojna naraz, proszę! Alfrik zrobiłby najlepiej, gdyby działał szczerze, spełnił jego prośbę i odesłał go do domu.

Wszystko jednak wskazuje na to, że chyba podprostu nie był w stanie tego zrobić.

Coś roześmiało się we mgle, nisko i obrzydliwie. Holger podskoczył. Hugi zatkał uszy palcami. Usłyszeli szum skórzanych skrzydeł. Wciąż jednak mogli zobaczyć tylko przesyconą wilgocią szarość.

– Ten stwór chyba jest przed nami – szepnął Holger. – Jeżeli skręcimy...

– Nie. – Usta Alianory drżały, jednak jej głos był zdecydowany. – To sztuczka, żeby nas ze ścieżki sprowadzić. Jak zgubimy się w tych chmurach, rzeczywiście możemy pożegnać się z nadzieją.

– Dobrze – powiedział Holger z głębi gardła, nagle pełnego piasku. – Ja pojedę pierwszy.

To była szarpiąca nerwy jazda, jakieś kształty prześlizgiwały się i przemykały na granicy wzroku, powietrze było gęste od syków i mlaskania, jęków, wycia i chichotów. W pewnej chwili przed Holgerem pojawiła się ślepa, straszliwa twarz. Wisiała, krzywiąc się, w oparach mgły. Holger parł uparcie naprzód i ta twarz wycofała się przed nim. Hugi zacisnął oczy i powtarzał w kółko:

– Byłem dobrym krasnoludem. Byłem dobrym krasnoludem. Byłem dobrym krasnoludem. Wydawało się, że minęła wieczność zanim mgła się podniosła. Byli na granicy krainy półmroku. Papillon i jednorożec pierwsi wyczuli słońce. Puścili się galopem i wystrzelili w jasność, witając ją głośnym rzeniem.

Zbliżał się już wieczór. Wyszli w innym miejscu niż to, w którym weszli. Długie cienie skał i wysokich, iglastych drzew kładły się na wzgórze, porośnięte gęsto ciernistymi krzewami. Zimne powiewy wiatru prześlizgiwały się po twarzy Holgera, gdzieś niedaleko szumiał wodospad. Normalny świat. Po – ilu to dniach? – w Faerie był to widok, który mógł chwycić za serce.

– Po zmroku Faryzeusze nadal mogą nas ścigać – powiedziała Alianora. – Jednak tutaj ich czary nie będą miały takiej mocy, więc nasze szanse rosną.

Jej głos był matowy od zmęczenia. Holger również poczuł, jak bardzo jest wyczerpany.

Zmusili wierzchowce do szybszego biegu, żeby przed zachodem słońca odjechać najdalej, jak to możliwe. Obóz rozbili wysoko na zboczu wzgórza, gęsto porośniętym sosnami. Holger ściał mieczem dwie proste gałęzie i zrobił z nich krzyż. Wbił go w ziemię obok ogniska, które mieli zamiar podsycać przez całą noc. Środki ostrożności, podjęte przez krasnoluda były bardziej pogańskie – krąg kamieni i żelaznych przedmiotów, układany przy wtórze mamrotania jakichś zaklęć.

– Teraz – powiedziała Alianora – chyba uda nam się przetrwać nocne godziny. – Uśmiechnęła się do Holgera. – Jeszcze ci nie powiedziałam, jak dzielnie walczyłeś tam w zamku. Ach, to był wspaniały widok!

– Hmm..., och... dziękuję – Holger spojrzał na swoje buty, czubami kopiące dołki w ziemi. Nie miał nic przeciwko temu, żeby być podziwianym przez piękną dziewczynę, tylko... =sam nie wiedział co. Żeby ukryć zmieszanie usiadł i obejrzał sztylet, który odebrał Alfrikowi. Kościana rękojeść i nieproporcjonalnie duża, miseczkowa osłona były przymocowane do cienkiego ostrza, wykonanego, jak mu się zdawało, z magnezu. Ten metal w czystej postaci był zbyt miękki, żeby można było z niego zrobić dobrą broń, nie wspominając już o tym, że łatwo się zapalał. Jednak ponieważ Alfrik wyraźnie sobie ten sztylet cenił, Holger postanowił go zatrzymać. Pogrzebał w jukach i poza całkiem zwyczajnym wyposażeniem, jak na przykład butelka oleju, znalazł zapasową mizerykordię. Hugi mógł ją nosić naga. Holger przymocował pochwę po niej do pasa obok swego stalowego noża i schował do niej magnezowy sztylet. W tym czasie Alianora, z tych zapasów, które

im jeszcze zostały, przygotowała posiłek.

Zamknęła się nad nimi noc. Holger, na którego wypadła trzecia warta, wyciągnął się jak długi na miękkim pościeliu z leśnego runa. Ogień promieniował ciepłem i czerwienią. Nerwy Duńczyka, jeden po drugim, uspokajały się. Nie wolno mu usnąć, nie w tych okolicznościach. Szkoda. Sen był mu bardzo potrzebny...

Obudził się gwałtownie. Alianora potrząsała jego ramieniem. Jej oczy w tym niepewnym, migotliwym świetle wydawały się ogromne. Jej głos był suchym szeptem.

– Słuchaj! Tam coś jest!

Wstał, biorąc miecz do ręki i wbił wzrok w otaczającą ich ciemność. Tak, teraz on także coś usłyszał, lekki tupot wielu stóp, pad – pad – pad, i zobaczył odblask światła w skośnych oczach.

Zawył wilk, niemal prosto w jego ucho. Holger podskoczył i na ślepo machnął mieczem. Odpowie; dział mu śmiech, przenikliwy i wstrętny.

– In nomine Patris... – zawołał i został wyśmiany przez wiele głosów. Albo te stwory były odporne na święte imiona, albo nie znajdowały się dostatecznie blisko, żeby miały one na nie jakiś wpływ. Prawdopodobnie to pierwsze. Gdy jego oczy przyzwyczyły się do mroku, zobaczył cienie. Przesuwały się wzdłuż zaczarowanego koła. Były monstrualne.

Hugi przycupnął obok ogniska, głośno szczękając zębami. Alianora jęknęła i skuliła się pod wolnym od miecza ramieniem Holgera. Czuł, jak jej ciało drży.

– Tylko spokojnie – powiedział.

– To wysłannicy Faerie – szepnęła niemal bez tchu. – Mieszkańcy nocy. Są z każdej strony, Holger! Nigdy dotąd nie otaczali mnie w ten sposób. Nie mogę na nich patrzeć. – Zanurzyła twarz w jego ramieniu. Zacisnęła palce na jego ręce, niemal wbijając w nią paznokcie.

– Dla mnie to też jest nowe przeżycie – powiedział. Śmieszne, ale zupełnie nie czuł strachu. Wygląd tych stworów był rzeczywiście przerażający, ale po co na nie patrzeć? Szczególnie, jeżeli zamiast tego mógł się przyglądać Alianorze. Bogu niech będą dzięki, że jestem flegmatykiem!

– Nie mogą do nas podejść, kochanie – powiedział. – Już by to zrobili, gdyby mogli. – Ale... ale...

– Widziałem przegradzone tamą rzeki, które mogły zatopić całe doliny. I nikt się nie martwił. Wszyscy wiedzieli, że tama wytrzyma.

W głębi duszy zastanawiał się, jaki był współczynnik bezpieczeństwa ich obozowych czarów. Niewątpliwie tutejsi czarodzieje mieli jakiś swój odpowiednik Tablic Wytrzymałości Materiałów, w którym tego rodzaju dane mogły być znalezione. A jeśli nie, to z pewnością powinni je sobie zestawić. Musiał się obejść przypuszczeniami; ale z jakiegoś powodu – następne głęboko pogrzebane wspomnienie? – był pewien, że ochrona obozu jest dostatecznie silna.

– Trzeba po prostu zachować spokój – powiedział. – Wszystko będzie dobrze. Nic nie mogą nam zrobić, najwyżej tym piekielnym hałasem nie dadzą nam spać.

Ciągle drżała, więc ją pocałował. Niepewnie, niewprawnie oddała mu pocałunek. Wyszczrzył zęby w stronę hałastry ze Środkowego Świata. Miał nadzieję, że jeżeli zostaną tutaj i będą obserwować ich pieśczęty, to może się czegoś nauczą..

Wróg odszedł przed świtem. Hugi powiedział, że bestie śpieszą się, gdyż muszą na czas dotrzeć do swoich siedlisk. Holger zastanawiał się jaka część światła słonecznego jest dla nich tak niezdolna. Promieniowanie aktyczne? Jeśli tak, chciałby teraz mieć lampę ultrafioletową.

Hej, chwileczkę! To wyjaśniało zagadkę magnezowego sztyletu Alfrika. Tylko przypadkowo była to broń o takim kształcie. W potrzebie, mocno przyciśnięty przez swych rywali ze Środkowego Świata, książę mógł zapalić magnezowe ostrze. Jelec chroniłby jego dłoń przed intensywnym promieniowaniem ultrafioletowym, drugą ręką niewątpliwie naciągnąłby coś na twarz, płaszcz lub cokolwiek innego. Jego przeciwnikom nie pozostawałoby nic, poza ucieczką. No cóż, również śmiertelnikowi może się przydać taka nadzwyczajna pomoc.

Nie wyspawszy się w nocy, Holger, Hugi i Alianora zdrzemnęli się dwie czy trzy godziny przed śniadaniem. Po przebudzeniu Duńczyk stwierdził, że jest zupełnie nagi. Otrzymane w Faerie ubranie zniknęło. To było dość małostkowe ze strony Alfrika, pomyślał. Na szczęście Alianora ciągle spała – nie przypuszczał, żeby była szczególnie skrępowana, ale on na pewno nie czułby się najswobodniej. Ubrał się pośpiesznie w poprzedni strój podróżny, wkładając również kolczugę i hełm.

Bardziej odświeżeni niż mogliby przypuszczać, przygotowali się do dalszej drogi. Alianora ciągle dosiadała jednorożca. Dla Holgera pozostawało zagadką, w jaki sposób dziewczyna panuje nad tym płochliwym zwierzęciem.

– A teraz dokąd powinniśmy jechać? – spytał.

– Wiem tylko – odpowiedziała – że najlepiej zrobimy, szukając ludzkich siedzib. Teraz z pewnością już całe Faerie zaczęło na ciebie polować, Holger – zwróciła się do niego po imieniu, uśmiechając się przy tym z uwielbieniem – ale istoty pozbawione duszy nie mogą podejść blisko kościoła, więc będziemy mogli choć chwilę odetchnąć. Potem jednak musimy szukać ochrony potężnej, białej magii.

– Gdzie?

– Znam pewnego czarodzieja, mieszka w mieście Tarnberg. Ma dobre serce i posiada pewne umiejętności. Myślę, że właśnie tam, do niego, powinniśmy się udać.

– Dobrze. Ale co będzie, jeżeli ta lokalna gwiazda stwierdzi, że nie może stawić czoła graczom pierwszej ligi?

Zauważył, że w jej pełnym uwielbienia wzroku zaczyna malować się niezrozumienie, więc pośpiesznie wyjaśnił:

– Chciałem powiedzieć, jeżeli ten lokalny praktyk nie będzie mógł sprostać takim mistrzom, jak Alfrik czy Morgan le Fay?

– Wtedy chyba powinieneś ruszyć do Imperium. Leży daleko na zachodzie, droga jest długa i niebezpieczna, ale oni chętnie przyjmą silnego rycerza. – Westchnęła, jej oczy się zamglily. – A od czasów Karola nie było tam równego tobie.

– Jakiego Karola? Kim on był? – spytał. – Słyszałem już to imię.

– To przecież założyciel Świętego Imperium. Król, który zbudował potęgę chrześcijaństwa i

zepchnął Saracenów z powrotem do Hiszpanii. Charlemagne, Carolus Magnus, na pewno o nim słyszałeś.

– Mmmmm... może i słyszałem. – Holger poszukał w pamięci. Trudno mu było określić jaka część jego wiedzy była wynikiem wykształcenia, a jaka pochodziła z tych niewytłumaczalnych wspomnień, które coraz częściej się w nim odzywały. – Masz na myśli Karola Wielkiego?

– Niektórzy właśnie tak na niego mówią. Widzę, że jego sława sięgnęła nawet twojej Południowej Karoliny. Mówi się, że miał przy sobie wielu dzielnych rycerzy, ale ja słyszałam tylko powieści o Rolandzie. Tym, który padł w wąwozie Roncesvalles.

Holgerowi zakręciło się w głowie. Czyżby naprawdę był w przeszłości? Nie, to niemożliwe. Ale przecież Karol Wielki niewątpliwie był postacią historyczną.

Ach, przypomniał sobie. Cykl karoliński, chansons de geste, późniejsze średniowieczne romanse i ludowe ballady. Tak, to pasowało. Magiczna kraina i Saraceni, panny – łabędzice i jednorożce, czarnoksiężstwo i Wzgórze Elfów, Roland i Oliver – rany Boskie! Czyżby w jakiś sposób znalazł się w... książce?

Nie, to nie miało żadnego sensu. Najrozsądniej było w dalszym ciągu trwać przy założeniu, że jest to inny wszechświat, w pełni ukształtowane czasoprzestrzenne continuum ze swoimi własnymi, odmiennymi od znanych mu prawami. Jeżeli założy się istnienie dostatecznie wielkiej liczby takich wszechświatów, któryś z nich musi pasować do każdego przyjętego wzorca, choćby ten wzorzec opierał się na prerenesansowych europejskich mitach.

Chyba jednak nie mogło to być aż tak proste. Zbyt wiele z jego własnych wspomnień i wiedzy miało swoje tutejsze odpowiedniki, a więc nie został przeniesiony bez przyczyny i gdziekolwiek, do jakiegoś przypadkowego kosmosu. Wynikało z tego, że istniał jakiś związek między tym a jego rodzinnym światem. Podobieństwa nie ograniczały się tylko do geografii i astronomii, dotyczyły również historii. Tutejszy Karol mógł nie być identyczny z jego Karolem Wielkim, ale obaj odgrywali podobne role w historiach swoich światów. Bardowie, wieszczowie, poeci i różni inni pisarze w jakiś podświadomy sposób byli dostrojeni do siły, łączącej oba te kosmosy – tomy powieści, które z biegiem czasu stworzyli, lepiej relacjonowały rzeczywistość, niż sami przypuszczali.

Niewątpliwie w grę wchodziły nie tylko dwa continua. Być może wszystkie, jakie istniały. Każdy z niezliczonych gwiazdnych wszechświatów mógł być tylko innym fasetem tej samej transcendentnej egzystencji. Holger nie zagłębiał się zbyt w tę hipotezę. Na odpowiedź czekały bardziej konkretne pytania. Co jeszcze potrafił zidentyfikować w tym świecie?

Hugi mówi o Morgan jako o siostrze króla Artura. Tego Artura! Zaczął żałować, że nie czytywał starych mitów bardziej uważnie – miał o nich tylko mętne, nabyte w dzieciństwie wyobrażenie.

A co do reszty, przekonajmy się – wśród paladynów Karola byli Roland i Oliver i Huon i... prrrr! Skąd ja pamiętam Huona? Stała mu przed oczyma ciemna, dziwna twarz, przypomniał sobie sardoniczny humor, który tak często irytował innych. Huon de Bordeaux, tak, w końcu odszedł i został królem, księciem czy czymś tam w Faerie. Ale skąd to wszystko wiem?

Tok jego rozmyślań przerwało basowe mamrotanie Hugiego. Wspomnienia, już niemal uchwytnie, znowu skryły się gdzieś w zakamarkach pamięci.

– Wesolą drogę mieć będziem, kiej każdej nocy przyjdzie nam słuchać wycia tych ichnich

długonogich bestii.

– Nie, nie sądzę, żeby nadal próbowali tego samego – odpowiedziała Alianora. – Żaden to dla nich pożytek szczególnie teraz, kiedy muszą zająć się zbieraniem oddziałów na wojnę. – Zmarszczyła brwi. – Jednak pewnie spróbują czegoś innego. Alfrik nie należy do takich, którzy łatwo wypuszczają zdobycz.

Ta myśl nie była najprzyjemniejszym towarzyszem podróży.

Wdrapali się wyżej na wzgórze, zmierzając, według wskazówek dziewczyny, na północny wschód. Do południa zaszli już dość wysoko. Widzieli daleko w każdą stronę, sięgając wzrokiem od oddalających się ciemności Faerie do potężnych nagich wzniesień, przez które będą musieli się przeprawić, i prosto w dół, w głąb kanionów huczących spienionymi wodami lodowcowych strumieni. Po bladym niebie gnały postrzępione kłaczki chmur, światło było zimne i jaskrawe.

Zatrzymali się na obiad, znajdując schronienie u stóp stromej skarpy. Holger, z trudem rwąc zębami kromkę twardego jak kamień chleba i kawał gumiastego sera, nie mógł powstrzymać się od narzekania. – Czy Dania jest jedynym krajem, w którym ludzie wiedzą jak się robi porządne kanapki? Jeśli tylko dalibyście mi trochę cienko pokrojonego pumpernikla, niewielką krewetkę, jajka i...

– To ty także umiesz gotować? – Alianora spojrzała na niego z czcią.

– No, niezupełnie, ale...:

Przysunęła się blisko i przyłgnęła do jego ramienia. Był tym trochę zakłopotany, gdyż przyzwyczał się do myśli... czy też złudzenia... że inicjatywa należy do mężczyzny.

– Jak się nadarzy okazja – zamruczała – znajdę co ci jest potrzebne i urządzimy sobie ucztę, tylko we dwoje.

– Hmm – powiedział Hugi – tak sobie myślę, że pójde popatrzeć jaka pogoda.

– Hej, wracaj! – krzyknął Holger, ale krasnolud już skrył się za pobliskim występem skalnym.

– Hugi to dobra dusza – powiedziała Alianora. Otoczyła ramionami szyję Holgera. – Wie, kiedy dziewczyna potrzebuje pocieszenia.

– Słuchaj... jesteś bardzo ładna i bardzo cię lubię, ale... Ale. To znaczy... Och, do diabła z tym. Holger przycisnął ją do siebie.

Hugi wylądował niemal na ich kolanach.

– Smok! – wrzasnął. – Smok tu leci!

– Hę? – Holger skoczył na równe nogi, zrzucając Alianorę. – Co? Gdzie?

– Smok, ognisty potwór, och, och, Alfrik go zesłał i już po nas! – Hugi zawisł na nogach Holgera. Ratuj nas, wielki rycerzu! Czyż zabijanie smoków nie jest twoim rzemiosłem?

Papillon parsknął i zadrzał. Jednorożec już uciekał. Alianora pobiegła za nim, gwiżdżąc. Zatrzymał się na chwilę wystarczającą, żeby wskoczyła na jego grzbiet, potem zniknął. Holger chwycił Hugiego, skoczył na Papillona i pogalopował za Alianorą.

Zobaczył smoka, gdy wjechali na szczyt skarpy. Potwór nadlatywał z południa, był w odległości nie mniejszej niż pół mili, ale w uszy Holgera już uderzył grzmot, z jakim biły jego skrzydła. Ma co najmniej pięćdziesiąt stóp długości, pomyślał w przyływie paniki. Pięćdziesiąt stóp okrytych pancerną łuską mięśni, głowa wielkiego węża, która może go połknąć w dwóch kęsach, błoniaste

skrzydła, stalowe pazury. Nie musiał popędzać Papillona. Koń był oszalały ze strachu i biegł niemal równie szybko jak jednorożec. Spod jego podkutych kopyt tryskały skry. Jednak tętent podków na skałach tonął w coraz bliższym huku smoczych skrzydeł.

– Ojoj! – zawodził Hugi – Upieczeni będziemy, usmażeni!

Smok poszybował w dół, doganiając ich z upiorną szybkością. Holger znów się obejrzał – zobaczył płomień i dym, wydobywające się z zębatej paszczy. Przez jedną obłąkaną chwilę zastanawiał się nad smoczym metabolizmem. I jaka poprawka do praw grawitacji pozwalała takiej masie frunąć? W nos uderzył go odór dwutlenku siarki.

– Patrz tam! – Okrzyk Alianory przyplął z góry stoku. Holger spojrział w stronę, którą wskazywała i w pobliskim urwisku zobaczył wąskie wejście do jaskini. – Tam za nami nie pójdzie!

– Nie! – ryknął. – Tylko nie tam! To pewna śmierć!

Rzuciła mu przestraszone spojrzenie, ale posłusznie skierowała jednorożca w drugą stronę. Holger poczuł na plecach pierwsze uderzenie gorąca. Na bogów, jeśli wleźliby w tę dziurę smok udusiłby ich kilkoma chuchnięciami.

– Musimy znaleźć wodę! – zaryczał.

Uciekali w górę, po kamienistym terenie, a uderzenia skrzydeł i huk płomieni stawały się coraz głośniejsze. Holger wyciągnął miecz. Ale jakie mógł mieć szanse? Smok upiecze go razem ze zbroją. Przynajmniej mogę, pomyślał, dać Alianorze szansę na ucieczkę.

Nie zastanawiał się nad tym, dlaczego przyszła mu do głowy akurat woda. Nie miał na to czasu, mógł tylko uciekać, po wzgórzach, skrajem przepaści, w dół wąwozu. Papillon kwiknął przeraźliwie, gdy dotknął go płomień.

Potem przebili się przez ścianę krzewów i tuż przed nimi płynęła rzeka, zielona i szybka, szeroka może na trzydzieści stóp. Jednorożec skoczył. Papillon za nim. Zatrzymali się pośrodku nurtu. Woda była lodowata, wbijała się sztyletami w ich stopy.

Smok wylądował na brzegu. Wygiął grzbiet i zasyczał jak rozgniewana lokomotywa. Boi się wody, uświadomił sobie Holger. Więc to o tym wiedziała jego podświadomość.

– Poleci nad nasze głowy, złapie nas i uniesie w powietrze – wysapała Alianora.

– A więc na dół, do wody! – Holger zeskoczył na kamieniste dno. Prąd naparł mocno na jego pierś. Hugi i Alianora uczepili się ogonów swoich wierzchowców.

– Gdy nastąpi atak, zanurcie się pod powierzchnię – polecił.

Ale żaden człowiek nie mógłby długo wytrzymać w tej wodzie. Byli załatwieni. Tak, załatwieni na dobre.

Smok wzbił się niezdarnie w powietrze. Zawisł nad nimi, zasłaniając słońce. Powoli opuszczał się coraz niżej. Z rozwartej paszczy trysnął płomień.

Płomień! Holger wsunął miecz do pochwy, zerwał z głowy hełm i zaczerpnął wody. Smok runął w dół, ku nim. Holger uniósł jedno ramię, zasłaniając oczy. Chlusnął na ślepo.

W jednej chwili otoczył go obłok pary. Smok ryknął, niemal rozsadzając mu uszy. Pokryte łuską cielsko zachybotowało się w locie, długa szyja biła w prawo i lewo, ogon młócił powierzchnię rzeki.

Holger zaklął i prosto w paszczę chlusnął z hełmu następną porcją wody.

Smok pisnął ogłuszająco. Powoli, jakby otumaniony bólem, wzniósł się w powietrze i odleciał na południe. Jeszcze przez długą chwilę słyszeli bicie jego skrzydeł.

Holger odetchnął głęboko. Stał nieruchomo, wyczerpany, aż potwór zniknął mu z oczu. Potem wyprowadził tamtych dwoje na brzeg.

– Holger, Holger! – Alianora przytuliła się do niego, drżąc, płacząc, śmiejąc się. – Jak to zrobiłeś? Jak go pokonałeś, najlepszy z rycerzy, kochany, mój bohaterze?

– Och, nic wielkiego. – Holger dokładnie obmacał twarz. Miał kilka bąbli. – Wystarczyła odrobina termodynamiki.

– To jakiś nowy rodzaj magii? – spytała z szacunkiem.

– To nie magia. Rozumiesz, jeśli smok ziejże ogniem, to w jego wnętrzu temperatura musi być jeszcze wyższa. A więc wlałem mu w gardziel kilka litrów wody. Spowodowałem niewielką eksplozję, jak wybuch kotła parowego – machnął ręką z wyszukaną niedbałością. – Naprawdę nic wielkiego.

Kilka mil dalej natrafili na osłoniętą ścianami urwisk dolinkę, słoneczną i ciepłą. Buki i topole wyrastały z pełnej pierwiosnków, wysokiej trawy, cicho szemrał strumyk, stadko szpaków odleciało, trzepocząc skrzydłami. Miejsce wydawało się być wymarzone na odpoczynek, tak bardzo potrzebny zarówno im, jak i wierzchowcom.

Gdy obronny krąg został już skonstruowany, Alianora ziewnęła – nawet to potrafiła robić w czarujący sposób – i ułożyła się do snu. Hugi usiadł pod krzyżem, strugając coś swoim nowym nożem. Holger czuł jakiś niepokój.

– Chyba pójdę się rozejrzeć – powiedział. – Zawołaj mnie, gdyby coś się działo.

– Nie nazbyt to niebezpieczne oddalać się w pojedynkę? – spytał krasnolud. Potem odpowiedział sam sobie. – No tak, kto się porwie na pogromcę smoków?

Holger zaczerwienił się. Był bohaterem dnia, ale wiedział aż za dobrze, że przyczynił się do tego jedynie splot przypadków.

– Nie odejdę daleko.

Zapalił fajkę i ruszył przed siebie, z cicha podśpiewując. Krajobraz był zupełnie sielankowy: łąka, kwiaty, drzewa, woda. Pasący się Papillon, obok jednorozec, płynne nuty wygwizdywane przez drozda. Gdyby nie piekący ból oparzeń, mógłby położyć się na trawie w jakimś ocienionym miejscu i oddać się rozmyśleniom o Alianorze. Nie. Oparł się pokusie. Miał do przemyślenia bardziej poważne rzeczy.

Powinien chyba spojrzeć wreszcie prawdzie w oczy i uznać, że on, Holger, jest w tym karolińskim świecie postacią kluczową, a przynajmniej bardzo ważną. W świetle wszystkiego, co się wydarzyło do tej pory, nie mogło być przypadkiem, że dokładnie w tym miejscu, w którym on się pojawił czekało odzienie i broń, idealnie pasujące do jego nietypowych rozmiarów oraz Papillon, ponadnaturalnie silny i inteligentny. Potem było to zamieszanie, które wywołał w Faerie i – rzecz ciekawa – mimo jego braku doświadczenia nie byli w stanie go zabić... No cóż, w obu światach istniał Karol Wielki. Być może również on sam był w jakiś sposób zdublowany. Kim był w takim razie naprawdę? I dlaczego, i jak?

Stracił obozowisko z oczu. Szedł wciąż naprzód, starając się ułożyć w sensowną całość wszystko, czego się już dowiedział. Na przykład konflikt Ładu i Chaosu okazał się czymś więcej niż tylko religijnym dogmatem. Tutaj była to okoliczność, która bezpośrednio wpływała na codzienne życie. Przypomniła mu się druga zasada termodynamiki, tendencja fizycznego wszechświata do chaosu i równomiernego rozproszenia energii. Może tutaj ta tendencja znalazła bardziej... animistyczny... wyraz. Chwileczkę, czy w jego własnym świecie nie było tak samo? Czemu naprawdę się przeciwstawiał; walczył z faszystami, jeżeli nie ożywionym starożytnym widmom, o których cywilizowani ludzie w pewnym okresie myśleli, że są na zawsze pogrzebane?

W tym wszechświecie próby przełamania podobnego, z trudem ustanowionego porządku mogły być podejmowane przez dzikie stwory ze Środkowego Świata, chcące wskrzesić Chaos, pierwotny stan, w którym wszystko mogło się wydarzyć. Po przeciwnej stronie barykady stała ucziwa część ludzkości, zawsze gotowa umacniać i rozszerzać wpływ Ładu, bezpieczeństwa, przewidywalności.

Chrześcijaństwo, judaizm, nawet mahometanizm krzywiły się na magię, gdyż była ona bardziej pokrewna Chaosowi niż uporządkowanej, podległej prawom fizyki naturze. Oddając jednak sprawiedliwość – nauka miała swoje fanaberie, zaś magia – swoje prawa. W każdym przypadku, czy tworzyło się samolot czy latający dywan, potrzebny był określony rytuał. Gerda wspomniała coś o bezosobowości rzeczy ponadnaturalnych. Tak, to dlatego Roland w czasie swej ostatniej godziny w Roncesvalles próbował załamać Durendala – żeby cudowny miecz nie dostał się w ręce pogan, gdyż służyłby im równie dobrze, jak jemu...

Ta symetria była bardzo sugestywna. W rodzinnym świecie Holgera siły naturalne były potężne i zrozumiałe, siły mentalno – magiczne – słabe i nieuchwytnie. W tym wszechświecie było akurat odwrotnie. Oba światy były, w jakiś niejasny sposób, jednym; w obu odwieczne zmaganie Ładu i Chaosu jednocześnie osiągnęło swój punkt szczytowy. Co do mocy, która im narzuciła tę równoległość, a w ostatecznym rezultacie jedność – przypuszczał, że w końcu będzie musiał się przełamać i nazwać ją Bogiem. Jego jaźni brakowało jednak teologicznego nastawienia. Trzymał się raczej tego, co mógł bezpośrednio obejrzeć oraz problemów codziennych, praktycznych. Takich jak powód, z jakiego się tu znalazł.

Wyjaśnienie tej kwestii ciągle mu się wymykało. Pamiętał życie w tamtym świecie, od dzieciństwa do pewnej chwili na plaży w pobliżu Kronborg. Miał również inne życie, nie wiedział jednak kiedy, ani gdzie. Te wspomnienia zostały mu skradzione. Nie, raczej zostały zmuszone do schowania się głęboko w podświadomość i wypływały tylko pod wpływem niezwykłych, silnych bodźców.

Przypominał sobie coś Cortana: Gdzie słyszał to imię? Ach tak, gnom je wymienił. Cortana to miecz. Miał w sobie potężne magiczne moce, ale teraz leżał pogrzebany z dala od ludzkich oczu. Kiedyś, gdy ostrza błyszczały na bitewnym polu, trzymałem Cortanę w swej dłoni.

Obszedł w koło kępę drzew. Po drugiej stronie czekała Morgan le Fay.

W pierwszej chwili nie mógł się poruszyć. Jego serce zaczęło walić jak młot. Przepełnęła nad nim dziwna ciemność i ta ciemność była piękna. Morgan podeszła bliżej, skąpana w złotym świetle, sączącym się przez zieleń liści. Jej suknia była jak śnieg, jej usta jak koralowy łuk, włosy lśniły jak rozgwieżdżona głębia jeziora. Wszystko, co w tej chwili dostrzegł, było kolorami. Jej głos wpłynął w niego.

– Witaj, Holger! Ile to już czasu upłynęło!

Walczył o spokój. Przegrał. Morgan ujęła jego dłonie. Była wysoka, jej uśmiech nie musiał przebywać długiej drogi, zanim w niego uderzył.

– Jakże byłam bez ciebie samotna – wyszeptała.

– Beze mnie? – Jego głos załamał się w debilny kwik.

– Tak, a bez kogo? Czy o tym również zapomniałeś? – Zwracała się do niego po imieniu, wmawiając słowo "ty" jak pieśczętę. – Rzeczywiście została na ciebie położona ciemność. Bardzo długo cię tu nie było, Holger.

– A – a – ale...

Roześmiała się, nie w zwykły, ludzki sposób, ale jakby była ucieleśnionym śmiechem, miękkim, ciepłym, ujmującym.

– Och, twoja biedna twarz! Niewielu mężczyzn tak mężnie jak ty stawiliby czoła ognistemu smokowi. Pozwól mi wyleczyć te oparzenia. – Dotknęła go, poczuł ból i bąble zniknęły. – No i już, lepiej się czujesz?

Wcale nie czuł się lepiej. Spływał potem, a płaszcz był zbyt ciasny pod szyją. Odzyskał zmysły na tyle, żeby widzieć szczegóły, ale nie były one z rodzaju tych, które na mężczyznę wpływają uspokajająco: blada, doskonale piękna twarz, kocia gracia ruchów, ciało, mające większą liczbę łuków niż kolejka górską w wesołym miasteczku.

– Nabrałeś grubiańskich zwyczajów w świecie, w którym byłeś.

Wyjęła fajkę z jego bezwolnych ust, wytrząsnęła ją i wetknęła do mieszka przy pasie. W drodze powrotnej jej dłoń przewędrowała wzdłuż jego boku i spoczęła na ramieniu.

– Niegrzeczny chłopiec!

To przywróciło mu nieco panowanie nad sobą. Dojrzałe kobiety nie powinny zachowywać się jak kociaki. Poza tym fajka nie powinna być traktowana w taki sposób.

– Posłuchaj – wychrypiał – pomagałaś Alfrikowi, a on ze wszystkich sił starał się mnie zabić. Więc czego teraz ode mnie chcesz?

– A czego chce każda tęskniąca za mężczyzną kobieta? – Przysunęła się bliżej. Holger cofał się, aż zatrzymało go drzewo za plecami.

– Prawdę mówiąc nie wiedziałam, że to byłeś ty i pomogłam Alfrikowi nieświadomie. W tej samej chwili, w której dowiedziałam się o jego zdradzie, pośpieszyłam, żeby cię odnaleźć.

Otarł pot z czoła.

– To kłamstwo – powiedział ostro.

– No cóż, nam, przedstawicielkom delikatniejszej płci, powinno się chyba pozwalać na niewinne kłamstwa, prawda, mój słodki? – Poklepała go po policzku. – A klnę się na Boga, że jest prawdą to, iż przybyłam, żeby cię odzyskać.

– Odzyskać mnie dla Chaosu? – wybuchnął.

– A dlaczego nie? Co takiego w tym nudnym Ładzie zmusza cię do stawania w jego obronie? Widzisz, jestem z tobą szczerą. Teraz ty bądź szczerą sam ze sobą. Dlaczego, Holgerze, mój kochany niedźwiedziu, miałbyś poświęcać się osłanianiem nieokrzesanych chłopów i spasionych mieszczuchów, gdy radości i gniew i oślepiające gwiazdy Chaosu mogą być twoje. Od kiedy to jesteś człowiekiem, który szuka życia bezpiecznego i przyziemnego, zamkniętego w swoim małym światku, skrytego pod dachem szarego, smutnego nieba, śmierdzącego dymem i gnojem – ty, który sam przepędzałeś armie z pól bitewnych? Możesz ciskać słońcami i kształtować światy, jeśli tylko zechcesz! .

Jej głowa spoczywała na jego piersi, ramiona obejmowały go w pasie.

– Nie – nie – nie! – wyjąkał. – Nie ufam. . .

– Och, co za zmiana! Czy to jest człowiek, który mieszkał ze mną na Avalonie? Czy zapomniałeś jak długie ofiarowałam ci stulecia młodości i potęgi i miłości? – Znowu spojrzała na niego tymi wielkimi, ciemnymi oczyma. Powiedział sobie, że to bardzo banalny i wyświechtany chwyt, ale jakoś nie potrafił uwierzyć w swe własne sądy. – Jeżeli nie przyłączysz się do nas, to przynajmniej nie

walcz przeciwko nam. Wróć na Avalon, Holger. Wróć ze mną na jasny Avalon.

Gdzieś w głębi otumanionego umysłu wiedział, że tym razem była szczerą. Chciała, żeby zszedł im z drogi na czas nadchodzącej bitwy, ale również chciała jego samego. A w końcu dlaczego nie? Co był winien którejkolwiek ze stron w tym obcym, nieznanym świecie? Kiedy Morgan le Fay objęła go...

– Tyle długich lat upłynęło – szepnęła – a gdy w końcu się spotkaliśmy, ty nawet mnie nie pocałowałeś.

– T – t – to – zająknął się – może: zostać nadrobione.

To było tak, jakby dostał się w objęcia miękkiego, ciepłego cyklonu. Nie potrafił myśleć o czymkolwiek innym. Nie chciał.

– Ach – ch – Ch – westchnęła w końcu, jej oczy ciągle były zamknięte – mój władca! Mój władco, pocałuj mnie znowu. Nigdy nie przestawaj.

Przygarnął ją. Kątem oka zauważył mignięcie bieli. Podniósł głowę i zobaczył Alianorę na jednorożcu. Właśnie objeżdżała pobliskie krzewy.

– Holger! – zawołała. – Holger, kochany, gdzie jesteś... och!

Jednorożec stanął dęba i zrzucił ją na trawę. Z głośnym, pełnym oburzenia parsknięciem zwierzę uciekło. Alianora wstała szybko i popatrzyła na Holgera i Morgan.

– No i zobacz, co narobiłeś! – poskarżyła się trochę bez sensu: – Teraz on już nie wróci!

Holger wyplątał się z ramion Morgan. Alianora wybuchnęła płaczem.

– Zabierz stąd tę wiejską dziewczkę – wrzasnęła królowa z furją.

Oczy Alianory rozbłysły.

– Sama się stąd wynoś! – zaskrzeczała. – Ty wstrętna wiedźmo, zabieraj się od niego!

Zęby Morgan zalśniły drapieżnie.

– Holger, jeżeli ta tyczka w tej sekundzie stąd nie zniknie...

– Tyczka! – zawyła Alianora. – Ty rozepchany worze ze skóry, wydrapię ci te twoje plugawe ślepia!

– Małe dziewczynki nie powinny płakać – syknęła Morgan – bo robią się jeszcze bardziej pospolite.

Alianora zacisnęła pięści i zrobiła krok do przodu.

– Lepiej być trochę za młodym, niż mieć skórę tak obwisłą i pomarszczoną.

– Za to twoja skóra jest bardzo ładna. Ciekawe jak ci się udało wywołać takie interesujące złuszczenia?

– Na pewno nie tak, jak ty zdobyłaś swoją cerę.

Holger odszedł na bok, usilnie zastanawiając się jak ująć z tego z życiem.

– Widzę, że jesteś łabądziewą – powiedziała Morgan. – Czy zniosłaś ostatnio jakieś udane jaja?

– Nie. Nie umiem tak głośno gdakać jak niektóre stare kwoki.

Morgan poczerwieniała i zaczęła wykonywać rękami szybkie ruchy. – Zobaczymy czy ci się będzie podobało jak sama będziesz kwoką!

– Hej! – Holger skoczył ku niej. Nie miał zamiaru jej uderzyć, ale źle wyliczył odległość i jedno ramię zderzyło się z Morgan. Królowa potoczyła się po trawie.

– Tylko bez tych rzeczy – powiedział.

Powoli podniosła się na nogi. Jej twarz znowu była blada i bez wyrazu. – A więc to tak sprawy się mają – powiedziała.

– Chyba właśnie tak – odpowiedział Holger, zastanawiając się, czy rzeczywiście w to wierzy.

– No cóż, więc w takim razie idź swoją drogą: Spotkamy się jeszcze, przyjacielu. – Morgan zaśmiała się, tym razem dość obrzydliwie. Nagle machnęła ręką i zniknęła. Powietrze z hukiem wypełniło miejsce, w którym przed chwilą stała.

Alianora dopiero teraz rozplakała się na dobre. Oparła się o pień drzewa, chowając twarz w ramieniu. Holger podszedł i dotknął jej. Straciła jego dłoń.

– Odejdź – wychlipała. – Idź s – s – sobie do tej twojej wiedźmy, j – j – jeśli ona ci się tak podoba. Och – ch – ch...

– To nie była moja wina – powiedział Holger bezradnie. – Nie prosiłem jej, żeby do mnie przyszła.

– Nie będę płakała, obiecuję. Idź sobie.

Holger zdecydował, że ma dość kłopotów na głowie nawet bez rozhisteryzowanej kobiety. Odwrócił ją, potrząsnął i powiedział dobitnie:

– Nie mam z tym nic wspólnego. Słyszysz? A teraz – pójdziesz ze mną jak dorosła, czy będę cię musiał ciągnąć?

Alianora chlipnęła, spojrzała na niego szeroko rozwartymi, wilgotnymi oczyma i opuściła powieki. Holger dopiero teraz zauważył jak długie były jej rzęsy.

– Pójdę sama – powiedziała słabo.

Holger znowu zapalił fajkę i niemal cała powrotną drogę pykał wściekle. Do diabła, po stokroć do diabła! Tam, z Morgan le Fay, niemal przypomniał sobie to drugie życie. Niemal. A teraz to przypomnienie znowu mu się wymknęło.

No cóż, i tak już za późno. Od dzisiaj Morgan z pewnością będzie jego najbardziej zaciekle przeciwnikiem. Chociaż, prawdę powiedziawszy, chyba dobrze się stało, że im przerwano. Nie potrafiłby dłużej opierać się jej przymilności.

A najgorsze było to, że właściwie wcale nie chciał. Kto to napisał, że nie ma nic bardziej płonnego od wspomnienia pokusy, której się oparliśmy?

Za późno. Teraz trzeba po prostu brnąć dalej.

Ukryta część jego jaźni nadała sygnał do świadomości i nagle wiedział dlaczego jednorożec uciekł. Morgan le Fay musiała być ostatnim, decydującym gwałtem, zadany jego i tak już wystawianej na ciężką próbę wrażliwości, tą kroplą, która przepelniła kielich goryczy. A raczej tuzinem kropli. Zachichotał, potem wziął Alianorę za rękę. Bok przy boku, poszli do obozowiska.

Tej nocy nie byli niepokojeni – dlatego, jak powiedział Hugi, że przygotowywano dla nich coś znacznie gorszego. Holger był skłonny dzielić pesymizm krasnoluda. Poza tym teraz mieli tylko jednego wierzchowca na troje. Oczywiście Alianora część drogi mogła przebyć powietrzem, jednak łąbędzie nie potrafią unosić się w jednym miejscu, a nie chcieli, żeby zbyt szybko się od nich oddalała. Mimo wielkiej wytrzymałości Papillon nie był w stanie nieść ze sobą normalną prędkością wielkiego wojownika w kolczudze, dziewczyny i krasnoluda oraz ich ekwipunku.

Wyruszyli więc bardzo wcześnie. Alianora, zmieniawszy się w łąbędzia, poleciała wybrać z powietrza najlepszą drogę. Wróciła, usiadła za siodłem, ramionami oplatając Holgera w pasie (co stanowiło rekompensatę za wiele niedogodności) i poprowadziła go po wybranej trasie. Miał nadzieję, że przed zmierzchem dotrą do przełęczy, a jutro – do granicy obszarów zamieszkałych przez ludzi. Po drugiej stronie gór pozostało do przebycia jeszcze wiele mil dziczy, ale Alianora zauważyła kilka miejsc wolnych od lasu, kilka samotnych farm i osad.

– A tam, gdzie mieszka choć kilku ludzi, którzy nie są złoczyńcami, znajdzie się jakiś kawałek poświęconej ziemi – kapliczka w najgorszym przypadku – do którego większość z tych, co nas ścigają nie odważy się zbliżyć.

– Jak w takim razie – spytał Holger – Środkowy Świat może myśleć o zawładnięciu ziemiami ludzi, skoro każdy kościół stanowi dla niego taką przeszkodę?

– Może tego dokonać z pomocą stworzeń, które nie boją się światła dnia ani zaklęć kapłańskich. Zwierząt, jak ten smok, czy istot posiadających duszę, jak złe krasnoludy. Takich sprzymierzeńców ma jednak zbyt mało i są oni zbyt głupi, żeby przydać się na coś więcej niż tylko do wykonania jakiegoś specjalnego zadania. W głównej mierze, jak myślę, Środkowy Świat będzie polegał na ludziach, opowiadających się po stronie Chaosu. Wiedźmach, czarnoksiężnikach, bandytach, mordercach, na wszystkich pogańskich dzikusach północy i południa. Ci mogą zbezczcić poświęcone miejsca i wybić tych, którzy staną przeciw nim z bronią w ręku. Wtedy reszta ludzi ucieknie i nie zostanie nic, co mogłoby się sprzeciwić rozciągnięciu błękitnego mroku na kolejne setki mil. Z każdym takim krokiem krainy Ładu będą coraz słabsze, nie tylko liczebnie, ale i na duchu, gdyż bliskość Chaosu musi odbijać się na ludziach, sążąc w nich strachliwość, naruszając poszanowanie praw, skłaniając do przeróżnych podłości. – Alianora potrząsnęła głową, zmartwiona. – Gdy zło się umocni, nawet ci którzy stoją po stronie dobra będą ze strachu chwytać się coraz bardziej niegodnych sposobów walki i tym samym dawać złu wolny do siebie dostęp.

Holger pomyślał o swoim świecie, w którym za Coventry zemszczono się na Kolonii i skinął głową. Jego hełm stał się nagle bardzo ciężki.

Chcąc uciec od tego wspomnienia, zwrócił myśli ku problemom dotyczącym go bardziej bezpośrednio. Potęga jego prześladowców nie była nieograniczona, w przeciwnym razie już dawno by go zatrzymano. Gdzie w takim razie były jej granice? Co ciekawe u istot podobno nie posiadających duszy, rasa z Faerie była dość upośledzona pod względem fizycznym i w walce musiała polegać głównie na podstępnie i chytrych. Poza tym, że byli szybcy i zręczni, nie było wśród nich takich, którzy mogliby stawić czoła człowiekowi o normalnej sile. (Z pewnością olbrzymy, trolle i różne inne stworzenia ze Środkowego Świata obdarzone były większą siłą fizyczną niż ludzie,

ale Alianora twierdziła, że są one powolne i niezdarne). Nie potrafili znieść światła słonecznego, w związku z czym ich wycieczki do zamieszkałych przez ludzi rejonów musiały odbywać się po zmierzchu. Nawet wtedy zmuszeni byli unikać poświęconych miejsc i obiektów. Ich zaklęcia odbijały się jak kule bilardowe od każdego, kto był w stanie łaski, wystarczyła nawet zwykła doza uczciwości i poświęcenia, żeby człowiek nie musiał się ich obawiać. Można było zostać zabitym przez nich bezpośrednio lub też w wyniku ich knowań, można było być oszukany, ogłupiony, zniewolony, ale w sensie absolutnym nie można było zostać zwyciężonym, chyba że się samemu tego chciało.

Poza tym, siła ich czarów zdawała się zależeć od odległości. Im bardziej Holger oddalał się od Faerie, tym mniejsze zagrożenie stanowili dla niego jej mieszkańcy.

Nie znaczyło to, że mógł lekceważyć Alfrika. Przeciwnie. Książę co prawda nie był naczelnym wodzem wrogich sił – Morgan le Fay miała wyższą pozycję, a ponad nią musieli być inni, aż do końca, do Tego, o którym Holger nie bardzo miał ochotę rozmyślać. Jednak dysponował dużą mocą, był chytry, biegły w podstępach i wcale z niego nie zrezygnował. Morgan również zaczęła.

Gdybym tylko wiedział do czego jestem im potrzebny?

Przez cały dzień koń musiał się wspinać. Na szczyt przełęcz dotarli dopiero po zachodzie słońca. Miejsce było nagie, z rzadka tylko porośnięte kępami trawy, sterczącymi spomiędzy leżących tu i ówdzie głazów. Zimny wiatr dał w górę zboczy i ponad grzbietem. Papillon wydmuchnął wargi w westchnieniu i opuścił łeb.

– Biedny zwierzak – Alianora poklepała aksamitny pysk. – Zmusiliśmy cię do ciężkiej pracy, prawda? I na dodatek nie dostaniesz dziś nic lepszego od suchego zielska. – Znalazła głaz z zagłębieniem na wierzchu i cierpliwie nalewała tam wodę z bukłaka, aż Papillon zaspokoił pragnienie. Holger tymczasem wytarł i wyczyścił ogiera. Zaczął uważać swą wprawę w obchodzeniu się z końmi za zupełnie naturalną, ale był nieco zaskoczony intensywnością uczuć, jakie żywił do Papillona. Ze smętnie postrzępionego i zabłoconego jedwabnego kropierza zrobił coś, co mogło spełnić rolę pledu i okrył tym grzbiet konia. Po przygotowaniu obozowiska i pochłonięciu kolacji, ogromnie zmęczeni, wreszcie poszli spać.

Alianora miała pierwszą wartę, potem Holger, w końcu Hugi. Ułożywszy się obok dziewczyny, Holger stwierdził, że nie może się zmusić do ponownego zaśnięcia. Jej głowa zrobiła sobie poduszkę z jego ramienia, jedno ramię spoczęło mu na piersi. Wiatr szumiał zbyt głośno, żeby mógł słyszeć jej oddech, jednak czuł lekki, miarowy ruch, czuł też ciepło, którym zdawała się promieniować w miejscach, w których go dotykała. Poza tym było mu strasznie zimno, chłód przesączał się przez opończe, którymi byli przykryci. Koc spod siodła, służący im za posłanie, niezbyt łagodził przekleństwo twardej ziemi.

Jednak nie dlatego nie mógł zasnąć. Niebezpieczeństwo wyostrzyło jego zmysły, a teraz ta istota z ciepła i zmierzwiionych włosów leżała prawie na nim... Próbował zająć się wspomnianiem Meriven, ale to jeszcze pogorszyło sprawę. W tej chwili, pomyślał z gorącością, mógłbym być z Morgan le Fay.

Zostawiając Alianorę samą, w obliczu nadciągającego wroga? Nie! Niemal nieświadomie sięgnął ku niej. To był następny błąd. Zanim zrozumiał co się dzieje, jego dłoń wśliznęła się pod pierzastą tunikę i nakryła miękką, młodą pierś. Alianora poruszyła się, mrużąc przez sen. Holger zastygł bez ruchu, nie miał jednak dość siły woli, żeby dłoń wycofać. W końcu, głęboko poruszony, czując mrowienie na całym ciele, otworzył oczy.

Gwiazdy błyszczały jak w zimie. Nie było księżycy, ale z położenia Wielkiego Wozu wywnioskował, że świt jest już niezbyt odległy. Na ziemi ciemność była niemal absolutna. Zobaczył sylwetkę Hugiego, przycupniętą przy niskim, czerwonym ogniu, poza nim tylko piętrzące się na tle nieba masywy gór. Ta turnia tam...

Przedtem jej nie widział!

Skoczył na równe nogi i chwilę później ziemia zadrżała. Potem jeszcze raz, i znowu, jakby uderzano w gigantyczny bęben. Góra drżała jak dom, w którym po schodach wchodzi ktoś wyjątkowo ciężki. Holger słyszał obsypujące się i toczące w dół stoku kamienie. Chwycił miecz i wtedy olbrzym był już przy nich.

Stopa wielkości człowieka kopnęła i rozrzuciła pierścień ochronny. Blask ognia wydobył z mroku wielkie, długo nie obcinane paznokcie. Alianora krzyknęła. Holger zasłonił ją swoim ciałem. Papillon skoczył ku niemu rżąc wyzywająco, szyja i ogon wygięte, nozdrza rozszerzone. Hugi na czworakach dołączył do Alianory.

Olbrzym przysiadł i paluchem jak konar dębu pogrzebał w ognisku. Gdy płomienie buchnęły wyżej, Holger zobaczył, że był to humanoid, jakkolwiek groteskowo krępy i krótkonogi w stosunku do swej wysokości. Jeżeli nawet, błysnęła mu myśl, prawo proporcji w tym świecie nie działa dokładnie tak jak w moim, jego kości muszą mieć spory przekrój poprzeczny, żeby unieść taki ciężar. Niezgrabne ciało odziane było w niestarannie pozszywane skóry. Ten ślad zapachu, który doleciał Holgera wzbudził w nim wielkie zadowolenie z tego, że nie stoi pod wiatr. Olbrzym, o ile mogło to być ocenione poprzez płataninę włosów i brody, miał akromegaliczne rysy twarzy, oczy kryły się pod okapami wystających łuków brwiowych, nos i szczęka sterczały prostacko, usta były grube i ciężkie, zęby przerażająco wielkie.

– Wsiadaj na Papillona, Hugi – powiedział Holger. Teraz, gdy pierwsze zaskoczenie minęło, przestał się bać. Nie odważyłby się bać. – Zatrzymam go tak długo, jak będę mógł. Alianora, wzbij się w powietrze.

– Zostanę z tobą. – Jej głos trochę drżał, ale stanęła za nim z dumnie uniesioną głową.

– Jak to się mogło stać? – jęknął Hugi. – On ze Środkowego Świata się wywodzi. Czary powinny stanąć mu na przeszkodzie.

– Szedł za nami – powiedziała Alianora cierpko. – Tacy jak on potrafią stąpać cicho, jeśli chcą. Czekał na chwilę, kiedy wśród nas narodzą się myśli tak nieczyste, że święte znaki tracą swoją moc. – Jej wzrok oskarżał kulącego się krasnoluda. Holger wiedział jednak, że Hugi niczemu tu nie zawinił i poczuł się dość podle.

– Mówcie tak, żebym mógł was słyszeć!

Olbrzym nie mówił ogłuszająco głośno, nie miał też zbyt barbarzyńskiego akcentu. Trudno go było zrozumieć ze względu na tembr jego głosu: tak niski, że niesłyszalne dolne rejestry drżały w kościach ludzi. Holger zwilżył wargi, postąpił krok naprzód i powiedział swym najgrubszym głosem:

– W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, rozkazuję ci odejść!

– Pfe! – zlekceważył go olbrzym. – Za późno na to, śmiertelniku. Złamałeś krąg dobra grzesznymi chęciami, a nie dokonałeś jeszcze aktu skruchy. – Wyciągnął rękę. – Alfrik powiedział mi, że idąc tędy znajdzie smakowity łup. Oddajcie mi dziewczynę, a sami możecie iść swoją drogą.

Holger chciał wykrzyczeć jakieś gromkie wyzwanie, stosowne do jego pogardy dla takich propozycji. Na Boga, bywa los gorszy od śmierci! Niestety do głowy przychodziły mu tylko zdania niezbyt stosowne dla dziewczęcych uszu. Zamiast tego skoczył naprzód. Jego miecz ciął ogromne knykie.

– Olbrzym cofnął gwałtownie rękę, podmuchał na dymiącą ranę i krzyknął: – Wstrzymaj się! Porozmawiajmy!

Holger, niemal zwalony z nóg decybelami, opuścił miecz.

Jemu, który przywykł do tego, że jest najwyższą osobą w okolicy, wisząca w górze twarz wydawała się nawet szersza niż była w rzeczywistości. Ale stał twardo w miejscu. Usłyszał, jak basso profundissimo przemawia dość zgodnym tonem:

– Posłuchaj śmiertelniku, czuję, że jesteś wielkim rycerzem. I oczywiście rani mnie dotyk żelaza. Jednak jest mnie bardzo dużo i pewnie zgniotłbym cię głazami zanim zdążyłbyś mi wyrządzić jakąś poważniejszą szkodę. Co powiesz na zmagania w łatwiejszy sposób? Jeżeli zwyciężysz rozumem, będziecie mogli odejść bez przeszkód. Na dodatek zapełnię twój hełm złotem. – Wskazał na sakwę, wiszącą u jego pasa, w której musiało się mieścić kilkadziesiąt kilogramów. – Jeśli przegrasz, oddasz mi dziewczynę. – Nie! – Holger splunął na ziemię.

– Poczekaj. Poczekaj kochany. – Alianora chwyciła jego ramię z nagłym zapalem. – Spytaj go, czy myśli o pojedynku na zagadki.

Holger, zdziwiony, zrobił to. Olbrzym skinął głową.

– Tak. Do twojej wiadomości – my z Wielkiego Ludu siadujemy w naszych dworach w nieskończenie długie zimowe noce naszej ojczyzny, rok po roku, stulecie po stuleciu, i spędzamy czas, urządzając turnieje, w których liczy się umysł. Ponad wszystko cenimy zagadki. Nie stracę czasu nawet jeżeli pozwolę wam odejść po tym, jak usłyszę od ciebie trzy nowe zagadki, z których na dwie nie znajdę rozwiązania. Będę mógł je później sam wykorzystać. – Jego potworne oblicze z niepokojem zwróciło się na wschód. – Pośpiesz się jednak.

Oczy Alianory zabłyśły.

– Tak myślałam, Holger. Zgódź się. Możesz go przechytrzyć.

Olbrzym zdawał się tego nie słyszeć. Oczywiście, pomyślał Holger, tak wielka istota nie mogła wychwytywać całej skali ludzkiego głosu. Odpowiedział falsetem:

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Na pewno przyjdzie. – Jej entuzjazm nieco opadł. Zapatrzyła się w ziemię, grzebiąc w niej palcem u nogi. – Jeśli nie potrafisz, no cóż, oddaj mnie. On tylko chce mnie zjeść. Ty jesteś, jak się zdaje, zbyt ważny dla całego świata, żeby ryzykować życie w walce o takie nic jak ja.

Zastanawiał się gorączkowo. Jakie znał zagadki? "Cztery wiszą, cztery idą, dwa prowadzą, jeden goni...." Krowa. Pytanie Samsona do Filistynów. Kilka tego typu. Ale olbrzym niewątpliwie je słyszał w ciągu tych wieków, o których wspominał. A on sam, Holger, nie był na tyle błyskotliwy, żeby na poczekaniu wymyślać nowe łamigłówki.

– Wolę walczyć o kogoś, kogo znam, takiego jak ty, niż... – zaczął. Przykucnięty olbrzym przerwał burknięciem:

– Pośpiesz się, powiedziałem! , Szalona myśl przemknęła mu przez głowę.

– Nie może wytrzymać promieni słonecznych? – spytał Alianorę głosem eunucha. – Nie – odpowiedziała. – Jasne światło zmienia jego skórę w kamień.

– Uhu – zapiszczał Hugi – jak mu na tyle długo głowę zajmiesz, chłopie, że świt go zaskoczy, będziemy mogli tę jego sakwę ze złota opróżnić.

– Nie jestem tego pewna – powiedziała Alianora. – Słyszałam, że skarby zdobyte takim podstępem są przekłete i człowiek, który je posiada szybko umiera. Holger, za godzinę on musi uciekać przed światłem świtu. Nie potrafisz go zatrzymać przez ten czas, ty który zwyciężyłeś smoka?

– Wydaje mi się... że... może. – Holger odwrócił się do olbrzyma, który zaczynał już powarkiwac z niecierpliwością. – Zmierzę się z tobą – powiedział.

– Trzy zagadki na dzisiejszą noc – zahuczał olbrzym. Uśmiechał się sadystycznie. – Może następnej nocy zażadam od ciebie trzech kolejnych, a potem znowu... Zwiąż dziewczynę, żeby nie mogła uciec. Szybko!

Holger robił to najwolniej, jak się odważył. Wiążąc Alianorę, wypiszczał:

– Możesz zrzucić te więzy, jeżeli dojdzie do najgorszego.

– Nie, nie ucieknę. Wtedy on by cię zaatakował.

– I tak będę musiał z nim walczyć – powiedział Holger. – Możesz uratować przynajmniej swoje życie. – Jednak nie potrafił, mówiąc falsetem, nadać swemu głosowi odpowiednio heroicznego brzmienia. Dorzucił kilka patyków do ognia i zwrócił się do olbrzyma, który usiadł, opierając owłosiony podbródek o kolana:

– No, to zaczynamy.

– Dobrze. Dowiesz się chyba z przyjemnością, że masz zaszczyt zmierzyć się z mistrzem zagadek dziewięciu kolejnych turniejów. – Olbrzym spojrzał na Alianorę i oblizał się. – Delikatny kąsek.

Miecz Holgera wyskoczył z pochwy, zanim on sam zorientował się do czego zmierza.

– Hamuj swój plugawy jęzor! – krzyknął.

– Wolisz walczyć? – Ogromne mięśnie zagrały pod skórą,

– Nie. – Holger opanował się. Ale że taki hipopotam odważył się spojrzeć na Alianorę... ! – Dobrze. Pierwsza zagadka. Dlaczego kurczak przechodzi przez drogę?

– Co? – Olbrzym rozdziawił usta, jego zęby zaśniły jak mokre kamienie. – Ty mnie o to pytasz?

– Tak.

– Przecież to wie najmniejsze dziecko! Żeby się dostać na drugą stronę.

Holger potrząsnął głową.

– Żle.

– Łziesz! – Mamucie cielsko niemal się wyprostowało. Miecz Holgera świsnął, przecinając powietrze.

– Znam doskonałą, najzupełniej prawdziwą odpowiedź. I ty musisz ją znaleźć.

– Nigdy o innej nie słyszałem – poskarżył się olbrzym. Jednak usadowił się wygodniej i zaczął

gładzić brodę brudną łapą. – Dlaczego kurczak przechodzi przez drogę? No dlaczego, jeśli nie po to, żeby się dostać na drugą stronę? Jaki mistyczny zamysł się w tym kryje? Co mogą sobą reprezentować kurczak i droga? – Zamknął oczy i zaczął się rytmicznie kołysać. Alianora, leżąca ze związanymi rękami koło ogniska, uśmiechnęła się do Holgera szeroko.

Po wieczności, wypełnionej tylko zimnym wiatrem i zimniejszymi jeszcze gwiazdami Holger zobaczył, że oczy giganta się otwierają. W świetle ognia błyszcząły jak dwie krwawoczerwone lampy, głęboko pod nawisami brwi.

– Znalazłem odpowiedź – stwierdził przerażający głos. – Zagadka jest podobna do tej, którą Thiazi zwyciężył Grotnira pięćset zim temu. Widzisz śmiertelniku, kurczak to ludzka dusza, a droga to życie, przez które ona musi przejść, z pobocza narodzin na pobocze śmierci. Na tej drodze czyha wiele niebezpieczeństw, nie tylko koleiny ciężkiego znoju i błoto grzechu, ale i wozy wojny i pomorów, ciągnięte przez woły zniszczenia, a w górze krąży jastrząb zwany Szatanem, zawsze gotowy rzucić się na zdobycz. Kurczak nie wie dlaczego przechodzi przez drogę, poza tym, że po drugiej stronie pola wydają mu się bardziej zielone. Przechodzi, ponieważ musi, tak jak my wszyscy musimy.

Jaśniał samozadowoleniem. Holger potrząsnął głową.

– Nie, znowu źle.

– Co?! – Olbrzym podniósł się jak fala. – Och, zesz ty...

– Więc wolisz walczyć? – powiedział Holger. – Wiedziałem, że nie starczy ci rozumu.

– Nie, nie, nie! – zawył gigant, wywołując niewielką kamienną lawinę. Chodził przez chwilę w kółko, aż opanował się na tyle, że znowu mógł usiąść.

– Czas ucieka – powiedział – więc przy tej zagadce się poddam i proszę o odpowiedź: Dlaczego właściwie kurczak przechodzi przez drogę?

– Ponieważ jest zbyt daleko, żeby obchodzić ją w koło – powiedział Holger.

Przekleństwa olbrzyma spadały mu głowę przez długie minuty. Był z tego całkiem zadowolony. Jego jedynym celem było wygrywanie czasu, w miarę możliwości tak długo, aż pierwsze promienie wstającego słońca padną na jego wroga. Gdy tytan wreszcie uznał, że już wystarczająco uzasadnił swój protest, Holger zdążył zebrać dostatecznie dużo argumentów na temat znaczenia pojęć "pytanie" i "odpowiedź", żeby mogli krzyczeć na siebie przez następne pół godziny. Błogosławione niech będą te wykłady z semantyki, na które uczęszczał podczas studiów! Dziesięć minut zajęła mu sama rekonstrukcja teorii znaczeń Bertranda Russella.

W końcu olbrzym wzruszył ramionami.

– Niech będzie – powiedział złowieszczo. – Nadejdzie następną noc, przyjacielu. Chociaż myślę, że drugą zagadką już ci się nie uda mnie pokonać. Dawaj ją!

Holger odetchnął głęboko.

– Co to jest – spytał – ma cztery nogi, żółte pióra, mieszka w klatce, śpiewa i waży czterysta kilogramów?

Pięść olbrzyma uderzyła w ziemię, aż podskoczyły kamienie.

– Pytasz o jakąś niesłychaną chimerę! To nie zagadka, to pytanie z historii naturalnej!

– Jeżeli zagadką jest pytanie, na które odpowiedź można znaleźć drogą logicznego rozumowania, to zadałem ci zagadkę – powiedział Holger. Ukradkiem spojrzął na wschód. Czy niebo rzeczywiście się rozjaśniło odrobinę?

Olbrzym zamachnął się na niego, spudłował i zabrał się do przeżuwania wąsa. Najwyraźniej nie był zbyt inteligentny, osądził Holger. Nawet najbardziej powolny mózg znajdzie odpowiedź, jeżeli na roztrząsanie problemu ma całe lata. To, co ludzkie dziecko rozwiązałoby w ciągu kilku minut, temu behemotowi mogło zająć godziny. Jednak na pewno posiadał dużą zdolność koncentracji. Siedział z zaciśniętymi oczami; kiwając się i mamrocząc pod nosem. Ogień niemal wygasł, olbrzym stał się jeszcze jednym bezkształtnym cieniem.

Hugi pociągnął nogawkę Holgera.

– Nie zapomnij o złocie – szepnął pożądliwie.

– Ani o przekleństwie na nim – dodała Alianora. – Obawiam się, że jeśli nawet zwyciężymy, to nie całkiem uczciwym sposobem.

Holger był zbyt pragmatyczny, żeby się martwić tym aspektem ich sytuacji. Niewątpliwie tylko święty może walczyć ze złem nie deprawując się w pewnym stopniu swymi własnymi czynami. Olbrzym pojawił się jako niesprowokowany, kanibalistyczny agresor i oszukanie go, żeby ratować Alianorę nie może być bardzo ciężkim grzechem.

Jednakże... przekleństwa nie należą do rzeczy, które można lekceważyć. Holger poczuł ciarki na plecach. Nie wiedział dlaczego, ale instynkt podpowiadał mu, że zwycięstwo nad tym przeciwnikiem może być równie tragiczne w skutkach jak porażka.

– Gotowe! – Okropna twarz otworzyła się. – Znalazłem twoją odpowiedź, rycerzu. Dwa dwustukilowe kanarki!

Holger westchnął. Nie można zwyciężać za każdym razem.

– Dobrze, Jumbo. Trzecia zagadka.

Olbrzym przerwał zacieranie rąk.

– Nie nazywaj mnie Jumbo!

– Dlaczego nie?

– Ponieważ nazywam się Balamorg. Straszliwe imię, które wiele wdów, wiele sierot, wiele rozniesionych w drzazgi wiosek ma powody długo pamiętać. Nazywaj mnie moim prawdziwym imieniem.

– Och, ale widzisz, tam skąd pochodzę Jumbo jest zwrotem pełnym szacunku. Posłuchaj... – i przez dziesięć czy piętnaście minut Holger snuł jakąś nieprawdopodobną opowieść.

Balamorg przerwał mu stanowczym żądaniem:

– Ostatnia zagadka. I pośpiesz się, albo cię zdepczę.

– Ho, ho. Ale jak sobie życzysz. Powiedz mi w takim razie co to jest: zielone, ma koła i rośnie koło domu?

– Hę? – ogromna szczęka opadła. Holger powtórzył.

– Jakiego domu? – spytał olbrzym.

– Jakiegokolwiek – odpowiedział Holger.

– Rośnie, powiedziałaś? Pytanie o jakieś fantastyczne drzewa, na których wozy rodzą się jak owoce nie są prawdziwymi zagadkami.

Holger usiadł i zaczął czyścić paznokcie sztychem miecza. Przyszło mu do głowy, że zapalony magnezowy sztylet Alfrika może dać taki sam efekt jak światło słoneczne. A może nie dać. Sumaryczna emisja byłaby prawdopodobnie zbyt mała. Jednak, gdyby doszło do walki mógłby Płomienne Ostrze wypróbować. Zauważył, że może dość wyraźnie dostrzec sylwetkę olbrzyma, mimo że z ogniska został już tylko rozżarzony popiół.

– W moich stronach takie zagadki zadają sobie dzieci – powiedział.

Była to prawda. Jednak zranione ego Balamorga podarowało im kilka następnych minut sapania i chrząkania. W końcu z gniewnym pomrukiem olbrzym wszedł w swój trans koncentracji.

Holger siedział zupełnie nieruchomo. Alianora i Hugi leżeli jak kamienie. Nawet Papillon przestał się poruszać. Ich oczy zwrócone były na wschód.

Niebo rozjaśniło się.

Po jakimś ułamku wieczności olbrzym grzmotnął pięścią w ziemię i spojrzał na nich.

– Poddaję się – zawarczał. – Słońce już mnie przypieka. Muszę szukać schronienia. Jaka jest odpowiedź?

– Dlaczego miałbym ci ją zdradzić? – Holger wstał.

– Ponieważ ja tak mówię! – Kolos również się podniósł, przykucnął, ściągnięte wargi odsłoniły ogromne zębiska. – Albo rozdepczę tę dziewczkę na miazgę!

Holger uniósł nieco miecz.

No dobrze – powiedział. – Trawa.

Co?

Odpowiedź brzmi: trawa. Ale trawa nie ma kół!

– Och, skłamałem z tymi kołami – powiedział Holger.

Furia eksplodowała z Balamorga jednym, ogłuszającym rykiem. Ogromne cielsko runęło ku rycerzowi. Holger odskoczył, starając się być jak najdalej od Alianory. Jeżeli udałoby mu się utrzymać olbrzyma w stanie furii i zamroczenia przez następne pięć minut, samemu pozostając przy życiu, to...

– Puci, puci, puci, nie złapiesz mnie!

Łapy Balamorga klasnęły, usiłując się na nim zamknąć. Holger z całej siły ciął mieczem, odrabując olbrzymowi czubek palca. Potem były skoki i uniki, cięcia i przysiady, szyderstwa podtrzymujące furie i łapanie powietrza w nielicznych momentach wytchnienia.

Gdy dotknęły go pierwsze promienie słońca, Balamorg zawył. Holger nigdy jeszcze, w niczym głosie, nie słyszał takiej męki i przerażenia. Uciekał przed przewracającym się cielskiem, wstrząśnięty intensywnością cierpienia, którego był przyczyną. Olbrzym runął na ziemię tak ciężko, że podskoczyły pobliskie głązy. Wił się i przeobrażał. Makabra. Potem zamilkł. Promienie słońca padły na długi blok granitu o ledwie rozróżnialnych ludzkich kształtach, ciągle obleczony w skóry.

Holger również runął na ziemię, wciąż słysząc to wycie.

Przyszedł do siebie z głową na kolanach Alianory. Jej włosy i jej łzy padały na jego twarz jak potoki słonecznego światła.

Hugi podskakiwał wokół wielkiego głazu. !

– Złoto, złoto, złoto! – powtarzał. – Każdy z wielkoludów sakwę nosi ze złotem. Szybko, człowieku, odetnij ją i będziemy bogatsi nad króle!

Holger wstał z pewnym trudem i podszedł do krasnoluda.

– Wołałabym nie – powiedziała Alianora. – Jeżeli jednak uważasz, że lepiej będzie, jeśli weźmiemy jego bogactwa – a na pewno w drodze przyda nam się parę miedziaków – pozwól, że ja będę je niosła, żeby klątwa spadła tylko na mnie. Och, mój kochany!

Holger ruchem ręki kazał Hugiemu odejść na bok i pochylił się nad ściągniętą rzemieniem, zrobioną ze źle wyprawionej skóry sakwą. Kilka monet już z niej wypadło. Błyszczały na ziemi jak miniaturowe słoneczka. Gdyby część tego skarbu, pomyślał, przeznaczyć na jakiś godny cel, na przykład zbudowanie kaplicy Świętemu Jerzemu, pewnie resztę można by było bezpiecznie zatrzymać.

Co to za zapach? Nie smród skór, ale ten drugi, delikatny, jak po burzy pod czystym porannym niebem... Ozon? Tak. Ale skąd?

– Boże! – krzyknął nagle. Poderwał się, chwycił Alianorę na ręce i pognął ku obozowisku. – Hugi! Uciekaj stąd! Wynosimy się z tego miejsca! Nie dotykaj niczego, jeśli chcesz żyć!

W ciągu kilku minut spakowali się, wskoczyli na Papillona i pogalopowali w dół zachodniego stoku. Dopiero kilka mil dalej Holger poczuł się na tyle bezpiecznie, żeby wstrzymać konia. Hugi i Alianora natychmiast zażądali wyjaśnień. Musiał ich zbyć jakąś niejasną historyjką o nagłej wizji śmiertelnego niebezpieczeństwa, zesłanej mu przez świętych. Na szczęście jego pozycja w grupie była na tyle ugruntowana, że żadne z nich nie zaprotestowało.

Ale w jaki sposób miał im wytłumaczyć prawdę? Sam nie bardzo się orientował w fizyce atomowej. Pamiętał jedynie to, czego na uczelni nauczył się o przeprowadzanych przez takich ludzi jak Lawrence czy Rutheford eksperymentach nad przemianami pierwiastków. I o chorobach popromiennych.

Opowieści o klątwie ciężącej na złocie, które zostało zabrane porażonym przez promienie słoneczne olbrzymom były całkowicie prawdziwe. Podczas przemiany węgla w krzem musiał powstawać radioaktywny izotop, a w tym przypadku w grę wchodziły tony materiału wyjściowego.

Po południu wciąż jeszcze zjeżdżali w dół, jakkolwiek już wolniej i w spokojniejszej atmosferze. Las, przez który jechali, głównie dębowo – bukowy z nielicznymi sosnami, nosił wyraźne ślady obecności człowieka: pnie ściętych drzew, szkółki na polanach, wyskubane przez pasące się zwierzęta poszycie, wreszcie rodzaj drogi, wijącej się ku miasteczku, do którego, według Alianory, powinni dotrzeć jeszcze przed nocą. Holger drzemał w siodle, wyczerpany spotkaniem z Balamorgiem, uśpiony powolną jazdą i śpiewem ptaków.

Minęli samotną zagrodę. Solidna, kryta strzechą chata z obrobionych pni i owczarnia świadczyły o zamożności właściciela. Ale z komina nie unosił się dym, wszędzie panowała cisza i bezruch. Jedyne kruk skakał po pustym podwórku, skrzecząc na nich szyderczo.

Hugi wskazał ścieżkę.

– Widzę po śladach, że kilka dni temu pognał swoje stado ku miastu – powiedział. – Dlaczego?

Promienie słońca, przedzierające się przez sklepienie z liści wydały się Holgerowi jakby chłodniejsze, niż być powinny.

Wieczorem wyjechali na otwartą przestrzeń. Rozciągały się przed nimi pola dojrzewających zbóż, niewątpliwie uprawiane przez mieszkańców osady. Słońce skryło się już za lasem, który na zachodzie czarną krechą podkreślał gasnący, czerwony poblask. Na wschodzie, ponad górami, błyszczały pierwsze gwiazdy. Było jeszcze na tyle widno, żeby Holger mógł zauważyć około milę przed nimi chmurę kurzu na drodze. Cmoknął na Papillona i ogier ruszy zmęczonym kłusem. Alianora, zabawiająca się ściganiem nietoperzy, które wyleciały wraz z zachodem słońca wylądowała za nim i przybrała z powrotem ludzką postać.

– Nie ma sensu niepokoić tych ludzi – powiedziała. – Wyraźnie mają własne kłopoty, które im napędzają strachu.

Wielki nos Hugiego wciągnął powietrze.

– Bydło i owce za mury zaganiają. Uch, jak tu cuchnie! Jenó jest w tym jakaś woń inna... pot ostrzej śmierdzi kiej człek się boi... i coś jeszcze, ślad jakiś dziwaczny, nieludzki. – Przesunął się w tył na łąku siodła, opierając plecy o pierś Holgera.

Stado było całkiem pokaźne. Tu i ówdzie wylewało się z drogi, zbaczając na pola. Chłopcy i psy, biegający wokół i zaganiający z powrotem zbłąkane sztuki, tratowali zboże, wydeptując w nim własne ścieżki. Coś nadzwyczajnego musi ich zmuszać do takiego pośpiechu, pomyślał Holger. Ściągnął wodze, gdyż drogę zagrodziło im kilku uzbrojonych we włócznie wieśniaków. Przez zapadający zmrok Holger zobaczył, że byli to ludzie krępi, jasnoskórzy, brodaci i długowłosi; ubrani w grube kaftany z surowej wełny i spodnie, okręcone rzemieniami od łapci. Byli zbyt spokojni z natury, żeby wpadać w histerię, ale w głosach, które spytały o jego imię słyhać było niepokój i strach. – Sir Holger z Danii i dwoje przyjaciół – odpowiedział. Wyjaśnienie skomplikowanej prawdy nie miało większego sensu. – Przybywamy w pokoju i chcielibyśmy znaleźć tu nocleg.

– `Olger? – Tęgi mężczyzna w średnim wieku, który zdawał się być przywódcą tej grupy opuścił włócznię i podrapał się w głowę. – Czy ja już gdzieś nie słyshałem tego albo podobnego imienia?

Pomruk przeszedł wśród mężczyzn, ale żaden z nich nie znalazł natychmiastowej odpowiedzi, a obowiązki wobec stada nie zostawiały czasu na głębsze zastanowienie.

– Ktokolwiek nosi mię, które słyszeliście, nie jest mną – powiedział Holger. – Jestem przybyszem z daleka, tylko przejeżdżającym przez te strony.

– No cóż, panie, witajcie w Lourville – powiedział główny wieśniak. – Boję się, że w niedobrym przybywacie czasie, ale sir Yve będzie rad was widzieć... Hej, ty tam! Zawróć tę w dupę kopaną jałówkę, zanim znajdzie się w sąsiednim hrabstwie!... Nazywam się Raoul, panie. Wybaczcie, proszę, to zamieszanie na drodze.

– Co się stało? – spytała Alianora. – Widzę, że pędzicie swoje zwierzęta na noc za mury, a przecież nie ma tam dla nich zagród.

Holger usłyszał, że jakiś starszy człowiek mamrocze na temat tych zagranicznych turystów i ich skandalicznie rozebranych pańienek. Ktoś inny go uciszył:

– Słyszałem o niej, dziadku, to łabądziewa, która żyje trochę na północ i zachód od obszaru Lourville. Mówią, że jest bardzo dobra.

Holger zaczął przysłuchiwać się temu, co mówi Raoul:

– Tak, pani, już od paru dni wypasamy cały inwentarz razem, a po zmierzchu zamykamy stado w mieście. Dziś w nocy nawet ludzie muszą się tłoczyć wewnątrz murów. Nikt już nie ośmiela się po zapadnięciu ciemności zostawać sam na zewnątrz. Po okolicy krąży wilkołak.

– Hej, tak mówisz? – huknął Hugi. – Przeobrażeniec?

– Tak. Ostatnimi laty wiele spraw układało się nie tak, jak powinno. W każdym gospodarstwie jedno nieszczęście goniło za drugim. Tej wiosny moja własna siekiera obsunęła się i otworzyła mi nogę, a potem zrobiła to samo mojemu najstarszemu. Trzy tygodnie leżeliśmy w łóżku, akurat w porze zasiewów. I każda rodzina może opowiedzieć taką historię. Mówią, że to z powodu rzeczy, które dzieją się w Środkowym Świecie za górami. Czarnoksiężstwo tak wzrosło w siłę, że jego moc aż tutaj sięga i wszystko na złe obraca. Tak mówią. – Raoul przeżegnał się. – Ja tam nie wiem. Ten loup – garou to najgorsza rzecz, jaka dotąd się nam przytrafiła. Chryste strzeż nas.

– A nie może to być zwyczajny wilk, który na wasze zagrody napada? – spytała Alianora. – Często słyszałam, jak ludzie mówili, że gdzieś kręci się wilkołak, a tymczasem był to zwykły zwierz, tylko większy i sprytniejszy niż inne.

– To może być – odpowiedział Raoul zimno – tylko trudno zrozumieć, jak zwykły zwierz mógł wyłamać tyle bram i otworzyć tyle zamków. A i to również, że normalne wilki nie zabijają tuzina owiec na raz, dla czystej rozrywki, jak łasica. Ale ostatniej nocy ta sprawa została rozstrzygnięta. Pier Bigfoot i jego żona Berta byli w swojej chacie, trzy mile w głąb lasu, kiedy szary wskoczył, wyłamując okno i porwał ich dziecko z kołyski. Pier rąbnął go sierpem i przysięga, że żelazo przeszło przez żebra wilka nie czyniąc mu szkody. Potem Berta w szale uderzyła go starą srebrną łyżką, co jej po babce została. Wypuścił dziecko – nawet niezbyt poturbowane, dzięki Bogu – i uciekł przez to samo okno. Więc pytam, czy to normalne zwierzę?

– Nie – powiedziała Alianora, cicho i ze strachem w głosie.

Raoul splunął.

– Więc będziemy spać za murami póki to niebezpieczeństwo nie minie, a wilk niech się włóczy

po pustym lesie. Może odkryjemy, kto zmienia skórę i spalimy go. – I łagodniejszym już tonem – Wielka to szkoda dla sir Yvea, to wszystko, właśnie teraz, gdy jego córka Raimberge przygotowuje się do podróży na zachód i poślubienia w Vienne trzeciego syna margrabiego. Módlmy się o szybki kres naszego smutku.

– Nasz pan nie będzie mógł cię podjąć tak, jak na to zasługujesz, sir`Olgerze – dodał jakiś chłopak. – Zamierza cała noc chodzić po murach, żeby wilk ich nie przeskoczył. A pani Blanche flor leży w łóżku, zmorzona chorobą. Jednak jego syn i córka zrobią, co w ich mocy.

Holger pomyślał, że on również powinien zgłosić się do wartowania, ale obawiał się, że po ostatniej nocy i całym dniu w siodle nie będzie w stanie powstrzymać się od snu. Chwilę później, gdy jechali powoli na czele stada, spytał Alianory na czym polega niebezpieczeństwo, które tak przeraziło tutejszych ludzi.

– Istnieją dwa sposoby, za pomocą których człowiek może przybrać zwierzęcą postać – odpowiedziała. – Jeden to zaklęcia, rzucane na zwykłych ludzi, takie, jakimi moja tunika z piór zmienia mnie w łabędzia, gdy sobie tego życzę. Drugi jest bardziej ponury. Pewni ludzie rodzą się z podwójną naturą. Do zmiany postaci nie potrzebują czarów i każdej nocy pragnienie, żeby stać niedźwiedziem, albo dzikiem, albo wilkiem, albo jakimś innym zwierzęciem, które jest im przypisane... każdej nocy opanowuje ich to pragnienie. A potem są jak wściekli. W ludzkiej postaci mogą być łagodni i rozsądni, ale jako zwierzęta sięją zniszczenie aż zaspokoją żądzę krwi, lub też aż strach przed odkryciem zmusi ich do przybrania z powrotem ludzkiej postaci. Niemal nie można ich pokonać, gdyż ich rany goją się w mgnieniu oka. Tylko dotyk srebra zadaje im ból i tylko srebrną bronią można ich zabić. Ale od takiej broni mogą uciec szybciej niż jakiegokolwiek prawdziwe zwierzę.

– Jeżeli, hmm..., wilkołak nie ma wpływu na swoją naturę, to ten tutejszy musiał skądś przywędrować, prawda? Gdyby był stąd, już od lat by tu grasował.

– Nie. Ja myślę tak, jak powiedział ten wieśniak – że być może jest to ktoś z nich. Gdyż niewielki ślad wilczej krwi przez lata, nawet przez całe życie, może uchodzić niezauważony, nie będąc na tyle silnym, żeby się ujawnić. Dopiero ostatnio, gdy tak wzrosło w siłę czarnoksiężstwo, ten śpiący demon mógł się obudzić. Nie wątpię, że sam wilkołak jest głęboko przerażony. Niech mu Bóg pomoże, jeżeli ci ludzie odkryją kim on jest.

– Niechaj Bóg pomoże każdemu, kto onym rażonym strachem kmiotkom zwidzi się wilkiem – mruknął Hugi.

Holger jechał ku bramie miejskiej ze zmarszczonym czołem, zastanawiając się. Był w tym jakiś sens, chociaż dziwaczny, jak większość rządzących tym wszechświatem praw. Wilkołactwo było prawdopodobnie dziedziczone jako zestaw recesywnych genów. Jeżeli ten zestaw był kompletny, byłeś wilkołakiem zawsze i wszędzie – i najpewniej zostawałeś zabity w chwili, w której twój ojciec po raz pierwszy znajdował wilcze szczenię w kołysce swego dziecka. Jeżeli dziedzictwo było niepełne, tendencja do zmiany postaci była słabsza. W tym biednym wieśniaku, który tutaj nosił tę klątwę, musiała być całkowicie uszpięta i nigdy nie podejrzewana. Do czasu, aż spotężniała moc magiczna dmuchnęła ponad górami ze Środkowego Świata i wzmocniła te procesy biologiczne czy chemiczne, które były z tym związane.

Wyteżył wzrok, przebijając ciemności. Miasteczko otoczone było mocną palisadą z biegnącą wzdłuż wąską platformą, po której sir Yve będzie dziś w nocy robił swój obchód. Wewnątrz tłoczyły

się wąskie drewniane budynki, parterowe lub jednopiętrowe. Wijące się między nimi ulice były zwykłymi, pełnymi kurzu drózkami, cuchnącymi teraz odchodami wypełniających je każdej nocy zwierząt. Ta, którą wkroczył do miasta była nieco szersza, i bardziej prosta, ale niewiele. Gdy przekraczał bramę, stał się centrum zainteresowania pewnej liczby kobiet w długich spódnicach i kwefach, rozczochranych dzieci i rzemieślników w roboczych ubraniach. Większość z nich trzymała pochodnie, migoczące i kopące w głęboko purpurowe niebo. Odprowadzali go wzrokiem, zniżając z szacunkiem głosy.

Zatrzymał się w pobliżu prowadzącej w bok uliczki, ciemnego tunelu, utworzonego przez stojące z obu stron domy i niemal przykrytego ich wystającymi galeryjkami. Zauważył majaczący ponad kalenicami szczyt kanciastej wieży, która prawdopodobnie była częścią siedziby sir Yvea. Pochylił się w stronę krzepkiego mężczyzny, który przygładził sobie włosy i powiedział:

– Kowal Odo, panie, do usług. Holger wskazał uliczkę.

– Czy to droga do dworu waszego pana?

– Tak, panie. Ty, Frodoart, czy pan jeszcze w domu?

Młody człowiek w wyblakłych szkarłatnych pantalonach i z mieczem przy boku skinął głową.

– Przed chwilą go opuściłem, uzbrojonego od stóp do głów. Pokrzepiał się kuflem piwa przed wejściem na mury. Jestem jego giermkim, panie rycerzu. Zaprowadzę cię do niego. To miejsce to istny labirynt.

Holger zdjął hełm, gdyż jego włosy były mokre od potu po całym dniu pod żelazem, a nocny wiatr, nawet jeśli niezbyt wonny, chłodził przyjemnie. Nie mógł spodziewać się oszałamiających wygód po tutejszym dworze. Sir Yve de Lourville najwyraźniej nie był zbyt bogaty – prowincjonalny rycerz z garstką czeladzi, strzegący tych stron przed bandytami i spełniający funkcje miejscowego sędziego. Raoul był przepełniony obywatelską dumą, mówiąc o zaręczynach jego córki z młodszym synem pomniejszego arystokraty z zachodniej części Imperium.

Och, no i co z tego? I tak wszystko, czego mi teraz potrzeba, to coś do jedzenia i miejsce, gdzie się mogę przespać.

Giermek poszedł przodem z pochodnią. Holger poklepał Papillona, żeby mu dodać odwagi i wjechał w uliczkę.

Rozległ się krzyk kobiety.

Holger miał hełm na głowie i miecz w ręku zanim jeszcze ten krzyk przebrzmiał. Papillon okręcił się w miejscu. Ludzie przysunęli się do siebie, ich głosy zabrzmiały bardziej wyraźnie. Filujące pochodnie rzucały niepewne cienie na domy przy głównej ulicy. Górne piętra ginęły w ciemnościach. Holger teraz dopiero zauważył, że wszystkie okna były przesłonięte okiennicami, wszystkie drzwi zamknięte. Kobieta znowu krzyknęła. W jednym z tych domów.

Okiennica, zamknięta na żelazną zasuwkę, rozleciała się w drzazgi. Kształt, który przez nią wyskoczył był długi i kudłaty, stalowoszary w ciężkim, czerwonym półmroku. Łbem otworzył sobie drogę na zewnątrz. Gdy wylądował na ulicy, podniósł pysk spomiędzy przednich łap. Wiło się w nim ludzkie niemowlę.

– Wilk! – wrzasnął kowal. – Matko Boska, zamknęliśmy się z wilkiem! W oknie ukazała się matka dziecka.

– Wskoczył od tyłu! – zawyła nieprzytomnie. Wyciągnęła ręce ku bestii i ku nim wszystkim. – Wskoczył od tyłu i porwał Lusiane! Trzyma ją, trzyma ją! Niech Bóg was porazi, mężczyźni, nie stójcie tak, ratujcie mi dziecko!

Papillon rzucił się naprzód. Wilk wyszczerzył kły, zaciśnięte na niemowlęciu. Krew ściekała po różowej skórze, ale dziecko ciągle się poruszało i płakało. Holger ciął mieczem. Wilka już tam nie było. Niesamowicie szybki, przebiegł między nogami Papillona i teraz uciekał wzdłuż ulicy.

Giermek Frodoart zagroził mu drogę. Nie zwalniając nawet na jotę wilk przeskoczył nad jego głową. Niedaleko przed nim ciemniał wylot następnej uliczki. Holger okręcił Papillona i galopem rzucił się w pościg. Za późno, myślał, za późno. Gdy dotrze do tego labiryntu ciemnych zaułków, może pożreć zdobycz i zmienić się w człowieka zanim ktokolwiek go znajdzie...

Zaszumiały białe skrzydła. Alianora – łabędzica uderzyła dziobem w oczy wilka. Położył uszy po sobie, uskoczył i pobiegł ku następnej uliczce. Alianora znowu wylądowała przed nim. Śnieżna zamieć, pełna twardych uderzeń. Zatrzymała go.

Potem już był tam Holger. W tej odległości od pochodni niemal nic nie widział, mógł jednak dostrzec wielki, ciemny kształt. Świsnął miecz. Holger poczuł, że ostrze przecina mięso. Błysnęły ku niemu wilcze oczy, zielone, zimne i pełne nienawiści. Znowu podniósł miecz, na ostrzu błysnęła resztką docierającego tu światła. Było czyste, bez śladu krwi. Żelazo nie mogło zranić wilkołaka.

Papillon uderzył kopytami, przewrócił bestię na ziemię i zaczął ją deptać. Włochaty kształt, ciągle nietknięty, odtoczył się na bok, i zniknął w ciemności uliczki. Jednak dziecko, które porzucił leżało koło nich, zanosząc się płaczem.

Zanim wieśniacy do nich dobiegli, Alianora znowu była człowiekiem. Tuliła wymazaną krwią i błotem dziewczynkę do piersi.

– Och, biedne kochanie, biedna malutka, już dobrze, już dobrze. Cichutko, już po wszystkim. Nic ci się takiego nie stało, tylko trochę zadrapań. Och, przestraszyłaś się, biedactwo. Pomyśl, swoim dzieciom będziesz mogła opowiadać, najlepszy rycerz na świecie cię uratował. Już nie płacz, luliluli... – Mężczyzna z wielką, czarną brodą, który musiał być ojcem wyrwał jej niemowlę, przyglądał mu się przez chwilę i opadł na kolana, wstrząsany nieznanym chyba sobie łkaniem.

Holger użył masy Papillona i płazu swego miecza, żeby odpędzić od niego tłum.

– Uspokójcie się – zawołał. – Weźcie się w garść. Dziecku nic się nie stało. Ty, ty, i ty, chodźcie tu. Potrzebni mi są ludzie z pochodniami. Skończcie z tym paplaniem. Musimy złapać tego wilka.

Kilku mężczyzn zbladło, przeżegnało się i chyłkiem odeszło. Kowal Odo potrząsnął pięścią ku wylotowi uliczki i powiedział:

– Jak? Nie zostawi śladów ani na tym zaschniętym błocie, ani na chodnikach gdzie indziej. Dotrze bez przeszkód do swego domu i zmieni się z powrotem w jednego z nas.

Frodoart przyjrzał się uważnie twarzom wokół siebie, wyłaniającym się i niknącym z powrotem w ciemności.

– Wiemy, że to żaden z nas – powiedział głośno, żeby być słyszany przez szum ogólnej gadaniny – ani też nikt z pasterzy przy bramie. To już jest coś. Niech każdy zapamięta kto obok niego stoi.

Hugi pociągnął Holgera za rękaw.

– Możem za nim iść, jeśli taka twa wola – powiedział. – W nosie mnie wierci od jego smrodu. Holger powąchał powietrze.

– Ja czuję tylko łajna i śmiecie.

– Tak, jeno ty nie jesteś leśnym krasnoludem. Szybko, chłopcze, opuść mnie na ziemię, a ja już pójdę za śladem. Bacz jeno, żebyś blisko za mną się trzymał!

Holger posadził Alianorę z powrotem w swoim siodle – ojciec dziecka ucałował jej zakurzoną stopę – i ruszył za Hugim. Frodoart i Odo szli po bokach, trzymając wysoko pochodnie. Z tyłu, za najodważniejszymi spośród wieśniaków, uzbrojonymi w noże, kije i włócznie tłoczyło się kilkudziesięciu innych. Jeśli złapiemy wilkołaka, pomyślał Holger, powinno się udać przytrzymać go siłą, zanim zostanie związany. A potem... nie bardzo miał ochotę zgadywać, co nastąpi potem.

Przez kilka minut Hugi krążył ciemnymi uliczkami. W końcu wyszedł na rynek, wybrukowany i nieco jaśniejszy pod otwartym niebem.

– Tak, wyraźny jak musztarda zapach – zawołał. – Nic na świecie nie śmierdzi jak wilkołak, gdy zwierza postać przyjmie.

Holger zastanawiał się przez chwilę czy był to skutek wydzieliny jakichś gruczołów. Kamienie dzwoniły pusto pod podkowami Papillona.

Ulica, w którą skręcili z rynku była również wybrukowana i stosunkowo szeroka. Niektóre z mijanych domów były oświetlone, ale Hugi ignorował widocznych w nich ludzi. Biegł prosto, aż za plecami Holgera rozległ się jękliwy okrzyk Frodoarta:

– Nie! Nie do dworu mego pana!

Siedziba rycerza stała przy własnym placu, na wprost kościoła, ze stłoczonymi po obu stronach domami. Kuchnia i stajnie tworzyły osobne budynki. Sam dwór był niezbyt imponującą, drewnianą i krytą strzechą budowlą, niewiele większą od przeciętnego domu letniego w świecie Holgera. Miał kształt litery T, na lewym ramieniu poprzeczki wyrastała wieża, którą Holger zauważył już wcześniej. Główne wejście znajdowało się na końcu nóżki i było zamknięte. Przez zatrzaśnięte okiennice sączyło się światło, w stajniach hałasowały psy.

Hugi podszedł do okutych żelazem drzwi. – Wilk wbiegł prosto tutaj – powiedział.

– A mój pan i jego rodzina są tam sami! – Frodoart szarpnął klamkę. – Zaryglowane. Sir Yve! Panie, słyszysz mnie? Wszystko w porządku?

– Odo, pilnuj domu od tyłu – rozkazał Holger. – Alianora, unieś się w powietrze i melduj gdyby coś się działo.

Podjechał do drzwi i zastukał w nie głowicą miecza. Kowal skrzyknął kilku mężczyzn i pobiegł z nimi na tyły dworu. Hugi podążył za nimi. Na plac docierało coraz więcej ludzi. W niepewnym świetle pochodni Holger rozpoznał wśród nich niektórych pasterzy. Raoul przepchnął się przez tłum i z włócznią w dłoni dołączył do Holgera.

Łomotanie do drzwi budziło głucho echa wewnątrz budynku.

– Czy oni są już martwi? – jęknął Frodoart. – Trzeba się włamać! Jesteście ludźmi czy psami, że stoicie beczynie, gdy wasz pan potrzebuje pomocy!

– Jest tu jakieś tylne wejście? – spytał Holger. Krew pulsowała mu w skroniach. Nie odczuwał strachu przed wilkołakiem, zniknęło nawet poczucie obcości. Wszystko było na swoim miejscu: to była robota, do której został stworzony.

Hugi przecisnął się między nogami ludzi i szarpnął strzemię.

– Innych drzwi tu nie ma, jeno okien mnóstwo, wszystkie na głucho zawarte – powiedział. – Ale wilk nigdzie stąd nie poszedł. Wszystko obwąchałem. Te nawet miejsca, gdzie mógł spać kiejby skoczył z onej wieży. Teraz już nie ujdzie, wszystko pilnowane. W pułapce siedzi.

Holger rozejrzał się wokół. Wieśniacy przestali już trajkotać, otoczyli dwór i czekali, gotowi i bardzo cisi. Światło pochodni przemknęło po przestraszonym twarzy jakiejś kobiety, zaśniło na spoconym czole mężczyzny, odbiło się w błyszczących w mroku oczach. Nad ich głowami jeżyła się broń, włócznie, topory, kosy, piki, cepy.

– A co ze służbą? – Holger spytał Frodoarta.

– Nie ma tam nikogo, panie – odpowiedział giermek. – Domowi to ludzie z miasta i po zmierzchu wracają do siebie. Zostaje tylko stary Nicolas, ale jak widzę też jest tutaj, tak samo stajenni... Wprowadź nas do środka!

– Właśnie mam zamiar, jeżeli zrobicie mi trochę miejsca.

Frodoart i Raoul odsunęli ludzi, sprawnie, choć może nieco brutalnie. Holger poklepał Papillona po szyi i powiedział cicho:

– No dobrze, chłopcze, przekonajmy się na co nas stać.

Spiął konia. Przednie kopyta uderzyły w drzwi. Raz, drugi, trzeci... Potem zasuwy puściły i wejście stanęło otworem.

Holger wjechał do pojedynczego, długiego pomieszczenia, z klepiskiem, częściowo przykrytym sfatygowanymi matami. Nad rozstawionymi wzdłuż ścian ławami wisiały trofea myśliwskie i broń. Pomiędzy krokwiami falowały zakurzone proporce bitewne. Osadzone w kinkietach świece dawały dostatecznie dużo światła, żeby Holger mógł zobaczyć, że pomieszczenie jest puste aż po przejście w przeciwną ścianę. Dalej znajdowała się pewnie poprzeczka litery T, prywatne pokoje sir Yvea i jego rodziny. Z tyłu, z tłoczącego się tłumu rozległy się krzyki. Przejście blokowała błyszcząca stalowo w świetle świec postać.

– Kim jesteście? – Postać machnęła mieczem. – Co to za napad?

– Sir Yve – wykrzyknął Frodoart. – Wilk nie zrobił ci nic złego, panie?

– Jaki wilk? O co wam, do diabła, chodzi? Ty, panie rycerzu, jak wytłumaczysz to włamanie do mego domu? Jesteś jakimś moim wrogiem? Jeśli nie, to klnę się na Boga, że zaraz możesz nim zostać! Holger zeskoczył na ziemię i podszedł bliżej. Sir Yve de Lourville był wysokim, raczej chudym mężczyzną z melancholijną, końską twarzą i obwisłymi, szarymi wąsami. Nosił zbroję znacznie bardziej wymyślną niż Duńczyk – hełm i zasłona, napierśnik, naramienniki, naręczaki z ochroną na łokcie, nagolennice plus kolczugę. Na jego tarczy widniała wilcza głowa w czerni na sześciu pasach naprzemiennie w czerwieni i srebrze – wizerunek, który Holgerowi wydał się niezwykle pasującym do sytuacji. Jeżeli jakiś ich odległy przodek był pełnym wilkołakiem, mogło to być celowo zapomniane przez następne pokolenia, ale ciągle pokutowało w rodowym herbie...

– Jestem sir Holger z Danii. Widziałem wilkołaka na własne oczy, tak ja, jak i wielu innych ludzi. Tylko dzięki łasce Pańskiej udało nam się uratować dziecko, które porwał. Doszliśmy za nim aż tutaj.

– Tak – powiedział Hugi. – Ślad prosto do ciebie wiedzie,

Szum przeszedł wśród gawiedzi, jak pierwsze westchnienie wiatru przed burzą.

– Łzesz, krasnoludzie! Siedziałem tutaj cały wieczór. Nie wbiegła tu żadna bestia. – Sir Yve wyciągnął miecz ku Holgerowi. – Nikogo tu nie ma poza moją panią, która jest chora i dwojgiem moich dzieci. Jeśli twierdzisz coś innego, musisz tego dowieść po moim trupie.

Jego głos nie brzmiał zbyt pewnie. Nie potrafił przekonująco grać zucha. Raoul był pierwszym, który się odezwał.

– Jeśli tak się sprawy mają, sir Yve, to odmieńcem musi być ktoś z twoich.

– Tym razem ci przebaczam – odpowiedział sir Yve z wściekłością. – Wiem, że jesteś przepracowany. Ale następny, który wypowie podobne słowa zawiśnie na szubienicy.

Frodoart stał osłupiały, z potokami łez płynącymi po policzkach.

– Krasnoludzie, skąd możesz mieć pewność? – jęknął w końcu.

Sir Yve uczepił się tego pytania.

– Właśnie, komu ufacie – temu zniekształconemu ludzikowi i temu rycerzowi od siedmiu boleści czy waszemu panu, który przez wszystkie te lata strzegł was od złego?

Za jego plecami pojawił się może czternastoletni chłopiec, szczupły i jasnowłosy. Na głowie miał hełm, w dłoniach miecz i tarczę, najwyraźniej złapane w wielkim pośpiechu, gdyż poza tym ubrany był w kolorową tunikę i pończochy – strój, będący miejscowym odpowiednikiem fraka. Oczywiście, pomyślał Holger, nawet na krańcach cywilizacji każdy arystokrata przebiera się do kolacji.

– Oto jestem, ojcze – wydyszał. Jego zielone oczy wbiły się w Holgera. – Jestem Gui, syn Yvea de Lourville, i choć nie jestem jeszcze pasowany, zadaję ci fałsz i wzywam, byś stanął do walki. – Zrobiłoby, to znacznie większe wrażenie gdyby młodzieniec nie przechodził właśnie mutacji, ale i tak Holger był poruszony.

Jasne, czemu nie? Wilkołak może być bardzo prawym człowiekiem, z wyjątkiem chwil, gdy opanowuje go zrodzona z przemiany żądza mordy.

Westchnął i schował miecz do pochwy.

– Nie chcę walczyć – powiedział. – Jeżeli ludzie powiedzą, że mi nie wierzą, odejdę.

Wieśniacy poruszyli się niespokojnie, zapatrzyli się w podłogę, potem znowu podnieśli wzrok na Holgera i Yvea. Frodoart spróbował ukradkiem kopnąć krasnoluda, ale Hugi uskokzył. Potem w drzwiach pojawił się Odo i rozepchnął ludzi, robiąc drogę idącej za nim Alianorze.

– Łabądziewa będzie mówiła – krzyknął. – Łabądziewa, która uratowała Lusiane. Cicho, wy tam, baranie łby, albo wam przyłożę.

Zapadła kompletna cisza, przerywana tylko szczekaniem psów na zewnątrz. Holger zobaczył, jak bieleją knykcie zaciśniętej na włócznie dłoni Raoula. Niski mężczyzna w kapłańskich szatach opadł na kolana, ściskając krucyfiks. Gui rozdziawił usta. Sir Yve skulił się jak zraniony. Wszystkie oczy wpatrzone były w Alianorę. Zatrzymała się, smukła i wyprostowana, światło świec błyszczało w jej miedzianobrazowych włosach.

– Niektórzy z was pewnie już o mnie słyszeli – powiedziała – o mnie, która mieszkam nad jeziorem Arroy. Nie lubię przechwałek, ale w miejscach, leżących bliżej mego domu, jak Tarnberg i Cromdhu, powiedzą wam jak wiele zabłąkanych dzieci wyprowadziłam z lasów i jak zmusiłam Mab we własnej osobie, żeby zdjęła kłatwę z młynarza Filipa. Znam Hugię całe moje życie i opowiadam się tu za nim. Rzucanie na kogoś potwarzy nic nam nie daje. Macie tylko szczęście, że najpotężniejszy rycerz, jaki kiedykolwiek żył przybył tu na czas, żeby was uwolnić od wilka, zanim ten zacznie zabierać życie ludziom. Słuchajcie go, mówię wam!

Stary człowiek wykuśtykał przed innych. Zamrugnął jak ślepiec i powiedział wyraźnie w panującej ciszy:

– Czy chcesz powiedzieć, że to jest Obrońca?

– O czym ty mówisz? – spytał Holger, nieco przerażony.

– Obrońca... ten, który wróci w chwili największej potrzeby... legenda, którą mi opowiedział dziadek nie wyjawia jego imienia, ale czy to ty, panie rycerzu, czy to ty?

– Nie... – Zaprzeczenie utonęło w szumie, narastającym jak fala. Raoul skoczył naprzód z pochyloną, włócznie.

– Na Niebiosa, nie jest moim panem, kto porywa dzieci! – krzyknął. Frodoart zamierzył się na niego mieczem, ale jakby bez przekonania. Cios zatrzymał się na drzewcu włócznie. Chwilę później

czterech mężczyzn przysięgano już giermka do ziemi.

Sir Yve skoczył na Holgera. Duńczyk ledwo zdążył wydobyć miecz i odparować cios. Oddał uderzenie, mierząc w tarczę, ale z taką siłą, że pękło jej okucie. Yve zachwiał się. Holger wytrącił miecz z jego dłoni. Dwóch wieśniaków złapało ramiona swego pana. Gui próbował zaatakować, ale widły ukłuły go w pierś i zmusiły do cofnięcia się pod ścianę.

– Uspokójcie tych ludzi, Raoul, Odo! – wrzasnął Holger. – Nie dajcie im nikogo skrzywdzić. Ty, ty, ty. – Wskazał kilku młodych, chętnych osiłków. – Pilnujcie tego przejścia. Niech nikt tędy nie przechodzi. Alianora, Hugi, chodźcie ze mną.

Włożył miecz z powrotem do pochwy i pośpieszył w głąb budynku. Prostopadle do głównej sali biegł korytarz ze ścianami wyłożonymi rzeźbionym drewnem, kończący się z obu stron pojedynczymi drzwiami. Trzecie drzwi widniały na wprost wejścia. Holger zaczął od tych ostatnich. Otworzyły się na pokój obwieszony skórą i pogryzionymi przez mole gobelinami. Światło woskowych świec padało na kobietę, leżącą na łożu z baldachimem. Proste, siwiejące włosy otaczały przystojną, płonąącą gorączką twarz. Kobieta kichała i kaszłała w chusteczkę. Ciężki przypadek zaziębienia, ocenił Holger. Dziewczyna, która siedziała obok łóżka, a teraz się podniosła była dużo bardziej interesująca – miała zaledwie szesnaście lub siedemnaście lat, ale przyjemną figurę, długie jasne warkocze, niebieskie oczy, mały zadarty nosek i atrakcyjne usta. Ubrana była w prostą, jednoczęściową suknię, ściągniętą pasem ze złotą kłamrą. Holger ukłonił się.

– Pani, panienko, wybaczone proszę wtargnięcie. Zmusza mnie do tego konieczność. – Wiem – odpowiedziała dziewczyna zdenerwowanym głosem. – Słyszałam.

– Panna Raimberge, prawda?

– Tak, córka sir Yvea. Moja matka Blancheflor. – Wspomniana dama wytarła nos i spojrzała na Holgera ze strachem, nieco tylko stłumionym fizycznym cierpieniem. Raimberge nerwowo wyginała palce małych dłoni. – Nie mogę uwierzyć w to, co mówisz, panie. Że jedno z nas jest... jest tą bestią... – Przełknęła łzy, była przecież córką rycerza.

– Trop prowadzi tutaj – powiedział Hugi.

– Czy któraś z was była świadkiem wejścia wilkołaka? – spytał Holger. Blancheflor potrząsnęła głową. Raimberge wyjaśniła:

– Przebywaliśmy w oddzielnych pokojach, Gui w swoim, ja w swoim, a nasza matka spała. Drzwi były zamknięte. Ojciec siedział w głównej sali. Gdy usłyszałam hałasy, przybiegłam tutaj, żeby uspokoić matkę.

– A więc to sam Yve musi być wilkołakiem – powiedziała Alianora.

– Nie, nie mój ojciec! – wyszeptała Raimberge. Blancheflor przykryła twarz. Holger obrócił się na pięcie.

– Rozejrzyjmy się jeszcze – powiedział.

Pokój chłopca znajdował się u stóp wieży, na której szczyt prowadziły schody. Był wypełniony typowymi dla jego wieku pamiątkami. Komnata Raimberge leżała naprzeciw, na drugim końcu korytarza. Stała w niej skrzynia z wyprawą panny młodej, kołowrotek i wszystko to, co powinno znajdować się w pokoju dobrze urodzonej panny. Wszystkie trzy tylne pomieszczenia miały okna i Hugi nie mógł zlokalizować zapachu w jakimś jednym miejscu. Powiedział, że unosi się wszędzie.

Wilkołak nawiedzał tę część domu noc po nocy. Nie znaczy to, że ktokolwiek go widział. Mógł wychodzić i wchodzić oknem, gdy wszyscy inni byli pogrążeni we śnie.

– Jedno z trojga – powiedziała Alianora przygnębionym głosem.

– Trojga? – Hugi uniósł brwi. – A czemuż to myślisz, że pani matka nie może być bestią? Przecie zdrowie jej wróci jak tylko zmieni skórę.

– Tak? Nie wiedziałam. Wilkołaki nie są na tyle często spotykane, żebym słyszała co się dzieje, jak któryś zachoruje... A więc czworo. Jedno z nich.

Holger wrócił do głównej sali w ponurym nastroju. Raoul i Odo zaprowadzili już pewien porządek. Ludzie stali pod ścianami, a Papillon przy głównym wejściu. Yve i Gui siedzieli w wysokich krzesłach ze związanymi rękami i nogami. U ich stóp kulił się Frodoart, rozbrojony, ale nietknięty. Kapłan odmawiał modlitwy.

– No i co? – krzyknął Raoul do wchodzących. – Kto z nich nosi klątwę? – Nie wiemy – powiedziała Alianora.

Gui splunął w stronę Holgera.

– Kiedy zobaczyłem cię bez hełmu pomyślałem, że wcale nie wyglądasz na rycerza – powiedział szyderczo. – Teraz, kiedy widzę, jak się wdierasz do bezbronych kobiet wiem już na pewno, że nim nie jesteś.

Za Hugim weszła Raimberge. Podeszła do ojca i pocałowała go w policzek. Omiotła wzrokiem salę i zawołała:

– Jesteście gorsi od zwierząt, napadacie na swego pana! Odo potrząsnął głową.

– Nie, panienko – powiedział. – Pan, który nie dba o swoich ludzi, to żaden pan. Mam w domu małe dzieci. Nie chcę ryzykować, że będą żywcem pożarte.

Raoul uderzył w ścianę końcem włóczni.

– Cicho tam! – warknął. – Wilk musi dzisiaj umrzeć. Wymień jego imię, sir `Olgerze. Jego albo jej. Wymień imię wilka.

– Ja... – Holger poczuł nagłą słabość w nogach. Zwilżył wargi. – Nie mogę powiedzieć – krzyknął Hugi.

– A więc tak. – Raoul obrzucił więźniów ponurym spojrzeniem. – Obawiałem się tego. Czy bestia sama się przyzna? Obiecuję jej litościwą śmierć, srebrnym nożem prosto w serce.

– Wystarczy żelazo, póki jest w ludzkiej postaci – powiedział Odo. – No dalej, mówcie. Nie chciał – bym poddawać was torturom.

Frodoart poruszył się gwałtownie.

– Zanim to zrobisz – powiedział – będziesz musiał zedrzeć moje ręce ze swego gardła. Zignorowali go.

– Jeśli nikt się nie przyzna – powiedział Raoul – to lepiej, żeby umarli wszyscy. Mamy tu kapłana, który ich wypowiada.

Gui zdusił jęk. Raimberge zamarła w śmiertelnym bezruchu. Usłyszeli kaszel Blancheflor, dobiegający z głębi domu.

Yve jakby osłabł, zapadł się w siebie.

– A więc dobrze – powiedział. – To ja jestem wilkołakiem.

– Nie! – wrzasnął Gui. – Ja!

Raimberge jeszcze przez chwilę trwała w bezruchu, potem uśmiechnęła się twardo.

– Obaj szlachetnie kłamią. Jednak to ja jestem prawdziwym odmieńcem, dobrzy ludzie. I nie musicie mnie zabijać, wystarczy pilnować do czasu, aż wyjadę na swój ślub do Vienne. Tak daleko od Faerie będę poza zasięgiem mocy, które zmuszają mnie do przemiany.

– Nie wiercie jej – powiedział Gui. Yve gwałtownie potrząsnął głową. Ochryply okrzyk zza przejścia mógł znaczyć, że również Blancheflor bierze winę na siebie.

– To do niczego nie prowadzi – powiedział Raoul. – Nie możemy ryzykować, że loup – garou ujdzie z życiem. Ojciec Valdabrun, gotuj się do ostatnich modlitw za tę rodzinę.

Holger wyciągnął miecz i zasłonił sobą pojmanych.

– Dopóki ja żyję nikt tu nie będzie zabijał niewinnych! – zabrzmiał mocny głos, który Holger ze zdumieniem rozpoznał jako własny.

Kowal Odo zacisnął pięści.

– Nie chciałbym cię krzywdzić, sir`Olgerze, ale jeśli muszę zrobić to dla dobra moich dzieci, to zrobię.

– Jeśli jesteś Obrońcą – powiedział Raoul – wymień imię naszego wroga. Znowu zapadła martwa, pełna napięcia cisza. Holger czuł trzy pary oczu, palące mu plecy: zgnębionego Yvea, pełnego zapału Gui i Raimberge, która była tak chętna do pomocy. Usłyszał charczenie chorej kobiety. Chryste, który odegnałeś demony, pomóż mi teraz. Dopiero po chwili zorientował się, że po raz pierwszy od dzieciństwa wypowiedział słowa, które były modlitwą.

Jednak sposób, w jaki teraz myślał o tej sytuacji nie miał wiele wspólnego z mistycyzmem – był roboczym, praktycznym podejściem inżyniera. Co prawda nie żywił już tak niezachwianej pewności, jak kiedyś, że wszystkie problemy w życiu były w pełni racjonalne. Jednak ten konkretny na pewno był. Tę zagadkę można było rozwiązać za pomocą racjonalnej analizy, logicznego rozumowania. Nie był detektywem, ale przecieź wilkołak nie był zawodowym przestępcą. W tym wszystkim musi się kryć... Nagle rozwiązanie zabłyśło w nim jak słońce.

– Na Boga, tak! – krzyknął.

– Co? Co? Co? – Nagle wszyscy bardzo się ożywili. Holger machnął mieczem nad głową. Słowa popłynęły z jego ust. Sam nie bardzo wiedział, co za chwilę powie, po prostu głośno myślał, ale ludzie słuchali go w nabożnym skupieniu.

– Ten, którego szukamy jest odmieńcem z racji urodzenia. Nie potrzebuje żadnej magicznej skóry, jak Alianora. Jednak w takim razie ubranie nie może się zmieniać razem z nim, prawda? A więc na swoje polowania wyrusza nagi. Frodoart powiedział mi, na chwilę przed pokazaniem się wilka, że zostawił swego pana w pełnej zbroi, pijącego piwo w tej sali. Samego. Ale nawet z czyjąś pomocą sir Yve w ciągu tych kilku minut nie mógłby rozebrać się ze zbroi, którą na nim widzimy, a potem włożyć ją z powrotem. A więc to nie on jest wilkiem.

– Również Gui rzucił na siebie oskarżenie, ale tylko po to, żeby ratować kogoś innego. Już

wcześniej się zdradził. Powiedział, że widział mnie bez hełmu. Dzisiaj wieczorem zdjąłem hełm tylko na minutę. Wtedy, gdy pytałem o drogę tutaj. Włożyłem go z powrotem w chwili, w której zaczęło się zamieszanie. Wilk nie mógł widzieć mnie z gołą głową. Był – nie, była – była wewnątrz domu. Włamała się tylnymi drzwiami i uciekła przez frontowe okno, zasłonięte okiennicą. Gui mógł mnie zobaczyć bez hełmu tylko ze szczytu wieży nad swoim pokojem. Przyglądałem się jej przez chwilę. Pewnie wszedł na górę, żeby się popatrzeć na zapędzanie zwierząt do miasta. A więc w tym czasie nie było go w miejscu, w którym widzieliśmy wilkołaka.

– Lady Blancheflor... – Zamilkł na chwilę. Jak, do pioruna, ma im wytłumaczyć na czym polegają choroby, powodowane przez drobnoustroje? – Lady Blancheflor była chora. Na tę chorobę nie zapadają psy ani wilki. Jeżeli, przybierając wilczą postać nie odzyskałaby zdrowia, byłaby zbyt słaba, żeby tak szybko i zwinnie się poruszać. Jeżeli zaś zdrowie by jej wróciło, to by znaczyło, że wirus... hmmm... diablik powodujący chorobę nie przeżył w zwierzęcym ciele, a więc nie mógłby nadal gnębić jej ludzkiej postaci. Nie miałyby teraz gorączki i zapchanego nosa, prawda? W każdym jednak przypadku lady Blancheflor trzeba uwolnić od podejrzeń.

Raimberge przyłgnęła plecami do ściany, jakby chciała w nią wniknąć. Jej ojciec, kompletnie załamany, jęknął i wykręcił się w krzesle, próbując sięgnąć ku niej związanymi rękoma.

– Nie, nie, nie – zawodził.

Pospólstwo zaczęło warczeć i wyć, jakby to wśród nich były prawdziwe wilki. Zaczęli podchodzić, najeżony bronią i wyciągniętymi rękami tłum.

Dziewczyna opadła na czworaki. Jak twarz wykręcała się i zmieniała. Straszliwy widok. – Raimberge! – krzyknął Holger. – Nie! Nie pozwolę im...

Raoul dźgnął w nią włócznią. Holger odbił drzewce na bok i przeciął je mieczem.

Raimberge zawyła. Alianora klęknęła przy niej i chwyciła w ramiona na wpół zmienione ciało. – Nie – błagała. – Nie, siostrze, wróć do nas. On cię uratuje, obiecał.

Kły kłapnęły, próbując ją złapać. Alianora wepchnęła przedramię w pysk, naciągając nim wargi na kły, żeby wilk nie mógł gryźć. Siłowała się z nim przez chwilę, aż w końcu go unieruchomiła.

– Dziewczyno, dziewczyno, my chcemy tylko twego dobra.

Holger wziął się za tłum, gdyż zamieszanie zaczęło się na dobre. Musiał powalić pięścią i płazem miecza kilku najbardziej zapalczywych, zanim reszta trochę się uspokoiła. Ciągłe spoglądali spode łba i mruzczyli, ale respekt, jaki poczuli do mężczyzny w kolczudze ostudził nieco ich wojownicze nastroje.

Holger odwrócił się do Raimberge. Wróciła już do ludzkiej postaci i łkając tuliła się do Alianory.

– Ja wcale tego nie chcę. Nie chcę. To mnie nachodzi. I. i tak się bałam, że mnie spalą... Ojciec Valdabrun, czy moja dusza jest potępiona? M – myślę, że już nie ma dla mnie dla ucieczki przed piekłem... Te dzieci tak krzyczały...

Holger wymienił z kapłanem spojrzenia.

– To choroba – powiedział. – To nie z jej woli. Nic na to nie może poradzić. Yve gapił się przed siebie pustym wzrokiem.

– Podejrzywałem, że to może być ona – mruczał. – Kiedy wilk przebiegł obok mnie, a

wiedziałem przecież gdzie jest Blancheflor i gdzie jest Gui... zamknąłem drzwi. Chciałem... myślałem, że jeżeli uda się wytrzymać do czasu jej wyjazdu...

Holger rozprostował ramiona.

– A dlaczego nie? – powiedział. – Według mnie ten pomysł jest zupełnie rozsądny. Jeżeli wywiezie się ją dostatecznie daleko, wpływ mocy Środkowego Świata będzie zbyt mały, żeby wywoływać przemiany. Do tego czasu, oczywiście, będziecie musieli jej dobrze pilnować. Teraz jest jej przykro, ale nie przypuszczam, żeby to potrwało.

– To będzie trwać, gdy wstanie świt i obudzi się jej ludzka dusza – powiedział kapłan. – Wtedy naprawdę będzie potrzebowała pocieszenia.

– Właściwie – ciągnął Holger – nie stało się dotychczas nic poważnego. Jej ojciec może wypłacić odszkodowanie tym, którzy ponieśli jakieś szkody oraz rodzicom zranionych dzieci. Wyślijcie ją do Vienne tak szybko, jak to możliwe. Przypuszczam, że sto mil wystarczy, żeby była zupełnie bezpieczna. A w Imperium nikt nie musi o tym wiedzieć.

Raoul, którego oko zaczęło już sinieć rzucił się do stóp sir Yvea, podczas gdy Odo, pociągając zakrwawionym nosem, walczył z więzami krępującymi rycerza i jego syna.

– Panie, wybacz nam! – powiedział pasterz. Yve uśmiechnął się słabo.

– Obawiam się, że to ja muszę was prosić o wybaczenie. A ciebie przede wszystkim, sir`Olgerze. Raimberge podniosła mokrą od łez twarz.

– Z – z – zabierzcie mnie stąd – wyjąkała. – Czuję, że ciemność znowu wraca. Zamknijcie mnie gdzieś do świtu. – Wyciągnęła ręce ku linom, zdjętym z jej ojca. – Jutro, panie rycerzu, będę ci mogła naprawdę podziękować.... Uratowałeś moją duszę.

Frodoart objął kolana Holgera. – Obrońca powrócił! – zawołał.

– Och, Boże, dajcie spokój z tymi bzdurami – zaprotestował Duńczyk. – To znaczy, nie znoszę łzawych scen, a tutaj przyjechałem tylko po to, żeby wyłudzić trochę jedzenia. Ale czy przedtem mógłbym napić się wina?

Poza tym, że powinni jak najprędzej, zanim Morgan le Fay wymyśli jakieś nowe diabelstwo, uzyskać poradę eksperta, Holger czuł się w Lourville dość skrępowany. Rodzina Yvea była oczywiście bardzo wdzięczna, ale niezbyt potrzebowała dalszego wtrącania się obcych w swoje prywatne sprawy i to w tak trudnym okresie. Mieszkańcy miasta byli druzgocąco serdeczni – Holger nie mógł się ruszyć na krok z domu, żeby natychmiast nie zostać otoczonym przez tłum wielbicieli. Lady Blancheflor ubłagała go, żeby położył na niej ręce i w ciągu kilku godzin była na nogach, zupełnie zdrowa. I tak by wyzdrowiała, kryzys w chorobie już minął, ale Holger oczyma wyobraźni zobaczył, jak musi się zajmować każdym przypadkiem reumatyzmu i czyraków w promieniu dziesięciu mil.

I tak, w równej mierze z jednej, jak i z drugiej przyczyny, zostali tylko jeden dzień i następnym świtem wyruszyli w dalszą drogę. Sir Yve nalegał, żeby Alianora przyjęła wierzchowca, co zrobiła z dużym zadowoleniem. Z jeszcze większym zadowoleniem przyjęłoby trochę pieniędzy, ale oczywiście żaden szanujący się rycerz nie poruszyłby tak pospolitego tematu.

Kilka następnych dni upłynęło bardzo przyjemnie. Jechali przez wzgórza, doliny i lasy, szukając schronienia, gdy padało, zatrzymując się nad rzekami i jeziorami, żeby łowić ryby i pływać. Od czasu do czasu dostrzegali białą sylwetkę leśnej nimfy albo gryfona, płonącego złotem wysoko na niebie, ale mieszkańcy Środkowego Świata zostawiali ich w spokoju.

Jedynie Alianora, mimo że miła i wesoła, miała pewne minusy jako towarzysz podróży. Zdolność jej łabędziej tuniki do samoodnawiania się i samoczyszczenia zbijała Holgera z tropu – nie mógł się uwolnić od wrażenia, że jest to jej prawdziwa skóra. Poza tym Alianora miała zwyczaj niefrasobliwego zrzucania jej przy każdym kawałku wody, który nadawał się do pływania, co zbijało go z tropu w stopniu dużo większym. Od czasu do czasu pojawiali się jej leśni przyjaciele. Wiewiórka z prezentami z owoców była jeszcze do zniesienia, ale gdy do obozowiska wszedł lew i położył u stóp Alianory świeżo upolowanego jelenia, nerwy Holgera przez następne pół godziny pozostawały napięte jak struny. Jeszcze gorsza była moralna powinność, która zmusiła go do szczerego opowiedzenia jej wszystkiego o sobie, swoim pochodzeniu i zamiarach. Nie chodziło o to, że nie rozumiała, ale...

Jednak prawdziwy kłopot wiązał się z jej stosunkiem do niego. Do diabła, przecież wcale nie miał zamiaru się z nią wiązać. Figle na sianku z kimś takim jak Meriven albo Morgan to jedno, ale Alianora to zupełnie coś innego. W sytuacji, w której on miał zamiar powrócić do swego świata przy pierwszej nadarzającej się okazji, romans między nimi nie byłby dobry dla żadnej ze stron. Holger chciał pozostać gentlemanem, ale ona w najmniejszym nawet stopniu mu tego nie ułatwiała. Z trwożliwą, patetyczną nadzieją parła do romansu.

Pewnego wieczora Holger odciągnął Hugiego na bok. Spędził właśnie godzinę ucałowując Alianorę na dobranoc. Potrzebował całej siły woli, żeby na tym poprzestać i zmusić ją do spokojnego ułożenia się do snu.

– Hugi – powiedział – wiesz chyba, co się dzieje ze mną i Alianorą.

– Ano, mam przecie oczy – krasnolud wyszczerzył – zęby w uśmiechu. – I dobrze się dzieje. Ona za długo żyła mając za przyjaciół jeno leśnego zwierza i mój lud.

– Ale... przecież ostrzegłeś mnie, żebym się zachowywał wobec niej przyzwoicie.

– Wtedy cię jeszcze nie znał. Teraz myślę sobie, że, dobrze się dla niej nadajesz. A dziewczę potrzeba chłopca. Ty i ona moglibyście panować nam w lasach. Radziłybyśmy wam byli.

– No tak, nie ma z ciebie żadnej pomocy.

– Byłem ci pomocny jakem mógł – powiedział Hugi urażonym tonem. – Nie wiesz nawet, ile razy twarz w drugą stronę odwracałem, albo do lasu szedłem, żebyście sami zostali.

– Ale to nie... Och, nieważne.

Holger zapalił fajkę i zapatrzył się ponuro w ognisko. Nie był żadnym Don Juanem. Nie mógł zrozumieć, dlaczego w tym świecie kobiety jedna po drugiej rzucały mu się w ramiona. Meriven i Morgan miały dość przyziemne motywy, ale nie był na tyle tępym, żeby nie zauważyć z jaką przyjemnością wykonywały swoje obowiązki. A Alianora najzwyczajniej w świecie się w nim zakochała. Dlaczego? Nie miał żadnych złudzeń co do swej atrakcyjności.

Ale oczywiście ten człowiek, który stanowił jego tutejsze alter ego mógł być zupełnie inny. Mógł sobie wyobrazić, że dokonujący się w nim teraz, powolny powrót do zapomnianych zwyczajów przejawiał się w tysiącach nieuchwytnych drobiazgów, które zmieniały jego obraz, sposób, w jaki był odbierany przez innych. Więc jaki on był, ten rycerz, noszący w herbie serca i lwy?

Zastanówmy się. Spróbujmy sobie wyobrazić na podstawie tego, co się dotychczas wydarzyło. Najwyraźniej był potężnym wojownikiem, a to najbardziej się w tym świecie liczyło. Porywczy, ale dość pogodny awanturnik, niezbyt bystry, jednak dający się lubić. Zapewne trochę idealista: Morgan mówiła, że bronił Ładu, nawet jeśli mógł zyskać dużo więcej opowiadając się po stronie Chaosu. Musiał mieć jakiś sposób na kobiety, gdyż inaczej taka twarda i inteligentna osoba jak ona raczej nie zabrałaby go ze sobą na Avalon. I.. i... to już chyba wszystko, co potrafił wydedukować. A może, co pamiętał?

Nie, chwileczkę, Avalon. Holger spojrzał na swoją prawą dłoń. Ta sama dłoń spoczywała na balustradzie z zielonego malachitu, której szczytowa powierzchnia wyłożona była wzorami ze srebra i rubinów. Pamiętał, że promienie słońca padały na wierzch tej dłoni, zmieniając włosy w złote druciki, wyraźne na tle brązowej skóry, i że srebro, gdy je dotykał, było cieplejsze niż kamień, i że rubiny płonęły krwawo. Balustrada stała na szczycie urwiska, pionowej skały, która była ze szkła. Patrząc z góry, widział jak światło łamie się w grotach na milion tęczyowych okruchów i jak wraca na zewnątrz – gorące iskry czerwieni, złota, fioletu. Morze w dole było ciemne, niemal purpurowe, z pianą o zadziwiającej bieli w miejscach, w których skały przecinały wodę... gdyż Avalon nigdy nie stał w miejscu, pływał po zachodnim oceanie, otulony mgłą swej własnej magii...

Niczego więcej nie mógł sobie przypomnieć. Westchnął głęboko i ułożył się do snu.

Po kilku dniach, może tygodniu – Holger stracił dokładną rachubę – wyszli z dziczy i znaleźli się na obszarze, na którym las został niemal doszczętnie wycięty, przypominając o sobie jedynie rozrzuconymi tu i ówdzie zagajnikami. Łany żyta i pszenicy falowały na zboczach wzgórz, kudłate, małe koniki, krowy i owce pasły na ogrodzonych łąkach. Chłopskie domy, w tym regionie budowane głównie ze zbitej gliny, stawały się coraz liczniejsze, łącząc się w przycupnięte wśród pól osady. Od czasu do czasu mijali chronione palisadą, drewniane zamki. Bardziej nowoczesne, kamienne, budowano dalej na zachodzie, na ziemiach będących pod pełnym władaniem Imperium. Góry, które przebyli i mur ciemności Faerie już dawno zniknęły im z oczu. Jednak na północy Holger zauważył

niewyraźną, błękitną linię znacznie potężniejszego łańcucha. Trzy najwyższe szczyty jakby unosiły się w powietrzu, blade i odcięte od swych podstaw. Hugi powiedział, że za tymi górami również leżała część Środkowego Świata. Nic więc dziwnego, że tutejsi mężczyźni zawsze chodzili uzbrojeni, nawet w pole. Nic również dziwnego, że wymyślna, hierarchiczna struktura Imperium została tu odrzucona na rzecz stosunków nie obciążonych nadmiernymi formalnościami. Rycerze, u których nocowali przez dwie kolejne noce byli niepiśmienni, twardzi i prostacy, jednak nastawieni dość przyjaźnie i żądni wszelkich nowinek.

Trzeciego dnia podróży przez tę rolniczą krainę, wraz z zachodem słońca, wjechali do Tarnberg, które, według słów Alianory, było w całej wschodniej połowie księstwa miejscem najbardziej podobnym do miasta. Ale miejscowy zamek ział pustką. Baron wraz z synami padli w bitwie z pogańskimi najeźdźcami z północy, jego żona wyjechała na zachód do krewnych z Imperium, a nie zjawiał się jeszcze żaden ich spadkobierca. Była to część ogólnego pecha z ostatnich kilku lat, wyniku promieniowania Chaosu podczas mobilizacji sił Środkowego Świata. Mieszkańcy Tarnberg utrzymywali swoje własne warty na drewnianych umocnieniach i zarządzili się przy pomocy zaimprovizowanej rady miejskiej.

Po minięciu bramy Holger zobaczył wybrukowaną ulicę, po której hasały dzieci, psy i świnie, wijącą się między na wpół drewnianymi domami ku rynkowi z kościołem pośrodku. Papillon przepchnął się przez hałaśliwą gromadę kobiet i wyrobników, którzy gapili się na Holgera, pochylali w niezdarnych ukłonach, ale nie odważyli się odezwać. Reklamowanie własnej osoby nie miało żadnego sensu, więc Holger naciągnął pokrowiec na tarczę. Alianora, która wraz z Hugim jechała przodem, była tu dobrze znana i Holger słyszał jak ludzie do niej wołali:

– Hej, łabądziewo; co nam teraz przynosisz? – Co to za rycerz?

– Co nowego w lasach, panienko?

– Jakież wiadomości z Charlemont? Widziałaś mego kuzyna Hersenta?

– Wiesz coś o gromadzeniu się zastępów w Faerie? – niespokojny głos, ludzie, którzy słyszeli to pytanie żegnali się ze strachem.

– Czy to nowy pan, który ma nas bronić?

Dziewczyna uśmiechała się, machała ręką, ale bez specjalnego zapału. Nie lubiła tylu ludzi i murów wokół siebie. Poprowadziła Holgera ku domowi węższemu nawet i bardziej krzywemu niż miejska przeciętna. Ponad drzwiami, z galeryjki, zwisał szyld. Holger przeczytał kwiecistą inskrypcję:

MARTINUS TRISMEGISTUS

Magister Magici

Zaklęcia, Czary, Przepowiednie, Uzdrawianie, Napoje Miłosne Błogosławieństwa, Klątwy, Sakiewki – zawsze – pełne Specjalne zniżki przy większych zamówieniach

– Hm – powiedział. – Wygląda na gościa z inicjatywą.

– Och, na pewno – odpowiedziała Alianora. – Jest również miejskim aptekarzem, dentystą, różdżkarzem, skrybą i weterynarzem.

Zeskoczyła zręcznie na ziemię, błysnąwszy długimi, gołymi nogami. Holger poszedł za jej przykładem, potem przywiązał wodze Papillona do słupa przed wejściem. Kilku podejrzanie

wyglądających typów przeszło drugą stroną ulicy, uważnie przyglądając się koniom i ekwipunkowi.

– Miej oko na wszystko, Hugi – powiedział Holger.

– Po co, już mogę płakać nad głupkiem, co skraść Papillona umyśli – odpowiedział krasnolud. – Tak, tego właśnie się obawiam.

Miał wątpliwości czy powinien powierzyć swoją tajemnicę temu czarownikowi od mydła i powidła.

Ale Alianora bardzo go chwaliła, a poza tym nie bardzo wiedział do kogo zamiast niego miałby się zwrócić.

Gdy otworzyli drzwi, rozległ się czysty głos dzwonka. Sklep był ciemny i zakurzony. Półki i stoły były zavalone stertami butelek, pojemników, moździerzy, alembików, retort, wielkich, oprawnych w skórę ksiąg, czaszek, wypchanych zwierząt i Bóg jedyny wiedział czego jeszcze. Sowa zahukała ze swej grzędy, spod ich nóg wyskoczył kot.

– Idę, idę, zacny panie, małą chwileczkę, proszę – zawołał wysoki, cienki głos. Mistrz Martinus wydreptał z zaplecza zacierając ręce. Był małym człowieczkiem, ubranym w sfatygowaną, czarną szatę z symbolami zodiakalnymi, mocno wyblakłymi od wielokrotnego prania. Miał zupełnie łysą, okrągłą głowę z jakby przyklejoną, rzadką bródką. Oczy krótkowidza mrugały bez przerwy, usta uśmiechały się nieśmiało.

– Och, witaj panie, witaj. Jak zdrowie? – Przyjrząwszy się bliżej: – Przecież to mała labądziewa. Wejdz proszę, moja droga, wejdz. Ale oczywiście ty już weszłaś, prawda? Tak, tak, oczywiście już weszłaś.

– Mamy dla ciebie zadanie, Martinusie – powiedziała Alianora. – Może być uciążliwe, ale nie mamy już nikogo, kto mógłby pomóc.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze, zrobię, co tylko w mojej mocy, moja droga, i ty też, szlachetny panie. Zrobię, co tylko będę mógł. Przepraszam. – Martinus wytarł kurz z wiszącego na ścianie pergaminu, co było jednym ze sposobów zwrócenia nań uwagi Holgera. Napis na nim oznajmiał, że Martinus filius Holofi sprostął wszelkim zadaniom przez radę egzaminatorów postawionym, etc., etc., przeto mocą powierzonego mi z łaski Regentów Uniwersytetu w Rhiannon urzędu niniejszym nadaję mu tytuł Magistra w zakresie Nauk Magicznych, wraz z wszelkimi przywilejami i obligacjami tytułowi temu przynależnymi, etc., etc.

– Obawiam się, że nie mogę... – Holger chciał właśnie wyjaśnić, że nie ma żadnych pieniędzy, ale Alianora wbiła mu łokieć w żebra.

– Straszne sekrety wiążą się z tą sprawą – powiedziała prędko – i żaden zwykły czarownik by jej nie podolał, więc przyprowadziłam tego rycerza od razu do ciebie.

Obdarzyła przy tym magika takim uśmiechem, że nawet Holger, który był o krok od pójścia sobie z tego miejsca, poczuł się zupełnie zniewolony.

– I bardzo mądrze zrobiłaś, dziewczyno, bardzo mądrze, jeśli mogę tak powiedzieć. Przejdźcie, proszę, do mego biura i tam wszystko omówimy.

Martinus podreptał przed nimi do pokoiku równie brudnego i zaśmieconego jak sklep. Zgarnął książki z krzeseł, mrużąc jakieś przeprosiny za swego służącego, potem zapiszczał głośniej:

– Wina! Przynies wina dla trojga. Po chwili ciszy:

– Hej, ty tam! Obudź się, mówię! Wina dla trzech osób.

Holger usiadł na jednym z krzeseł, które ostrzegawczo zatrzeszczało pod jego ciężarem. Alianora przysiadła na brzegu następnego, strzelając wokół oczyma jak ptak w matni. Martinus znalazł trzecie siedzisko, skrzyżował nogi, złączył dłonie czubkami palców i spytał:

– A więc, panie, jaki masz problem?

– No cóż, hmm... – odpowiedział Holger. – To wszystko zaczęło się, gdy... och, do diabła, właściwie nie bardzo wiem od czego zacząć.

– Może chcesz położyć się na sofie? – spytał Martinus troskliwie.

Butelka i trzy zakurzone puchary wpłynęły do pokoju i wylądowały na stole.

– Nareszcie – wyburczał czarownik. Po chwili, gdy niewidzialny służący prawdopodobnie już się oddalił, ciągnął – Mówię wam, w dzisiejszych czasach nie sposób zapewnić sobie uczciwą pomoc. Nie sposób. Na przykład ten tam duch, on jest zupełnie niemożliwy. A przynajmniej nieprawdopodobny – ocenił. – Inaczej bywało kiedyś, gdy bytem chłopcem. Wtedy ich rodzaj znał swoje miejsce. A co do ziół, i mumii, i sproszkowanych żab, no cóż, naprawdę nie dają dziś takiego towaru jaki bywał niegdyś. A te ceny! Mój drogi panie, nie uwierzysz, ale ostatnio Michaelmas...

Alianora kaszlnęła.

– Och, wybaczcie mi – powiedział Martinus. – Rozgadałem się. Brzydki zwyczaj, gadatliwość. Muszę sobie zapisać, żeby nie gadać. – Napełnił i podał im puchary. Wino było znośne. – Mów dalej, dobry panie, błagam cię. Powiedz wszystko.

Holger westchnął i zaczął swoją opowieść. Martinus zaskoczył go pytaniami i komentarzami równie przenikliwymi jak te, które przedtem słyszał od księcia Alfrika. Gdy Holger opowiadał o swoim pobycie u Matki Gerdy, czarownik potrząsnął głową.

– Znam ją – powiedział. – Niezbyt przyjemna postać. Nic dziwnego, że wpadłeś w tarapaty. Zabawia się czarną magią. To przez takich nielicencjonowanych partaczy cała nasza profesja traci dobre imię. Ale mów dalej, panie.

Gdy Holger skończył, Martinus zmarszczył czoło.

– Dziwna historia – powiedział. – Tak, myślę, że twoje przypuszczenie jest słuszne. Jesteś w samym centrum jakiejś naprawdę poważnej sprawy.

Holger z drzeniem pochylił się ku niemu.

– Kim ja jestem? Kto nosi w herbie trzy serca i trzy lwy?

– Obawiam się, że nie wiem, sir Holgerze. Podejrzewam, że jesteś, albo byłeś jakąś ważną postacią w krajach, leżących na zachodzie, we Francji na przykład. Czy znana ci jest mistyczna geografia? No więc, świat Ładu – człowieka – otoczony jest ze wszystkich stron domenami Chaosu, jest jak wyspa na morzu Środkowego Świata. Na północy mieszkają olbrzymi, na południu smoki. Tu w Tarnberg jesteśmy blisko wschodniej granicy obszarów zamieszkałych przez człowieka i trochę wiemy o takich królestwach jak Faerie i Trollheim. Ale wieści podróżują powoli, po drodze gubią się i zmieniają. Tak więc do nas docierają tylko niejasne, poprzekęcane pogłoski o krajach zachodu – nie tylko o domenach Środkowego Świata na zachodnim oceanie, jak Avalon, Lyonesse i Huy Braseal, ale nawet o państwach ludzi, takich jak Francja czy Hiszpania. I dlatego nie potrafię zidentyfikować tego rycerza serc i lwów, który w jakiś sposób wydaje się być tobą samym, mimo że

w tamtych stronach może on należeć do znanego rodu. Nie sądzę też, żeby w moich księgach znalazły się jakieś informacje w tej materii, chociaż, prawdę powiedziawszy, naprawdę muszę w najbliższym czasie skatalogować moją bibliotekę. Jednak myślę, że w ogólnych zarysach – stał się bardziej poważny i jakby stracił część roztargnienia – potrafię sobie wyobrazić, co się stało. Ten rycerz z zachodu był dla Chaosu zbyt poważnym przeciwnikiem, żeby mogli mu stawić czoła. Prawdopodobnie był jednym z Wybranych, jak Karol, Artur czy najwięksi z ich paladynów. Nie mam na myśli świętego, ale wojownika, którego Bóg obdarował ponad przeciętność i na którego barki złożył potem ponadprzeciętny ciężar. Rycerze Okrągłego Stołu i dworu Karola już od dawna nie żyją, ale ich miejsce mógł zająć inny heros. I tak Chaos, zanim może mieć nadzieje na nowe podboje, musi tego człowieka usunąć ze swej drogi. Mogła to zrobić Morgan, grzebiąc w nim wspomnienia o przeszłym życiu i to tak głęboko, że żadne zwykłe zaklęcie nie może ich wydobyć. Potem zmieniła go w dziecko i wysyłała do jakiegoś innego świata w nadziei, że nie powróci do czasu ostatecznego zwycięstwa Chaosu. Nie potrafię powiedzieć dlaczego po prostu go nie zamordowała. Być może nie chciała, A może, będąc jednym z Wybranych, był chroniony przez moc większą niż ta, którą ona włada. W każdym razie przypuszczam, że w chwili, która wydaje się przełomowa został tu sprowadzony z powrotem. Bezpośrednia boska interwencja jest raczej mało prawdopodobna. Z całym dla ciebie szacunkiem, panie, nie wydaje mi się, abyś znajdował się w stanie łaski, a z pewnością ciągle działa zaklęcie, położone na twój mózg. Nie, sądzę raczej, że Morgan po prostu nie zdaje sobie sprawy z tej jedności wszelkiego stworzenia, na temat której snułeś teorie. W chwili największej potrzeby heros m u s i a ł powrócić. A teraz Środkowy Świat przywołuje wszelkie swoje umiejętności i siły, żeby mu uniemożliwić działanie. Jemu, albo tobie, bo chyba tak właśnie sprawy się mają.

– To oczywiście tylko spekulacje, mój drogi panie, czysta teoria – zakończył Martinus łżejszym tonem. – Ale pochlebiam sobie, że pasuje do wszystkich znanych faktów.

Holger zgarbił się. Co za dziwaczna sytuacja. Wcale nie podobała mu się rola figury na szachownicy.

Nie, to nie to. Był przecież wolny. Zbyt wolny. Ucieleśniał siłę, o której nic nie wiedział i z którą nie mógł sobie poradzić. Och, do wszystkich diabłów! Dlaczego musiało się to przytrafić właśnie jemu?

– Możesz mnie wysłać z powrotem? – zapytał z napięciem.

Alianora wciągnęła szybko powietrze i odwróciła głowę. Wiedziała, że chce wrócić, pomyślał Holger czując niepokój sumienia, ale ignorowała to, żyła jakby we śnie, aż do tej chwili.

Martinus potrząsnął głową.

– Nie, panie. Obawiam, że jest to zadanie ponad moje siły. Zapewne zbyt wielkie dla kogokolwiek, śmiertelnego czy mieszkańca Środkowego Świata. Jeżeli moje domysły są słuszne, nie tylko zostałeś wplątany w zmagania Ładu z Chaosem, ale jesteś tych zmaganiń nieodrodną częścią.

Westchnął. – Być może kiedyś – mówił dalej – gdy byłem młody, wesoły i arogancki, próbowałbym pozyskać twoją wdzięczność. W tamtych czasach porwałbym się na wszystko. Nie masz pojęcia, jakie mogą być studenckie kawały, jeżeli nie widziałeś wydziału magii jakiejś uczelni... Od tamtej jednak pory poznałem swoje ograniczenia. Obawiam się, że nie mogę ci służyć wielką pomocą, a i radą niezbyt cenną.

– Co w takim razie powinienem robić? – spytał Holger bezradnie. – Dokąd mam iść?

– Nie wiem. Jest jednak... jest ten artefakt, miecz Cortana, wykuty z tej samej stali co Joyeuse, Durendal, Excalibur. Jest również opowieść, która mówi, że święty człowiek, prawdziwy święty, położył na nim swe błogosławieństwo – w rękach prawowitego właściciela Cortana będzie strzegł chrześcijaństwa wtedy, gdy wraz ze swymi panami odejdą pozostałe wielkie miecze. Jednak później, mówi opowieść, miecz został ukradziony przez poddanych... Morgan le Fay? Nie byli w stanie go zniszczyć, ale z pomocą pogan, którzy mogli nie zważać na jego świętą aurę, gdzieś go ukryli, żeby nie był użyty przeciwko nim.

– Powiniennem więc próbować go znaleźć?

– To niebezpieczne zadanie, młody człowieku. Jednak nie widzę niczego poza tym mieczem, co mogłoby na dłuższą metę ochronić cię przed nieprzyjaciółmi. Wiesz co? – Martinus klepnął Holgera w kolano. – Powiem ci, co zrobię. Użyję mojej mocy, a niektórzy twierdzą, że nie jest ona wcale taka nieznaczną, żeby się dowiedzieć kim ty jesteś i gdzie miecz jest ukryty. Jego aura powinna być zauważalna dla tych duchów powietrza, które mogę przywołać. Tak, to wygląda na najlepsze rozwiązanie.

– Jestem ci wdzięczna bardziej, niż potrafię wyrazić – powiedziała Alianora. Perspektywa niebezpieczeństwa zdawała się wcale jej nie niepokoić, ważniejsze było to, że Holger nie zostanie jej zdmuchnięty sprzed nosa w ciągu najbliższych kilku minut.

– Obawiam się, że nie dysponuję pokojami gościnnymi – powiedział Martinus – ale w mieście jest zajazd, w którym możecie się zatrzymać. Powiedzcie właścicielowi, że ja was przysyłam i... hmm, nie zapomniałem o tym jego rachunku. W każdym razie wróćcie tu jutro... Ach, tak. Chciałbyś może ukryć się przed tym Saracenenem? Mam bardzo dobre przebrania, po umiarkowanych cenach.

– Saracenenem? – zdziwił się Holger.

– Co? Nie mówiłem ci? No proszę, znowu czegoś zapomniałem. Staję się roztargniony. Muszę zapisać, żeby przy najbliższej okazji rzucić czar wzmacniający pamięć. No więc, to ten Saracenen, który cię szuka. Również jest w mieście.

Przeszukanie ksiąg utwierdziło Martinusa w przekonaniu, że nie posiada zaklęć dostatecznie potężnych, żeby zdjąć zasłonę z pamięci Holgera. Ale za pomocą kilku gestów i klębów śmierdzącego dymu zaopatrzył Duńczyka w nową twarz. Lustró pokazało Holgerowi, że jego oblicze stało się ciemne i wyglądało teraz dość podejrzanie, włosy i krótka, żółta broda, którą wyhodował były czarne, oczy brązowe. Alianora westchnęła.

– Przedtem bardziej mi się podobałeś – stwierdziła.

– Gdy będziesz chciał odzyskać swój naturalny wygląd, zawołaj "Belgor Melanchos" i przebranie zniknie – powiedział Martinus. – Do tego jednak czasu nie podchodź zbyt blisko do żadnej rzeczy świętej lub poświęconej. Miecz Cortana, na przykład, także rozproszy to zaklęcie. Nie chodzi o to, że grzech, wiążący się z użyciem tego konkretnego czaru jest szczególnie ciężki, ale są w nim pewne pogańskie elementy i wpływ rzeczy świętych... Tak czy inaczej, trzymaj się od nich z daleka.

– Dobrze by było, gdybyś zajął się również moim koniem – powiedział Holger. – On też dość rzuca się w oczy.

– Ależ mój panie! – zaperzył się Martinus.

– Proszę – zamruczała Alianora i zatrzepotała do czarownika rzęsami.

– No już dobrze, dobrze. Wprowadźcie go. Ale żeby się przyzwoicie zachowywał.

Papiłlon niemal wypełnił sobą sklep. Z powrotem na zewnątrz wyszedł jako duży kasztanek. Skoro już byli przy tym, Martinus zmienił także tarczę Holgera. Duńczykowi, zapytanemu jaki nowy herb sobie życzy, nie przychodziło do głowy nic poza "Ivanhoe", dostał więc wyrwane drzewo. On sam, ponieważ był jednym z przedmiotów tych zmian, mógł je dostrzec tylko w lustrze.

– Przyjdźcie do mnie jutro, to wam powiem czego się dowiedziałem – powiedział czarownik. – Ale nie przed południem, pamiętajcie. Wam, z lasów, wydaje się, że poranek to pełnia dnia.

Po drodze do zajazdu przejeżdżali obok kościoła. Holger wstrzymał konia. Odczuł potrzebę modlitwy. Nie odważył się jednak, nosząc magiczne przebranie. Następna cecha nieznanego rycerza? Zapewne był, na swój sposób, pobożny. Ciężko było wędrować w ciemność, nie przystąpiwszy przedtem do Komunii Świętej... Ruszył dalej kłusem.

Zapadła już noc i resztę drogi do gospody odbyli ulicami zupełnie ciemnymi, niemal po omacku. Gdy już dotarli na miejsce, na spotkanie wyszedł im pulchny, szeroko uśmiechnięty mężczyzna.

– Potrzebujecie noclegu. Tak, panie, mam wspaniały pokój, w którym sypiały koronowane głowy. Mam nadzieję, że nie musiały się przy tym wiercić z powodu wszy i innego robactwa, pomyślał Holger. – Potrzebne nam dwa pokoje – powiedział.

– Och, ja tam mogę spać w stajni. – Hugi spojrzał na niego z ukosa. – I tak potrzebujemy dwóch pokoiów.

Gdy zsiadli z koni, Alianora podeszła do niego bardzo blisko. Poczł delikatny, słoneczny zapach jej włosów.

– Dlaczego? – szepnęła. – Sypialiśmy przecież obok siebie przy ogniskach: – Tak – mruknął. –

Ale teraz ja już sobie nie ufam.

Klasnęła w dłonie. – To bardzo dobrze!

– Ja... Do diabła! Powiedziałem! Dwa pokoje!

Właściciel wzruszył ramionami. Gdy myślał, że już nikt na niego nie patrzy, postukał się palcem w czoło.

Pomieszczenia, do których ich zaprowadził były małe i za całe umeblowanie miały tylko łóżka, ale wydawały się dość czyste. Holger zastanawiał się w jaki sposób za nie zapłaci. Dotychczas miał głowę zbyt zaprzątniętą innymi sprawami, żeby pamiętać, że jest bez grosza. Alianora natomiast, dziecko lasów, mogła w ogóle tego aspektu ich sytuacji nie brać pod uwagę. Następna sprawa – wiadomość o ich dzisiejszym przybyciu do miasta niebawem dotrze tutaj do każdego. Ktoś z pewnością się domyśli, że rycerz o ciemnej skórze przedtem był blondynem, a nową twarz otrzymał od Martinusa. Nie jest nieprawdopodobne, że ta plotka dotrze do uszu Saracena. No cóż, musi brnąć dalej, skoro dotarł aż tutaj.

Zdjął zbroję i ubrał się w swoją najlepszą tunikę i pończochy, ale miecz zabrał ze sobą. Gdy wyszedł z pokoju, natknął się na Alianorę. Był zadowolony, że korytarz był zbyt ciemny, żeby mogła zobaczyć wyraz jego twarzy.

– Idziemy coś zjeść? – spytał niepewnie.

– Tak. – Jej głos był jakby trochę zduszony. Niespodziewanie ujęła obie jego dłonie. – Holger, co ci się we mnie tak nie podoba?

– Nic – odpowiedział. – Bardzo cię lubię.

– Może to, że jestem łabądziewą, dziką i niechrzczoną? Mogę to zmienić. Mogę się nauczyć jak być damą.

– Ja... Alianoro... Wiesz przecież, że muszę wracać do domu. Bez względu na to, co mówią inni, w tym świecie nie ma dla mnie miejsca. Więc kiedyś będę musiał cię opuścić. Na zawsze. Byłoby trudno nam obojgu, gdyby... gdybym twoje serce zabrał ze sobą, a swoje zostawił przy tobie.

– A jeśli nie będziesz mógł wrócić? – szepnęła. – Jeśli będziesz musiał zostać tutaj? – To będzie zupełnie inna historia.

– Mam szczerą nadzieję, że ci się nie uda! Ale mimo to ze wszystkich sił będę ci pomagała wrócić, bo tego sobie życzysz. – Odwróciła się od niego, zobaczył, niewyraźnie w ciemności, jak opuściła głowę. Och, życie wcale nie jest przyjemne.

Wziął ją za rękę i razem zeszli ze schodów.

Główna sala gospody była niska i długa, oświetlona świecami i ogniem, płonącym na wielkim kominku. Gospodarz ustawiał na stole nakrycie tylko dla jednego, poza Holgerem i Alianorą, gościa. Gdy weszli, ten mężczyzna poderwał się z ławy z okrzykiem "Oh...". Urwał, gdy Holger znalazł się w pełniejszym świetle.

– Pomyliłem się, szlachetny panie – uklonił się. – Wziąłem cię za tego, którego szukam. Wybaczcie mi proszę, panie i ty, pani.

Holger przyjrzał mu się. Najwyraźniej był to Saracen. Średniego wzrostu, szczupły i gibki, bardzo elegancki w białej, powiewnej szacie, luźnych spodniach i czerwonych trzewikach z

zawiniętymi nosami. U owiniętego szarfą pasa wisiał bułat. Twarz pod turbanem ze szmaragdową broszą i kitą ze strusich piór była ciemna i wąska, o orlim nosie, z czarną, ostrą bródką i złotymi kolczykami w uszach. Poruszał się z kocią zręcznością, jego głos był spokojny i kulturalny, ale Holger czuł, że w walce byłby to straszliwy przeciwnik.

– Z chęcią wybaczymy – powiedział Duńczyk, starając się być uprzejmy. – Czy mogę przedstawić panią Alianorę de la Foret? Ja jestem, ummm, sir Rupert z Graustark.

– Obawiam się, że nigdy nie słyszałem o twych dobrach, panie, ale pochodzę z dalekiego południa i zachodu i tutejsze strony są mi zupełnie obce. Sir Carahue, niegdyś król Mauretanii, do twych usług. Saracen skłonił się niemal do ziemi. – Zechcecie zjeść ze mną posiłek? Będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością, jeśli...

– Bardzo dziękujemy, łaskawy rycerzu – odpowiedział Holger natychmiast. Poczłł niemała ulgę, że ktoś inny wziął na siebie uregulowanie rachunku.

Usiedli. Carahue był nieco zdumiony niekonwencjonalnym strojem Alianory, ale taktownie odwracał wzrok. Zażądał od właściciela, żeby ten przyniósł mu próbki swoich win, upił łyczek z każdej, skrzywił się i do każdego dania wybrał najbardziej odpowiedni gatunek. Holger nie mógł się powstrzymać od uwagi:

– Myślałem, że twoja religia, panie, zabrania używania mocnych trunków.

– Ach, bierzesz mnie za kogoś innego, sir Rupercie. Jestem chrześcijaninem, jak i ty. To prawda, kiedyś walczyłem za pogan, ale rycerz, który mnie pokonał, prawy i szlachetny, zdobył mnie także dla prawdziwej Wiary. Jednak nawet gdybym w dalszym ciągu był wyznawcą Mahometa, nie ośmieliłbym się być tak nieuprzejmy, żeby nie wypić zdrowia twojej pani, najpiękniejszej z dam.

Kolacja upłynęła w przyjaznej atmosferze, na rozmowie o błahostkach. Potem Alianora ziewnęła i poszła na górę spać. Holger i Carahue byli ciągle w dobrej formie i zabrali się za bardziej poważne picie. Na początku Duńczyk próbował się wymawiać, nie lubił po prostu, żeby mu stawiano każdą kolejkę. Ale Saracen nalegał.

– Sprawia mi przyjemność przebywanie w towarzystwie ludzi, którzy potrafią równie sprawnie złożyć sekstynę, jak i łamać lance – stwierdził – a tacy rzadko trafiają się na tym dzikim pograniczu. Proszę, pozwól mi wyrazić moją wdzięczność.

– Na pewno nie jest to najlepsze miejsce na włóczęgę – powiedział Holger. I dodał, sondując – Ciebie, panie, musiała tu przysnąć jakaś wielka potrzeba.

– Tak, szukam pewnego człowieka. – Oczy Carahue spoglądały przenikliwie nad brzegiem pucharu. – Może coś o nim słyszałeś? Wysoki i potężny jak ty, tylko jasnowłosy. Najprawdopodobniej dosiada czarnego ogiera, a w herbie nosi albo orła, czerń na srebrze, albo trzy serca i trzy lwy, czerwien naprzemiennie ze złotem.

– Hmmmm. – Holger pogładził policzek, usilnie starając się wyglądać na zupełnie spokojnego. Zdaje się, że coś słyszałem, ale nie bardzo mogę sobie przypomnieć co. Jakie imię wymieniłeś, panie?

– Nie wymieniłem żadnego – odpowiedział Carahue. – A jakie ono jest, takie jest, jeśli mi wybaczysz tajemniczość. Prawda jest taka, że ma on wielu potężnych wrogów, którzy szybko by się na niego rzucili, gdyby usłyszeli gdzie przebywa.

– Więc jesteś jego przyjacielem, panie?

– Może lepiej będzie – odpowiedział Carahue uprzejmie – jeśli moje motywy również pozostaną ukryte. Nie znaczy to, że ci nie ufam, sir Rupercie, ale wszędzie się można spodziewać uszu, nie zawsze ludzkich. A ja jestem obcy, nie tylko w tej części świata, ale w ogóle w tym czasie.

– Co?

Carahue, mówiąc, przyglądał się Holgerowi uważnie, jakby chciał wychwycić każdą, najdrobniejszą jego reakcję.

– To przynajmniej mogę ci wyjaśnić. Znałem kiedyś tego człowieka i poszukiwałem go już stulecia temu. Ale on zniknął w nieznanym mi stronach. Dowiedziałem się później, że kiedyś wrócił, w chwili, gdy le beau pays de France była w niebezpieczeństwie. Wygnał pogańskich najeźdźców, a potem znowu zniknął. Stało się to, gdy mnie już tu nie było. Szukając go, zawędrowałem na morze i potężny sztorm wyrzucił mnie na brzeg pływającej wyspy Huy Braseal, na której zostałem ugoszczony w zamku najpiękniejszej z kobiet. – Westchnął tęsknie. – Czas dziwnie tam płynął. Mówią, że podobnie zachowuje się na wyspie Avalon i pod Wzgórzem Elfów. Wydawało mi się, że tylko rok z nią przebywałem, gdy tymczasem w krainach, zamieszkałych przez ludzi upłynęły setki lat. Kiedy w końcu usłyszałem pogłoski o zwoływaniu sit Środkowego Świata, potajemnie wykorzystałem magiczne moce mojej pani i kochanki i dowiedziałem się, że burza wybuchnie właśnie tutaj, na tych wschodnich ziemiach. Dowiedziałem się również, że O..., ten rycerz, z którym chętnie znów bym się spotkał zostanie przez potęgę zbierającej się burzy ściągnięty z powrotem z tych dziwnych krain, do których został wygnany. Więc wsiadłem pewnej nocy na zaczarowany statek, którym dopłynąłem do południowych brzegów tego królestwa. Tam zdobyłem konia i powędrowałem na północ w nadziei, że go znajdę. Ale dotychczas Bóg nie życzył sobie, żeby mi się to udało.

Carahue odchylił się i duszkiem opróżnił puchar. Holger zmarszczył brwi. Przebywał w tym świecie dostatecznie długo, żeby w pełni wierzyć w takie opowieści. Sam doświadczył rzeczy bardziej nawet niewiarygodnych. A jednak Saracen mógł kłamać... nie, Holger miał wrażenie, że wszystko co usłyszał było prawdą. Szczupła, ciemna twarz była w jakiś sposób znajoma. Gdzieś, kiedyś na pewno znał Carahue. Ale jako przyjaciela, czy wroga? Saracen skrupulatnie unikał deklarowania się w tej kwestii, a Holger czuł, że dalsze wypytywanie nie byłoby najrozsądniejsze. Co prawda Maur dobrze mówił o człowieku, którego poszukiwał, ale to niczego nie dowodziło. Rycerze, stosujący się do nieprawdopodobnych zasad kodeksu honorowego, mogli pisać peany na cześć swoich przeciwników, jednocześnie dybiąc na ich życie.

Część opowieści, z której wynikało, że znajomości Holgera datują się na setki lat wstecz nie zrobiła na nim specjalnego wrażenia. I tak nie mógłby odczuwać większej samotności i tęsknoty za domem, niż już czuł. Kilka spraw się jednak wyjaśniło. On, Holger, mający w herbie trzy serca i trzy lwy, był rycerzem, którego Morgan zwabiła na wyspę Avalon, pozostającą poza głównym nurtem czasu. Raz ją opuścił – wtedy, gdy potrzebowała go Francja. Morgan pozwoliła mu na to, gdyż zapewne nie obchodziło jej kto zwycięży w tamtej wojnie, a po jej zakończeniu i tak do niej wrócił. A teraz znowu... Jednak tym razem jego powrót do tego świata nastąpił z miejsca znacznie bardziej odległego, a Morgan sprzeciwiała mu się ze wszystkich swych mrocznych sił.

– Nie chciałbym wydać się nadmiernie wścibski – powiedział Carahue uprzejmie – jednak ciekawi mnie, dlaczego również ty musisz wędrować po tym niespokojnym pograniczu. Powiedz mi proszę, gdzie właściwie leży twoje Graustark?

– Och, trochę na południe stąd – wymamrotał Holger. – Ja... ja złożyłem śluby. Łabądziewa uprzejmie zgodziła się pomóc mi w ich dopełnieniu.

Carahue uniósł brwi. Najwyraźniej nie wierzył w ani jedno słowo.

Uśmiechnął się jednak wesoło.

– Hej, może pośpiewamy trochę, żeby się rozerwać? Znasz pewnie jakąś pieśń, balladę albo przyśpiewkę, która słodko zabrzmie w uszach od dawna przywykłych tytko do wycia wilków i wiatru.

– Możemy spróbować – powiedział Holger, zadowolony ze zmiany tematu.

Śpiewali na zmianę przez kilka godzin. Potrzebowali przy tym wielkiej ilości wina, żeby gardła były odpowiednio wilgotne, a mózgi sprawne. Carahue był zachwycony zrobionym naprędce przekładem "Auld Lang Lane". Obudzili cały dom, gdy rycząc tę balladę i podpierając się wzajemnie, niepewnym krokiem wchodzili na schody, żeby wreszcie pójść spać.

Głowa Holgera trzeszczała w szwach, gdy następnego dnia w południe szli do sklepu Martinusa. Alianora milczała rozsądnie. Hugiego i konie zostawili w gospodzie, gdyż właściciel od rana spoglądał na nich z nietajoną podejrzliwością. Prawdopodobnie miał już niejakie doświadczenie z gośćmi, którzy mieli rozległe drzewa genealogiczne, ale małe sakiewki.

Czarownik uśmiechnął się szeroko na powitanie.

– Och, wydaje mi się, że zajrzałeś do pucharka o jeden raz za dużo, mój młody przyjacielu – zachichotał w niemile protekcyjny sposób, charakterystyczny dla tych, których tego typu doświadczenia ostatnio omijały. – Dobrze się więc składa, że akurat mam bardzo skuteczny i zupełnie niedrogi specyfik, zwalczający malarię, zarazy, kwaśne humory, odciski, bóle reumatyczne, kaprawość, trąd i kaca. Przetknij tylko zawartość tego kubka... No, nie było takie gorzkie, prawda?

Panaceum rzeczywiście usunęło skutki wczorajszego pijaństwa w mgnieniu oka. Holger pomyślał sobie, że gdyby tylko mógł zdobyć jego skład i gdyby działało ono w jego wszechświecie, zbiłby na nim majątek. Ale Martinus już spoważniał. Przeszedł przez sklep w tę i z powrotem z rękami założonymi za plecy, popatrzył chwilę w podłogę i powiedział ponuro:

– Nie mogłem ustalić twojej tożsamości, sir Holgerze. Wszystkie istoty, które mogły mi to wyjawic zostały zablokowane. Znaczy to, że rzeczywiście jesteś jakąś ważną osobistością. Wróg jednak nie przewidział wszystkiego. Poderwałem ręce duchy powietrza, wezwałem nawet Ariela na konsultanta i z ich pomocą mimo wszystko byłem w stanie odnaleźć miejsce, w którym pogrzebany jest miecz Cortana. Nawet niezbyt daleko stąd, ale nie jest to podróż, którą chciałbyś odbyć.

Serce Holgera zabiło gwałtownie.

– Gdzie?

Martinus popatrzył na Alianorę.

– Znasz kościół Świętego Grimmina – na – Górze? – spytał.

Zagryzła wargi.

– Słyszałam o nim – potwierdziła.

– Więc tam właśnie leży miecz. Myślę, że schowano go w tym rejonie, na wschodzie, żeby był jak najdalej od swego prawowitego właściciela, a kościół Świętego Grimmina wybrano dlatego, żeby odzyskanie Cortany było jak najtrudniejsze, gdyby właściciel kiedykolwiek wpadł na jego ślad. – Potrząsnął łysą głową. – Nie mogę z czystym sercem radzić ci, żebyś tam jechał, młody przyjacielu.

– Co to za miejsce? – spytał Holger.

– Opuszczony kościół na wyżynie na północ stąd. Setki lat temu został wzniesiony jako misja, w nadziei na nawrócenie tamtejszych dzikich plemion. Przez pewien czas rzeczywiście była tam grupa wiernych. Potem zostali oni wymordowani w czasie napadu i od tamtej pory kościół jest w ruinie. Powiadają, że wódz napastników zbezczeszczył ołtarz ofiarą z człowieka, więc budynek stracił aurę, a stał się siedliskiem złych duchów i sprowadza nieszczęście. Teraz już nawet dzicy nie zbliżają się do niego.

– Hmm. – Holger spojrział na swoje stopy. Poczł się tak, jakby dźwigał cały świat na ramionach. Martinus nie żartował.

Przez chwilę zastanawiał się, dlaczego w ogóle zawraca sobie tym głowę. Po co właściwie miałby wracać do domu? Co go tam tak bardzo ciągnęło? Ach, tak – przyjaciele, wspomnienia, znane i lubiane krajobrazy. Ale, prawdę powiedziawszy, nie było tam nikogo ani niczego, za czym tęsknoty nie mógłby wytrzymać. Wojna, głód, sprzedajność, dehumanizacja. Poza tym, jeżeli nawet uda mu się powrócić, może ocknąć się w tym samym czasie i miejscu, z którego wyruszył. Z fizycznych zasad zachowania wynikało, że tak właśnie będzie. A przecież on i jego koledzy byli przyciśnięci do plaży ogniem hitlerowców, wiedząc, iż przyjdzie im umrzeć i mając tylko nadzieję, z każdą chwilą coraz słabszą, że zostaną przy życiu dostatecznie długo, żeby umożliwić pewnej łódce dotarcie do szwedzkiego brzegu.

Do diabła, wszystko wskazywało na to, że ten drugi świat nie był nawet jego rodzinnym. Jego miejsce było tutaj, w tym karolińskim wszechświecie, zaś tamten był tylko miejscem jego wygnania. Z tylu różnych punktów widzenia ten był lepszym i czystszy miejscem pobytu... Nie, odpowiedziała jego uparta uczciwość, to nie było w porządku. Ten kosmos również miał swe ciemne strony. Ale czy po prostu przez sam fakt swej odmienności nie dawał mu on większych szans na przeżycie przygody niż największe z tych, które mógł tam znaleźć?

Promień słońca, który wpadł przez okno dotknął ogniem włosów Alianory. Nigdy dotąd nie znał dziewczyny takiej jak ona. Jeśli cisnąłby w kąt tę całą głupią wyprawę i poszedł z nią, mógłby zapewnić sobie wcale nie najgorszy los. Król puszczy. Niewątpliwie sam też potrafiłby wykroić sobie jakąś domenę z tej niespokojnej ziemi niczyjej. A jeżeli chciałby żyć w bardziej cywilizowanych stronach, mogli razem pojechać do Imperium i...

I co? Przecież Chaos przygotowywał się do wojny. Przypomnił sobie wizję, przedstawioną przez Alianorę – Faryzeusze rozciągający wieczny półmrok na całą planetę. Pamiętał też, co Morgan powiedziała na temat niedbałych igraszek ze słońcami i planetami, o ludziach, ich rodzinach i nadziejach schwytyanych w sieci zniszczenia.

Nie, właściwie nie miał żadnego wyboru. Żaden uczciwy człowiek nie miał wyboru w czasie takim jak ten. Musi zrobić wszystko, żeby odzyskać miecz i oddać go prawowitemu właścicielowi, albo samemu nim walczyć, jeśli okaże się, że Cortana należy do niego. A później, jeżeli w ogóle będzie jakieś później, zdecyduje, czy nadal ma podejmować próby powrotu poprzez wszechświaty.

Podniósł głowę. – Pojadę – powiedział.

– Pojedziemy – poprawiła Alianora.

– Jak sobie życzysz – powiedział Martinus cicho. – I módl się o powodzenie, sir Holgerze. Niech cię Bóg strzeże i wspomaga, gdyż myślę, że jedziesz tam dla nas wszystkich.

Otarł oczy skrawkiem rękawa. Potem przywołał na twarz uśmiech, zatarł ręce i powiedział:

– No, to tyle na ten temat. A teraz porozmawiajmy o rachunku, gdyż przed wyruszeniem w podróż tak niebezpieczną pewnie chciałbyś od razu regulować tego typu sprawy?

– Hm, uch – powiedział Holger.

– Nie mamy teraz pieniędzy – wtrąciła się Alianora – ale jeżeli przyślesz rachunek trochę później, dopilnuję, żeby został w całości zapłacony.

– Powiedziałbym, że macie masę pieniędzy – Martinus wyraźnie posmutniał. – Bo widzicie, ten zakład nie udziela kredytu i...

– Ale na twoim szyldzie jest napisane; że potrafisz tworzyć zawsze pełne sakiewki... – zaczął Holger. – To tylko reklama. Szczegół, mający przyczynić się do osiągnięcia przez całość pełni artystycznego wyrazu.

– Mój stary, drogi przyjacielu – Alianora uśmiechnęła się i wzięła czarownika za rękę. – Nie będziesz chyba molestował o pieniądze człowieka, który właśnie ma uratować cały świat, prawda? Zaklęcia będą twoim wkładem w to wielkie przedsięwzięcie. Twoje imię będzie za to wysławiane w pieśniach.

– To nie spłaci moich wierzycieli – zaprotestował Martinus.

– Ach, ale czyż nie jest prawdą, że szlachetny czyn jest wart więcej niż wszelkie bogactwa? – Alianora pogłaskała go po policzku.

– No cóż, są w Piśmie słowa, z których mogłoby to wynikać ale...

– Ach, drogi przyjacielu, dziękuję! Wiedziałam, że się zgodzisz! Dziękuję! – Ale... Nie możecie... Nie pozwolę...

– Nie, nie, nic już nie mów. Nie śmielibyśmy wymagać większej pomocy ponad tę, której już nam udzieliłeś. Do widzenia, szlachetny człowieku. – Alianora ucałowała go w policzek i zanim zdołał ochłonąć wypchnęła Holgera za drzwi.

Kobiety! – pomyślał Duńczyk.

Po powrocie do gospody spotkali Carahue, przechadzającego się po podwórzu. Podeszedł do nich i ukłonił się.

– Wasz krasnoludzi towarzysz wspomniał, że wkrótce podejmiecie swą podróż na nowo – powiedział. – Tak – odpowiedział Holger. Zauważył kose spojrzenie, którym obrzucił ich właściciel gospody i dodał – Być może.

Carahue pogłaskał się po brodzie szczupłą, zdobną w pierścienie dłonią. – Czy będę zbyt śmiały, pytając w którą udajecie się stronę?

– Na północ, jak przypuszczam.

– Na te dzikie obszary? Przygoda godna pieśni, jeżeli tylko przeżyje ktokolwiek, kto będzie mógł o niej opowiedzieć.

– Mówiłem ci, panie, że złożyłem śluby – mruknął Holger.

– Och, wybacz, przyjacielu – powiedział Carahue. – Nieuprzejmym byłoby dalsze wypytywanie o to; o czym nie chcesz mówić, jednak czy mogę służyć ci pewną radą? Jeżeli pragniesz zachować swój cel w tajemnicy, nie zostawiaj ludziom tak dużego pola do snucia przypuszczeń. Łatwo im będzie rozpuścić języki, jeśli nie będą ich krępować żadne konkretne fakty. I tak niektórzy mogą utrzymywać, że podjąłeś się rycerskiego czynu, jak zabicie jednego z trolli, które tamte wzgórza nawiedzają i często – jak słyszałem – porywają i pożerają ludzi. Chociaż miejscowi, z którymi zamieniłem parę zdań twierdzą, że ich zabicie jest niemożliwe. Inni z kolei mogą się upierać, że sir Rupert wyruszył, żeby wyzwąć króla pogan. Jednak ponieważ chłopski rozum jest taki, jaki jest, większość będzie twierdziła, że poszukujesz złotego skarbu, zakopanego gdzieś w tamtych stronach. No dobrze, powiedzą inni, ale jak te wszystkie zamierzenia pogodzić z obecnością młodej damy u

twego boku? Więc ludzie będą mleć ozorami w każdej wolnej chwili i plotka rozniesie się jak pożar po stepie. Jeśli tego nie chcesz, musisz wymienić jakiś cel konkretny, najlepiej tak niesamowity, że ludzie będą woleli w ogóle o nim nie myśleć.

Alianora połknęła haczyk.

– O, ta podróż jest wystarczająco dziwna – powiedziała szczerze. – Do przeklętego kościoła Świętego Grimmina. – Przysięgłem odbyć pielgrzymkę w to miejsce – Holger próbował ratować co się da – żeby, hmm, ocalić kościelny dobytek, który tam jeszcze może się znajdować. A wolę o tym za wiele nie mówić, gdyż jest to, hmm, pokuta za czyn, którego wolałbym nie pamiętać.

– Ach, tak. Wybacz mi, proszę. – Wzrok Saracena spoczywał na nim nieruchomo. – A wiesz, panie, że są to rejony, w których dotychczas nie prowadziłem poszukiwań? Wydawało mi się, że jest mało prawdopodobne, żeby mój człowiek mógł się tam pojawić. Jednak teraz twoje słowa wzbudziły we mnie wątpliwości; czy rzeczywiście tam nie powędrował. Poza tym, jeśli będę mógł pomóc w zbożnym przedsięwzięciu, być może mój kredyt w Niebiosach wzniesie się ponad obecny, pożałowania godny poziom. Dobre towarzystwo skraca podróż, nie wspominając już o tym, że czyni ją mniej niebezpieczną. Może więc moglibyśmy wyruszyć razem?

Alianora i Holger wymienili spojrzenia. Ty go znasz, mówiły jej oczy, więc ty musisz decydować. Holger wahał się.

– Na niebezpieczeństwo narażone będą nie tylko nasze ciała – powiedział. – Przypuszczam, że możemy natknąć się na czarną magię.

Carahue machnął niedbale ręką.

– Twój miecz jest prosty, a mój zakrzywiony. – Uśmiechnął się. – Więc między nie powinien pasować wróg o każdym kształcie.

Holger potarł policzek. Niewątpliwie przydałby mu się jeszcze jeden człowiek. Wiedział jednak, że Carahue musi mieć własne powody, żeby się tak wpraszać do ich towarzystwa.

Czy to możliwe, żeby był agentem Chaosu? Owszem, jednak podświadome wspomnienia, którym Holger wierzył w coraz większym stopniu, zdawały się twierdzić co innego. Spróbował postawić się w sytuacji Maura: wędrował, szukając bez powodzenia jakiegoś ważnego człowieka, z jakichś ważnych powodów, a potem spotkał innego błędnego rycerza, opowiadającego raczej naciągane historyjki. Tak, wspomnienia podpowiadały mu, że Carahue miał właśnie taki typ umysłu – niepowstrzymanie ciekawy, pragnący wyjaśnić wszystko wokół siebie. Poza tym Saracen mógł się domyślić, że sir Rupert z Graustark miał jakiś związek z osobą, której poszukiwał, być może wiedział nawet gdzie ta osoba się znajduje. A gdyby nawet te przypuszczenia okazały się nieprawdziwe, północne wyżyny same w sobie były warte przeszukania. W każdym więc przypadku Carahue miał uzasadnione powody, żeby trzymać się sir Ruperta.

– Bardzo mi zależy na zaszczycie towarzyszenia ci, panie – ponaglił Saracen. – A jeszcze bardziej, oczywiście, na twym, czarująca pani, towarzystwie. Tak mocno tego pragnę, że jeśli w swej wielkiej łaskawości wyrazicie zgodę, będę nalegał, żebyście byli mymi gośćmi od początku swego tutaj pobytu...

Nie, nie, nie protestujecie, nie będę tego słuchał.

Holger i Alianora popatrzyli na niego i w spojrzeniu, którym im się odwzajemnił dostrzegli ślad ironii. Musiał być doskonale świadomy tego, że są bez grosza i w duchu zapewne śmiał się w kulak.

A jednak trudno było się oprzeć perspektywie spokojnego opuszczenia miasta, bez konieczności narażania się na awanturę z właścicielem gospody.

– Dobrze! – Holger wyciągnął dłoń. Carahue ujął ją. – Czy przyrzekniemy sobie przyjaźń?

– Tak. Na mój rycerski honor.

– I na mój. – Holger czuł, że podjął właściwą decyzję. Carahue prawdopodobnie dotrzyma przyrzeczenia, przynajmniej do końca podróży. A gdy on, Holger, położy swą dłoń na Cortanie, Saracen przestanie być liczącym się przeciwnikiem.

– Nagie są plecy, gdy nie ma przyjaciela – powiedział impulsywnie. Carahue podskoczył.

– Gdzie to słyszałeś? – spytał z napięciem.

– Co? Nigdzie, tak mi przyszło do głowy. Czemu pytasz?

– Znałem kiedyś człowieka, który zwykł tak mawiać. Prawdę mówiąc to ten, którego poszukuję. Oczy Carahue przez chwilę spoczywały na nich uważnie, potem je odwrócił. – Chodźmy coś zjeść i przygotować się do wyjazdu. Myślę, że jutrzejszy ranek będzie na to najlepszy, hm?

Był bardzo zajmującym towarzyszem posiłku, żartował, śpiewał, snuł nieco ryzykowne wspomnienia. Potem razem z Holgerem sprawdzili swój ekwipunek. Zbroja Carahue składała się ze stalowego pancerza, rozszerzonego w ramionach i wymyślnie grawerowanego, szpiczastego hełmu z czepcem kolczej plecionki oraz nagołennic, zakładanych na wierzch wysokich butów z miętko wyprawionej skóry. Jego tarcza nosiła znak sześcioramiennej gwiazdy, srebrnej na błękitnie, w obramowaniu czerwieni ze złotymi liliami. Wśród jego broni znajdował się łuk wraz ze strzałami. Dosiadał smukłej, białej klaczy. Ciemnobrązowego wałacha Alianory ocenił jako dobrego konia, ale dodał, że lepiej będzie, jeżeli postarają się również o muła, na którym mógłby jechać Hugi z zapasami żywności. Pozostała część popołudnia spędził na targowaniu cen rzeczy, które musieli dokupić.

Położyli się wcześniej, jednak Holger jeszcze przez godzinę nie mógł zasnąć. Wiedział, że mimo wszelkich środków ostrożności Morgan le Fay dowie się o celu jego podróży, jeżeli już nie wiedziała – i będzie się starała jakoś im przeszkodzić.

Dwie następne noce spędzili w chłopskich zagrodach. Holger, nie chcąc zdradzić się przed Carahue, a nie mając dostatecznie giętkiego języka, żeby na poczekaniu tworzyć wiarygodne szczegóły musiał odzywać się jak najrzadziej. Saracen mówił za nich obu, był wesoły, szarmancki i coraz wyraźniej skupiał uwagę na dziewczynie – a Holger stawał się coraz bardziej posępny i milczący. Starał się tłumić zazdrość – ostatecznie jakie mógł sobie rościć prawa do Alianory – jednak bolesne ukłucia uparcie powracały.

Trzeciego dnia zostawili za sobą pola i domy. Noc spędzili w szałasie pasterza, który opowiedział im kilka przerażających historii o dzikich i okrutnych napastnikach, niepokojących tutejszą ludność. Najbardziej krwawe dotyczyły trolli, zapuszczających się niekiedy aż w te strony. Było to ostatnie miejsce, zamieszkałe przez człowieka, poza wioskami kanibali.

I znowu zaczęli wspinać się na zbocza gór, wyższych i bardziej stromych niż te na wschodzie. Alianora powiedziała, że znaleźli się na pogórzcu gigantycznego łańcucha Jotun.

– Po jego drugiej stronie nie ma nic, tylko zimno, ciemność i lód, oświetlane przez północne światła, gdyż jest to kraina olbrzymów.

Cel ich wędrówki nie znajdował się aż tak daleko. Leżał na płaskowyżu u stóp najwyższych partii łańcucha. Ale i tak czekał ich co najmniej tydzień drogi przez wyjątkowo trudną i niebezpieczną okolicę. Jechali między głazami, noszącymi lodowcowe blizny, wśród nadgryzionych przez wiatr turni, w górę i w górę długich zboczy, poprzez ostre jak brzytwa granie oraz wąwozami tak wąskimi, że światło niemal nie docierało na ich dno. Lasy przerzedziły się i zmieniły w rozrzucone tu i ówdzie kępy poskręcanej kosodrzewiny, trawa była rzadka i sztywna, powietrze – chłodne w czasie dnia – w nocy było wręcz mroźne, chmury pędziły pod bladym słońcem i błyszczącymi okrutnie gwiazdami. Często musieli przeprowiać się przez strumienie, rwące w dół ze szczytów. Ich zwierzęta musiały wyęczać wszystkie siły, żeby oprzeć się prądowi. Hugi był jedynym, który z tych przepraw wychodził suchy. Jego krótkie nogi ledwo sięgały niżej paczek, na których siedział. Od czasu do czasu wydawał jowialne okrzyki w rodzaju: "Ahoj, statek na horyzoncie!" lub "Refować bezan!", które jednak nikogo, poza nim, nie bawiły. Carahue wachał tabakę, kichał i kwieście wyklinał pogodę (stanowczo zaprzeczał jakoby ten kraj posiadał klimat), ale uparcie jechał z nimi dalej.

– Gdy wrócę do domu – powiedział – położę się w słońcu, pod kwiatami pomarańczy. Niewolnice będą mi wygrywały słodkie melodie i wrzucały winogrona prosto do ust. Żeby utrzymać się w formie, będę regularnie ćwiczył – dwa razy dziennie zakręcę młynka palcami. Po kilku miesiącach, gdy znudzi mi się takie życie; wyruszę na następną rycerską wyprawę, powiedzmy, aż do najbliższej kawiarni.

– Kawa – westchnął Holger. Kończył mu się nawet otrzymany od Unricha tytoń, czy cokolwiek to było.

Alianora od czasu do czasu zmieniała się w łabędzicę i odlatywała, żeby obejrzeć kolejny odcinek czekającej ich drogi. Kiedy, czwartego dnia wędrówki, zniknęła im z oczu Carahue spojrzął na Holgera z niezwykłą u niego powagą.

– Pomimo jej stylu ubierania się – powiedział – rzadko spotyka się dziewczyny takie, jak ona.

– Wiem – Holger skinął głową.

– Wybacz mi zuchwałość pytania, ale Bóg dał mi oczy po to, żebym patrzył. Ona nie jest twoją kochanką, prawda?

– Nie.

– Tym głupiej z twojej strony.

– Toć ja mu wciąż to mówię, i mówię – zahuczał krasnolud. – Dziwaczny to gatunek, rycerze. Cały świat przemierzą, żeby dziewicę ratować, a potem jakoś nie wiedzą co z nią robić. Jeny do domu ją odprowadzą, a może na śmiałość wielką się zdobędą, żeby na kolanach błagać o wstążkę na rękaw. Cud to prawdziwy, że jeszcze ze szczętem nie wymarli.

Alianora wróciła przed zmierzchem.

– Widziałam z daleka kościół – powiedziała. – Widziałam również, bliżej nas, dwie warowne wioski dzikich ludzi, a wokół nich czaszki, powbijane na włócznie. Wielkie trwa tam poruszenie, jakby mieszkańcy szykowali się do wojny.

– Tak właśnie jest – powiedział Holger. Alianora zmarszczyła brwi.

– Znalazłam dla nas drogę – przez przełęcz. potem w górę na płaskowyż. Nie ma tam żadnych osad, pewnie dlatego. że w jakiejś pobliskiej jaskini osiadł troll. Jednak mogą nas wysledzić myśliwi, którzy tam polują. Wysledzić i sprowadzić nam na głowę oddział zbrojnych, żeby nas schwytali na pożarcie.

– Ha, smutny to koniec dla dzielnego rycerza być upieczonym we własnej zbroi – powiedział Carahue. Uśmiechnął się szeroko. – Chociaż, jak sądzę, steki z sir Ruperta, Hugiego i ze mnie okażą się dość twarde i żylaste, nieporównywalnie gorsze od kruchej pieczeni z twoich pięknych nóżek.

Alianora uśmiechnęła się i zarumieniła po czubki uszu. Carahue ujął jej dłoń.

– Gdyby doszło do najgorszego – powiedział grobowym głosem – musisz odlecieć, nie zważając na nas. Świat bez większego uszczerbku może sobie pozwolić na stratę takich jak my, ale stałby się miejscem naprawdę ponurym, gdyby zabrakło na nim ciebie, która go opromieniasz.

Potrząsnęła głową, nic nie mówiąc, i nie od razu wycofała swą dłoń. Ten facet, pomyślał Holger, jest prawdziwym fachowcem. Nie przychodziła mu do głowy żadna błyskotliwa myśl, nic, co mógłby wtrącić do ich rozmowy, a czuł, że już dłużej nie potrafi słuchać tego, co mówi Saracen. Wysforował się na czoło grupy, czując się podlej z każdą chwilą. Carahue wcale nie kłusuje w moim lesie, powiedział sobie, ale niezbyt długo udało mu się wytrwać przy tej opinii. Czy ten człowiek nie miał za grosz taktu ani poczucia przyzwoitości? A Alianora, czy ona nie widzi co się dzieje...? No cóż, niby dlaczego miałyby widzieć? Nigdy przedtem nie była wystawiana na tego rodzaju próby. Najbardziej wyświechtane banały i pochlebstwa wzięłyby za głęboką mądrość i szczerze uczucia. Carahue, niech go diabli porwą, nie miał prawa postępować w ten sposób z istotą tak bezbronną. Poza tym, na tak ważnej i niebezpiecznej wyprawie nikt nie miał prawa do... do... A niech to wszystko szlag trafi!

Wieczorem dotarli do płytkiej kotliny. Przed nimi wznosiły się stoki, na które przyjdzie im wspiąć się następnego dnia – skały spiętrzone na skałach, aż po rysującą się czernią na tle nieba, zębata jak piła grań. Ale tutaj, na dole, spieniony wodospad spadał z ciemnobłękitnego urwiska do stawu, barwionego czerwienią przez zachodzące słońce. Brzeg po tej stronie był niski i łagodny. Gdy

się zbliżyli, stado dzikich kaczek odleciało z szumem, lądując milę dalej. Powróciła cisza.

– Miałam nadzieję, że uda nam się tu dotrzeć jeszcze dzisiaj – powiedziała Alianora. – Jeżeli zarzucimy na noc kilka sznurów, na śniadanie możemy mieć coś lepszego niż tylko solone mięso i suchary. Hugi potrząsnął wielką, kudłatą głową.

– Nie wiem, dziewczyno. Ta kraina cała cuchnie złem, w tym jednak miejscu jest w powietrzu odór, którego nigdy nie spotkał.

Holger wciągnął w płuca bryzę, niosącą wilgotne, zielone zapachy.

– Mnie się wydaje w porządku – powiedział. – Tak czy inaczej, nie uda nam się okrążyć tego jeziora przed zapadnięciem nocy.

– Możemy wrócić i nocować na wzgórzu, z którego zeszliśmy – powiedział Carahue.

– Wracać dwie mile po własnych śladach – parsknął Holger. – Możesz tak zrobić, panie, jeżeli sobie tego życzysz. Ja się nie boję tu nocować.

Saracen poczerwieniał, wyraźnie powstrzymując gniewną odpowiedź. Alianora powiedziała pośpiesznie:

– Patrzcie, tam jest dobre, suche miejsce.

Mech pluskał pod stopami, nasiąknięty jak gąbka. Jednak w pobliżu leżał wielki głaz, jego pochyłe boki były nakrapiane porostami, płaski szczyt pokrywała warstwa zieleni dostatecznie gruba, żeby rosła tam krótka, sztywna trawa. W pobliżu środka głazu dostrzegli kępę uschniętych krzewów, dobrze nadających się na opał. Alianora rozłożyła ramiona i powiedziała:

– Jakby specjalnie dla nas przygotowane.

– Ano, tak wygląda – mruknął Hugi. Nikt nie podjął tematu.

Holger i Carahue ułożyli krąg ochronny i zajęli się zwierzętami, a w tym czasie Hugi wyjętą z juków siekierą narąbał drewna. Słońce schowało się za wzgórzami na zachodzie, ale potowa nieba ciągle płonęła szkarłatem, jakby giganci podłożyli na nim ogień.

Alianora wstała od płomienia roznieconego jej rękami.

– Pójdę zarzucę sznurki, zanim rozpali się na dobre.

– Nie, zostań tutaj, błagam – powiedział Carahue. Siedział ze skrzyżowanymi nogami. Jego ciemna, przystojna twarz zwrócona była w górę. Ku Alianorze. Podczas całej tej trudnej wędrówki jakimś cudem udało mu się utrzymać swój malowniczy strój w stanie niemal nieskazitelnej czystości.

– Nie chcesz jeź świeżej ryby?

– Tak. oczywiście. Jednak przyjemności podniebienia są niczym w porównaniu z jeszcze jedną godziną tego krótkiego życia, spędzoną w obecności idealnego piękna.

Dziewczyna odwróciła głowę. Holger zauważył jak jej twarz pociemniała rumieńcem. Był niemal do bólu świadomy młodych krągłości pod łabędzią tuniką, dużych, szarych oczu, miękkich ust, ruchliwych dłoni.

– Nie... – szepnęła – nic bardzo wiem. co masz na myśli, sir Carahue.

– Usiądź tutaj – poklepał darń obok siebie – a w miarę moich skromnych możliwości postaram się ci to wytłumaczyć.

– Ale... ale... – Spojrzała na Holgera zamglonym wzrokiem. Duńczyk zacisnął zęby i odwrócił się. Kątem oka zauważył jeszcze, że Alianora siada obok Carahue.

– Zarzucę sznurki – warknął. Chwycił je gwałtownie i zszedł ze skały. Od powstrzymywania się, żeby nic spojrzeć w tył rozboleła go szyja. Zanim wszedł w trzciny na tyle głęboko, że stracił ich z oczu, jego buty i spodnie były już całkowicie przemoczone. I tak by się niezbyt przejmowała, gdyby złapał zapalenie płuc. Przestań się wreszcie nad sobą uzalać! Winić za to, że Alianora dała się nabrać takiemu oszustowi, mógł wyłącznie siebie. To przecież on ją odrzucił, a nie odwrotnie, prawda? Tyle tylko, że w tych okolicznościach musiał tak postąpić. Los spletał mu doprawdy parszywego figla.

Wycinał sobie nożem drogę przez sitowie. Z ciężkiej zbroi, którą zwykle nosił, miał na sobie tylko pas, gdyż resztę zdjął podczas przygotowywania obozowiska. Podobnie zrobił Carahue, ale Holgerowi brakowało wrodzonej elegancji Saracena. był ubłocony, spocony i wymięty. Nie nosił nawet swej własnej twarzy. Nic dziwnego, że Alianora... Właściwie dlaczego mu na niej tak zależy? Powinien być zadowolony, że znalazła kogoś, kto go od niej uwolni. Przeklęte sitowie!

Wszedł na skraj jeziora. Woda była bardzo spokojna – zwierciadło pod czarnymi skałami i niebem, purpurowym na wschodzie, gdzie wisiał księżyc w, towarzystwie jednej gwiazdy, pośępnie czerwonym na zachodzie. Ostatnie blaski słońca kładły się jak krew na jego powierzchni, jednak migotanie ich było tak delikatne, że czuł czającą się w doleciemność. Zarośla drżały i szeleściły, kroki Holgera pluskały niepokojąco głośno. Ze starej, na wpół zgniłej kłody, którą woda przyniosła do brzegu zeskoczyło kilka żab. Holger rozłożył sznurki na jej mokrej korze i zaczął nadziewać kawałki mięsa na haczyki.

Chłód objął go wilgotnymi mackami, przeniknął w głąb ciała. Zaczął drzeć, palce niechętnie słuchały poleceń, musiał wyteżać oczy, żeby w gasnącym świetle dojrzeć haczyk. A mógłbym teraz być na Avalonie, pomyślał. Albo nawet, do diabła, pod Wzgórzem Elfów z Meriven. Czy ta łabędzica naprawdę nie wie, co się ze mną dzieje, gdy ona paraduje na wpół nago przed moim nosem? Niech Szatan porwie wszystkie kobiety. Istnieją na tym świecie tylko w jednym celu. Ale Meriven przynajmniej dobrze temu celowi służyła.

Dłoń ześliznęła się i haczyk wbił mu się w palec. Wyciągnął go z bluźnierczym przekleństwem, potem chwycił stalowy sztylet i z rozmachem wbił go w kłodę. Musiał coś dźgnąć, żeby nie zacząć wrzeszczeć. Śmiech spłynął na niego jak wodospad. Odwrócił gwałtownie głowę i tuż za sobą, ponad wodą, zobaczył białą postać. Chwilę później jego ręce były unieruchomione na plecach, wokół szyi owinęło się białe ramię. Poczuł, że jest ciągnięty do tyłu i w dół. Jezioro zamknęło się nad jego głową.

Usiłował kopać, na wpół uduszony, ale jego mięśnie już omdlewały, Mózg wirując zapadał w ciemność. Białe ręce zwolniły uchwyt. Instynktownie otworzył usta, żeby zaczerpnąć powietrza.

Nie zachłysnął się wodą, nie tonął. Usiadł. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kim jest, gdzie, ani z jakiego powodu. Świadomość powróciła, jednak musiały jeszcze upłynąć całe minuty, zanim mógł dostrzec najbliższe otoczenie, gdyż jego oczy nie były przyzwyczajone do patrzenia w takich warunkach.

Siedział na białym piasku, ciągnącym się pełnymi wdzięku zmarszczkami poza zasięg wzroku. Tu i ówdzie leżały długie kamienie, pokryte jaskrawo zielonymi naroślami alg, falujących długimi, wiotkimi łodygami. Powietrze było nasycone luminescencją, podobną do płynącego znikąd nie – światła w Faerie, może trochę bardziej zieloną. Tylko... to nie było powietrze. z jego ust i nozdry wydobywały się bąbelki, płynąc w górę jak maleńkie, wypolerowane księżycy. Zobaczył rybę, która pojawiła się z bladości po lewej, minęła go i zniknęła w pozbawionej perspektywy dali po prawej stronie. Poderwał się na nogi, wyskoczył w górę i zaczął spadać z upiorną powolnością. Jego ciało zdawało się nic nie ważyć. Przy każdym ruchu wyraźnie czuł opływającą wodę.

– Witaj, sir`Olgerze. – Głos był zimny i słodki. Odwrócił się. Przed nim leniwie unosiła się kobieta. Była naga i blada jak papier, z delikatnymi, zielonymi śladami żył pod skórą. Długie włosy pływały wokół ramion, wiotkie i zielone jak algi. Jej oczy były żółte. Twarz szeroka, z płaskim nosem i grubymi, zmysłowymi ustami. Przez kontrast z twarzą ciało wydawało się nieludzko smukłe. Holger nigdy jeszcze nie widział istoty obdarzonej taką gracją, może z wyjątkiem węgorzy.

– Kim, kim, kim...? – zachłysnął się.

– No nie, daj spokój – zaśmiała się. – Nic jesteś wiejskim głupkiem, tylko szlachetnie urodzonym rycerzem. Witaj, powtarzam. – Kopnęła wodę i podpłynęła bliżej. Zauważył, że jej stopy składały się głównie z palców. Połączonych błoną. Paznokcie, podobnie jak usta, były bladozielone. Jednak ich widok nie przerażał. Przeciwnie! Holger musiał przypominać sobie, że znalazł się w poważnych tarapatach.

– Wybacz mi tak gwałtowną formę zaproszenia. – Z jej ust wyroiły się błyszczące pęcherzyki powietrza. Niektóre osiadły na jej włosach, jak grona diamentów. – Musiałam wykorzystać tę ulotną chwilę gdy nie miałeś ze sobą żelaza i byłeś w niezbyt świętobliwym nastroju. Wierz mi, nie miałam zamiaru wyrządzić ci krzywdy.

– Gdzie ja, do diabła, jestem. – wybuchnął.

– W głębi jeziora. w którym ja, jego rusalka, mieszkam od tyłu już samotnych stuleci.. – Ujęła dłonie Holgera w swoje, miękkie i zimne, zdradzające tę siłę która go obezwładniła. – Nic bój się, moje zaklęcie chroni cię przed utonięciem.

Holger wsłuchał się w swój oddech. Nic czuł żadnej różnicy, może z wyjątkiem lekkiego ucisku na piersi. Zbadał językiem jamę ustną i przecisnął ślinę między zębami. Jakimś sposobem, pomyślał starając się znaleźć jakiegokolwiek oparcie dla zdrowego rozsądku, siły, określane tu jako magiczne wychwytywały tlen z wody i wślaczały go do wnętrza cienkiej, prawdopodobnie monomolekularnej błonki, chroniącej jego twarz. Pozostałe części ciała bezpośrednio stykały się z jeziorem. Jego

ubranie było przesiąknięte wodą. Jednak nie czuł chłodu... O czym ja tu rozmyślam, przede wszystkim muszę się stąd wydostać!

Wyrwał dłonic.

– Kto cię na mnie nasłał? – spytał ostro.

Wyciągnęła ramiona ponad głowę, wygięła plecy i stanęła na czubkach palców.

– Nikt – uśmiechnęła się – Nie wyobrażasz sobie, jak męczące staje się czasem takie trwanie, samotne i nieśmiertelne. Kiedy więc zbłądzi tu piękny, młody wojownik, z włosami jak słońce i oczyma jak niebo, muszę go kochać od chwili w której go zobaczę.

Jego policzki zapłonęły. Obojętna część jego jaźni uświadomiła sobie, że ona, istota pochodząca ze Środkowego Świata, była w równym stopniu odporna na stanowiącą jego przebranie iluzję, jak on sam. Ale nawet jeśli... to skąd znała jego imię.

– Morgan le Fay! – wykrzyknął.

– Jakie to ma znaczenie? – Wzruszenie ramion było falą, która przepłynęła przez całe jej ciało. Chodź. mój dom jest niedaleko. Czeka tam na ciebie uczta. A potem... – Podpłynęła bliżej. Opuściła oczy.

– To nie jest przypadek – nalegał. – Spodziewałem się, że Morgan będzie mnie śledziła. Wszystko starannie przygotowała, kiedy zorientowała się, że zmierzamy ku temu jezioru. Myślę; że nawet może zachowanie było sterowane.

– Och, pozbądź się takich obaw. Żaden śmiertelnik, mający dobro w swej naturze, nie może zostać zaczarowany jeżeli sam sobie tego nie życzy.

– Dobrze wiem, ku czemu w tym momencie skłaniała się moja natura. Podejrzewam, że nawet jeżeli taki nastrój nie został mi narzucony siłą, to mój umysł popchnięto delikatnie w odpowiednią stronę. Bardzo dobrze. Zgiń, przepadnij! – Holger nakreślił znak krzyża.

Rusałka uśmiechnęła się w swój senny sposób. Potrząsnęła głową – powolny ruch w lewo i w prawo, przy którym zafalowały unoszące się swobodnie włosy.

– Nie, za późno. Gdy już się tu dostałeś, z własnej woli, czy też nie, nie możesz uciec w tak prosty sposób. Właściwie dlaczego nie miałabym ci powiedzieć prawdy? Tak, Jej Wysokość Pani Avalonu nakazała mi czekać blisko brzegu i schwytać cię, gdy nadarzy się sposobność. Mam cię tu zatrzymać do czasu, aż ona po ciebie przyśle, a nastąpi to po zakończeniu wojny, która już niemal wybuchła. – Podpłynęła w górę i ułożyła się swobodnie na wysokości jego twarzy. Jej palce, cienkie i mocne jak druty, zmierzwiły jego włosy. – Jednak jest również prawdą, że Rusel odczuwa wielką radość z tego, że otrzymała to zadanie, i że dołoży wszelkich starań, żeby twój pobyt tutaj był przyjemny.

Holger okręcił się i kopnął piasek. Wystrzelił w górę, popłynął ku niewidocznej powierzchni jeziora. Rusałka sunęła obok, bez wysiłku, ciągle uśmiechnięta. Nie próbowała go zatrzymać, skinęła jedynie ręką.

Wokół pojawiły się smukłe kształty. Przed nosem Holgera zatrzasnęły się szczęki. Patrzył w obojętne oczy i wypełnioną igłami zębów paszczę monstrualnych rozmiarów szczupaka. Natychmiast podpłynęły inne, dziesięć, sto. Któryś ukąsił go w rękę. Holger poczuł ostry ból, krew rozlała się jak czerwony dym. Zatrzymał się. Szczupaki okrążyły go ze wszystkich stron. Rusel znowu skinęła ręką.

Odpłynęły, jednak bardzo powoli i pozostały na skraju pola widzenia.

Holger opadł z powrotem na piasek. Potrzebował kilku minut, żeby jego oddech i puls wróciły do normy.

Rusałka ujęła jego rękę i pocałowała ukąszone miejsce. Rana zniknęła, jakby jej nigdy nie było.

– Nie, musisz tu zostać, sir `Olgerze – zamruczała. – Strasznie bym się czuła rozczarowana, gdybyś znowu starał się w tak nieuprzejmy sposób mnie opuścić.

– Ja mógłbym się czuć jeszcze straszniej. Roześmiała się i ujęła jego ramię.

– Królowa Morgan zbyt szybko będzie chciała mi cię zabrać. Tymczasem jednak chodź, uważaj się za jeńca wojennego, honorowo ujętego do honorowej niewoli. Będę się starała uczynić ją jak najłżejszą. – Moi przyjaciele....

– Nie obawiaj się, mój drogi. Oni, sami przez się, nie stanowią zagrożenia dla wielkiego celu. Można przeboleć, że bezpiecznie wrócą do domu. – Z błyskiem złości: – Gdy zaszło zabójcze dla mnie słońce, śledziłam z daleka zachowanie pewnych osób w waszym obozowisku. Wydaje mi się, że łabądziewa wkrótce pozwoli, żeby ją pocieszono po twoim zniknięciu. Jeżeli nawet nie dzisiejszej nocy, to na pewno w ciągu najbliższego tygodnia.

Holger zacisnął pięści. Poczował dławienie w gardle. Ten saraceński łobuz... Ale że Alianora dała się tak nabrać na jego pochlebstwa. Ptasi mózdzek!

Rusel położyła mu dłoń na karku. Jej usta – widział, jak nabrzmiały – były blisko jego ust.

– Dobrze! – powiedział ponuro. – Chodźmy do twego domu.

– Jakże mnie tym radujesz, piękny rycerzu! Zobacysz jakie przysmaki zostały dla ciebie przygotowane. I jakie przyjemności, niewyobrażalne dla niezdarnych mieszkańców lądu, można odkryć w tych głębinach, gdzie waga nie krępuje wolności ciała.

Holger mógł to sobie wyobrazić. Jeżeli już został złapany, dlaczego nie miałby z tego korzystać? – Chodźmy – powtórzył.

Ruael zatrzepotała rzęsami.

– Nie zdejmiesz wpierw tego okropnego stroju?

Spojrzał na swoje nasiąknięte wodą ubranie, potem z powrotem na nią. Jego dłonie sięgnęły do sprzączki pasa.

Jednak po drodze jedna z nich zamknęła się na sztylcie Alfrika. Błysnęło w nim przypomnienie. Zamarł na chwilę w bezruchu. Potem gwałtownie potrząsnął głową i powiedział:

– Później, w domu. Być może jeszcze kiedyś mi się przydadzą.

– Nie, Morgan ubierze cię w jedwabie i futra. Och, nie myślmy jednak o tej smutnej chwili, gdy będziesz musiał mnie opuścić! Chodź!

Rusałka pomknęła jak strzała. Holger podążył za nią, młócąc wodę jak bocznokołowiec. Zawróciła i ze śmiechem zaczęła pływać wokół niego. Od czasu do czasu zbliżała się, żeby dotknąć jego ust swoimi, ale niezmiennie wyslizgiwała się, gdy chciał ją złapać.

– Wkrótce, wkrótce – obiecywała.

Szczupaki płynęły ich śladem. Ich oczy błyszczały za paszczami jak latarnie.

Dom Rusel nie był koralowym pałacem, jakiego Holger na w pół się spodziewał. Dach i ściany były tu bezużyteczne. Kamienny krąg stanowił podstawę kurtyny wodorostów, wznoszącej się wysoko w górę, zielonej i brązowej, nieustannie falującej, drżącej, przesuwającej się. Ryby wpływały przez nią i wypływały. Drobnica uciekła, gdy rusałka się zbliżyła. lecz większe ryby – pstrągi – dotykały pyskami jej palców. Przechodząc przez kurtynę, Holger czuł na skórze dotyk wodorostów, zimny i śliski.

W środku było kilka dużych pomieszczeń, oddzielonych od siebie tego samego rodzaju przegrodami. Rusel poprowadziła do sali jadalnej. Stał tu kamienny stół, wykładany muszlami i masą perłową, zastawiony pełnymi potraw złotymi talerzami, misami, półmiskami. Otaczały go bardzo delikatne, wykonane z rybich ości krzesła.

– Zechciej zauważyć, panie – powiedziała. – Udało mi się dla ciebie zdobyć, dzięki pomocy królowej Morgan, nawet rzadkie wina. – Podała mu kuliste naczynie z zakorkowaną, wydłużoną szyjką, trochę podobne do południowoamerykańskiej bombilli. – Musisz pić z tego, gdyż inaczej woda z jeziora zepsuje cenną zawartość. Ale pij, za naszą jak najbliższą znajomość.

Stuknęła swoim naczyniem o to, które on trzymał w dłoni. Wino było szlachetnego rocznika, ciężkie i mocne. Przysunęła się bliżej. Jej nozdrza rozszerzyły się, usta rozchyliły zapraszająco.

– Witaj – powtórzyła. – Chcesz od razu jeść? Czy może najpierw...

Mogę sobie pozwolić na spędzenie tutaj jednej nocy, pomyślał. Krew pulsowała mu w skroniach. Oczywiście, że mogę. Nawet muszę, żeby usnąć jej czujność zanim znów spróbuję uciec.

– Nie jestem w tej chwili przesadnie głodny – powiedział.

Zamruczała jak kocica i zaczęła rozsznurowywać jego kaftan. Ponownie sięgnął do swego pasa. Gdy go zdjął, jej wzrok zahaczył o pustą pochwę i tę drugą, w której tkwił nóż. Poruszyła się gwałtownie. – To nie może być stal! – wykrzyknęła. – Wyczułabym bliskość żelaza. Ach, rozumiem. Wyciągnęła sztylet i przyjrzała mu się uważnie.

– Płomienne Ostrze – przeczytała. – Dziwne imię. Robota z Faerie, prawda?

– Tak. Zdobyłem go na księciu Alfriku, gdy go pokonałem w walce – pochwalił się Holger.

– Wcale mnie to nie dziwi, szlachetny panie. – Otarła się policzkiem o jego pierś. – Nie dokonałby tego żaden inny człowiek, ale przecież ty jesteś jeden jedyny. – Jej uwaga znowu skupiła się na sztylcie. – Wszystko, co tutaj mam, zrobione jest ze srebra i złota. Niejednokrotnie powtarzałam barbarzyńskim kapłanom, że chcę również brązu. Oni jednak, nawet wtedy, gdy są w pełni świadomi, nie wspominając nawet o modlitewnym transie, są tak głupi, że nigdy do nich nie dotarło, iż demonowi jeziora może się przydać dobry, ostry nóż. Mam kilka krzemiennych ostrzy, pozostałych ze starożytnych czasów, gdy tego typu ofiary były mi składane, ale są one tak zużyte, że zostały z nich tylko okruchy.

– No to zatrzymaj ten nóż, jako pamiątkę po mnie. – Holger potrzebował całej siły woli, żeby powiedzieć to tonem dostatecznie niedbałym.

– Potrafię znaleźć wiele sposobów, żeby ci podziękować, jasny panie – obiecała. Miała właśnie na nowo zacząć uwalnianie go z ubrania, gdy Holger wziął sztylet i kciukiem sprawdził jego ostrze.

– Jest zupełnie tępy – powiedział. – Wypuść mnie na brzeg, a naostrzę go dla ciebie.

– Och, nie! – Uśmiechnęła się drapieźnie. Nie była przyzwyczajona do obcowania z ludźmi, więc mogła się nabrać na jego dość oczywisty podstęp, ale nie była również głupia. – Porozmawiajmy o czymś bardziej przyjemnym.

– Możesz mnie trzymać za nogę, albo związać, czy cokolwiek sobie życzysz – powiedział. – Ale muszę wyjść na powietrze, żeby naostrzyć ten nóż. Widzisz, taki metal podda się tylko żarowi płomienia. Potrząsnęła głową. Zrezygnował z krzywym uśmiechem. To i tak był strzał na ślepo i w tej chwili, mając obok tę wiotką istotę, nawet niezbyt żałował, że mu się nie udało.

– Jak sobie życzysz – powiedział. Odrzucił nóż i położył dłonie na jej biodrach.

Być może oszukał ją brak uporczywości z jego strony. Albo, pomyślał z pewnym rozdrażnieniem, bezwładność, pchająca go ku jego przeznaczeniu była zbyt wielka, żeby mógł tutaj zakończyć swą drogę. W każdym razie ona powiedziała:

– Wśród złożonych mi ofiar mam ostrzarkę. Może wystarczy? Wydaje mi się, że to właśnie takie urządzenia służą do ostrzenia noży.

Opanował drżenie.

– Jutro.

Wymknęła się z jego objęć.

– Teraz, teraz – powiedziała. W jej oczach rozbłysły iskierki. Tego typu kapryśność, niemal obłąkaną, zauważył już u mieszkańców Faerie. – Chodź, powinieneś obejrzeć moje skarby. – Pociągnęła go za rękę.

Poszedł, z rozmyślną niechęcią. Za nimi popłynęły szczupaki.

– Mówiłaś, że barbarzyńcy składają ci ofiary? – zdołał powiedzieć mimo nieznośnego ucisku w gardle.

– Tak. – Zaniósła się śmiechem. – Każdej wiosny przychodzą na brzeg jeziora i wrzucają do wody to, co ich zdaniem ma mnie zadowolić. Niektóre ofiary rzeczywiście są przyjemne. – Rozgarnęła żywy gobelin. – Przynoszę wszystkie dary tu, do mego skarbcza. Nawet te głupie, gdyż przynajmniej można się z nich pośmiać.

Holger zauważył przede wszystkim kości. Rusel musiała spędzić wiele godzin, układając fragmenty szkieletów w artystyczną mozaikę. Czaszki, które wchodziły w jej skład miały drogie kamienie w oczodołach. W innym miejscu złożone były puchary, misy i ozdoby, zrabowane przez pogan w cywilizowanych krajach lub wykonane, nie bez umiejętności, przez ich własnych rzemieślników. W jednym z kątów pomieszczenia wznosiła się beładna sarta najróżniejszych przedmiotów, które również musiały być uważane przez barbarzyńców za cenne (o ile po prostu nie pozbywali się w ten sposób rzeczy zupełnie im nieprzydatnych) – zniszczone przez wodę księgi z jakiegoś klasztoru, kryształowa kula, smoczy ząb, połamana statuetka, rozmoczona szmaciana lalka, na widok której Holger poczuł lekkie szczypanie w oczach, i mnóstwo innych śmieci, po tak długim przebywaniu w wodzie nie dających się od razu zidentyfikować. Rusalka zanurzyła w tej stercie oba ramiona.

– A więc składają ci ofiary z ludzi – powiedział Holger, bardzo miękko.

– Co rok młodzieńca i dziewicę. Naprawdę do niczego nie są mi potrzebni. Nie jestem trollem ani kanibalem, żeby smakowały mi takie posiłki, ale oni zdaje się tak właśnie uważają. Poza tym

ofiary zawsze ubrane są w najpiękniejsze stroje. – Rusel spojrzała na niego nad ramieniem oczyma równie niewinnymi jak oczy kota. Nie miała duszy.

Pod białą skórą nabrzmiała siła i rusalka wyszarpnęła ostrzarkę z dna sterty. Drewniana konstrukcja wydawała się zupełnie zgnita, brązowe połączenia skorodowane, ale koło szlifierskie ciągle reagowało na poruszenia korby.

– Czy te moje zabaweczki nie są ładne? – spytała, zataczając krąg wyciągniętym ramieniem. – Wybierz sobie, co chcesz. Cokolwiek, panie, wliczając w to mnie samą.

Pomimo tych wszystkich kości. Holger musiał zmusić się, żeby powiedzieć: – Najpierw zajmijmy się sztyletem. Czy możesz obracać tym kołem?

– Tak szybko, jak sobie życzysz. Wypróbuj mnie. – Jej spojrzenie mówiło, że może ją wypróbować na wszystkie sposoby. – Jednak postawiła mocno stopy na piasku i tak zakręciła kołem, że Holger poczuł tworzący się w wodzie wir. Do jego uszu dotarło buczenie, głośniejsze niż w powietrzu, potem zgrzytliwy jęk, gdy dotknął koła ostrzem sztyletu.

Szczupaki podpłynęły bliżej, ich ponure pyski celowały prosto w niego. – Szybciej – powiedział. – Jeśli możesz.

– Tak! – Metal zawył. Rama wibrowała, od bolców odrywały się zielone kłaczki. Chryste, niech ta rzecz wytrzyma jeszcze trochę!

Szczupaki zbliżyły się jeszcze bardziej. Rusel nie pozwalała sobie na ryzyko, dopóki trzymał broń w ręku. Jej pupilki w trzy minuty mogły go dokładnie obrać z mięsa. Holger zebrał resztki odwagi i całkowicie skupił się na sztylecie. Nie miał pewności, że jego plan się powiedzie. Jednak nawet tutaj, pod wodą, metal musi nagrzewać się od tarcia. Widział delikatną chmurę metalowego pyłu, gęstniejącą wokół ostrza.

– Może już wystarczy? – wysapała Rusel. Jej włosy przylepiły się do ramion, piersi, brzucha. Bursztynowe oczy płonęły.

– Jeszcze nie. Szybciej! – Całym ciężarem naparł na sztylet. Błysk płomienia niemal go oślepił. Magnez palił się w wodzie.

Rusel wrzasnęła. Holger zasłonił twarz i machnął nożem w stronę ryb. Jedna z nich ukąsiła go w łydkę. Pozbył się jej kopniakiem, przebił zieloną kurtynę i popłynął w górę.

Rusalka krążyła poza zasięgiem białobłękitnego blasku, poza zasięgiem jego oślepionych oczu. Krzykiem zachęcała swoje szczupaki do ataku. Jeden z nich podpłynął do Holgera. Duńczyk machnął pochodnią i szczupak uciekł. Albo on również nie mógł znieść promieniowania ultrafioletowego, albo – co bardziej prawdopodobne – wpływ Rusel malał wraz z odległością, jak to działo się w przypadku każdej magii, a nie mogła podpłynąć dostatecznie blisko do Holgera, żeby swoje wodne wilki skutecznie na niego poszczuć.

Machał nogami, wiosłował swobodną ręką, zastanawiając się czy kiedykolwiek dopłynie do powierzchni. Jakby z odległości lat świetlnych usłyszał głos Rusel, przemawiający do niego miękko:

– `Olger, Olger, naprawdę mnie zostawiasz? Tam, na lądzie jedziesz ku swej zgubie. `Olger, wróć do mnie. Nawet nie wiesz jakich możemy zaznać przyjemności...

Wziął się mocno w garść i płynął dalej. Dogoniła go jej wściekłość.

– A więc umrzyj!

Nagle zamiast tlenu wciągnął wodę. Zakłęcie zostało z niego zdjęte. Zadławił się. Jego płuca zdawały się płonąć. Niemal wypuścił swą magnezową pochodnię. Zauważył Rusel, zbliżającą się w chmurze szczupaków. Odepchnął ją okrutnym światłem, zacisnął usta i płynął. W górę, w górę, ciemność pochłaniała myśli, mięśnie traciły siłę, ale w górę.

Wyskoczył nad powierzchnię., zakaszłał, splunął i nappełnił płuca powietrzem. Księżyc, niemal już w pełni, dotykał wody złamanym światłem. Holger trzymał pochodnię nad powierzchnią i brnął pośpiesznie ku szaremu brzegowi. Magnezowe światło zgasło w chwili, w której dotarł do sitowia. Wszedł na brzeg i pobiegł, chcąc być jak najdalej od wody. Potem upadł.

Chłód dotknął mokrego ubrania, przeniknął przez nie i rozpełzł się po skórze. Holger leżał, szcękając zębami i czekając, aż siły wrócą mu na tyle, żeby mógł poszukać obozowiska. Nie czuł się zwycięzcą. Wygrał tę rundę, ale będą jeszcze następne., Poza tym... poza tym... och, do diabła, dlaczego musiał uciekać tak szybko?

W końcu udało mu się wrócić. Głaz wznosił się ponad ziemią, jak statek, czarny na tle nocy, a rozjaśniane blaskiem księżyca, gnane wiatrem chmury stwarzały złudzenie, że statek jest w podróży. Po jakich morzach? Ognisko wypaliło się do żaru – plama światła w kolorze zakrzepłej krwi. Wczołgał się na szczyt i zobaczył, że konie przytuliły się do siebie, tworząc ciemną bryłę, która mogłaby być kabiną na śródkręciu. Carahue stał na dziobie, patrząc na północ. Wiatr, jęczący na niewidzialnych wantach, łopotał jego opończę. Blask księżyca odbijał się od wyciągniętej szabli.

Wściekła, mała postać chwyciła Holgera w pasie i próbowała nim potrząsnąć.

– Człeczce, gdzieżeś ty łaził? Mało, a na śmierć byśmy się tu o ciebie zamartwili. Ni znaku po tobie, ślad jeno na brzegu jeziora, aż tu wracasz, mokry jak ścierka i złymi miejscami cuchnący. Co ci się przytrafiło?

Carahue na wpół się odwrócił, Holger złapał błysk oka pod szpiczastym hełmem. Jednak uwaga Saracena była skierowana gdzie indziej. Holger spojrział w tę stronę. Skraj doliny zasłaniał widok dalej położonych gór, jednak zdawało mu się, że zobaczył tam stłumioną, chybotliwą czerwień, jakby ktoś palił wielkie ognisko.

Nagły strach chwycił go za gardło. – Gdzie Alianora? – krzyknął.

– Poleciała cię szukać, sir Rupercie – odpowiedział Carahue. Mówił powoli i bardzo spokojnie. Gdy nie mogliśmy cię znaleźć, przybrała postać łabędzia, żeby popatrzeć z góry. Ten blask już wtedy był widoczny i obawiam się, że tam właśnie poleciała. A nie sądzę, żeby tutaj, w tym kraju, wokół takiego ognia mogli się gromadzić dobrzy ludzie.

– I nie zatrzymaliście jej? – Wściekłość wyгнаła chłód z jego ciała. Na sztywnych nogach ruszył w stronę Maura. – Na rany Boga...

– Błagam oświeć mnie, szlachetny rycerzu – powiedział Carahue swym najbardziej układnym tonem – jak miałem ją zatrzymać, jeżeli powiedziała co chce zrobić i już była w powietrzu? Zanim miałem jakąkolwiek szansę ją chwycić.

– Tak i było – mruknął Hugi. – Gadaj nam zaraz, gdzieżeś byt. – Gdy Holger zawahał się, krasnolud przestąpił z nogi na nogę i dodał: – Ano, wiem ja dobrze, że wróg znowu jakimś sposobem zdołał cię ogłupić. Jeno usłyszeć musim jak to się odbyło, żebyśmy wiedzieli co nas jeszcze czekać może.

Holger poczuł, że opuszczają go siły. Usiadł, podciągnął kolana i wyrecytował za szczegółami historię swego uwięzienia i ucieczki.

Hugi pogładził się po brodzie i powiedział:

– Och, tak, tak, przewrotna rusałka. Jam nie taki, co by się chełpił, że cię uprzedzał i tak nie powiem ni słowa, jakem ostrzegał, że to jest niedobre dla nas miejsce. Jeno zapamiętaj sobie na następny raz i słuchaj co mówię. Częściej ja miewam rację niż się myślę, jak to jasno wnosić można z licznych przypadków z mego życia i jeno wrodzona skromność nie daje mi tu ich opowiadać jak, powiedzmy, tego kij mantykora w Grocie Gawyra się czaiła, a ja ostrzegałem biednego sir Turolda i ostrzegałem...

Ignorując opowieść krasnoluda, Carahue powiedział powoli:

– Wydaje mi się, że twa misja ma niezwykle znaczenie, sir Rupercie, skoro na swej drodze napotykamy takie trudności.

Holger był zbyt zmęczony i zniechęcony, żeby próbować uspić podejrzenia Saracena tłumaczeniem, że wszystko to jest czystym przypadkiem. Właśnie zdjął przemoczone ubranie i zaczął rozglądać się za czymś, co mogło zastąpić ręcznik, gdy trzepot skrzydeł nad głową i mignięcie bieli w ciemności zmusiło go do pobicia wszelkich rekordów w szybkości nakładania mokrych spodni.

Alianora wylądowała i przybrała ludzką postać. Zobaczywszy Holgera, krzyknęła cicho i zrobiła krok w jego stronę, jednak zatrzymała się natychmiast. W słabym świetle prawie wygasłego ogniska nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy, była tylko smukłym cieniem, ledwo dotykanym czerwienią.

– A więc nic ci się nie stało – powiedziała dość chłodno. – To dobrze. Poleciałam zobaczyć to miejsce, z którego bije taki blask. To obozowisko na łąsłym szczycie góry i... – Jej głos się załamał. Zadrżała i spojrzała na Carahue, jakby szukając u niego ciepła. W czarnej brodzie Saracena załśniły zęby. Zdjął opończę i zarzucił ją na ramiona dziewczyny.

– I co zobaczyłaś, najdzielniejsza i najpiękniejsza z kobiet? – spytał cicho, trochę zbyt troskliwie poprawiając ułożenie darowanej jej opończy.

– Odbywa się tam sabat. – Zapatrzyła się we wszechogarniającą, skowyczącą wiatrem ciemność. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, ale to musiało być coś w rodzaju sabatu. Trzynastu mężczyzn stano w półkolu wokół stosu, ułożonego przed kamiennym ołtarzem, na którym leżał złamany krzyż naturalnej wielkości. Większość z tych mężczyzn, wnosząc z ich stroju i ozdób to wodzowie dzikich plemion. Kilku musiało przylecieć tutaj z południa... starzy byli, starzy, i na twarzach mieli wypisane takie zło, że ich widok w świetle ognia niemal strącił mnie na ziemię. Poza kręgiem światła, tak, że ledwo je mogłam widzieć, stały potwory. Och, jaka jestem zadowolona, że skryły się w ciemnościach, gdyż nawet to, co zobaczyłam będzie wracało do mnie po nocach. Tych trzynastu patrzyło na kamienny ołtarz, a na nim krwawiło... – Przetknęła ślinę i z wyraźnym trudem powiedziała – krwawiło ludzkie niemowlę, zarżnięte jak prosiak. I na szczycie tego ołtarza zbierała się ciemność, gęsta i wyższa od człowieka... Odwróciłam się i uciekłam. To było może godzinę temu. Nie mogłabym zmusić się do zejścia znowu na ziemię, nawet dla was, gdyby zimne wiatry nie wywiały ze mnie części tego przerażenia, które w sobie miałam.

Opadła na kolana i schowała twarz w dłoniach. Carahue pochylił się nad nią, ale go odepchnęła. Zbliżył się Hugi, położył dłoń na jej plecach i wziął ją za rękę. Alianora przytuliła się do niego. Oddech ze świstem przeciskał się między jej wargami.

Carahue podszedł do Holgera i powiedział ponuro:

– Więc prawdą jest to, co słyszałem na Huy Braseal i co od tamtej pory wciąż jest powtarzane przez ludzi. Chaos zbroi się do wojny.

Stał przez chwilę nieruchomo, cichy pomiędzy cieniami, potem poniósł nieco swój miecz i powiedział: – Gdy ostatnio przebywałem wśród ludzi, setki lat temu, zdarzyło mi się zawędrować w te strony. W tamtych czasach tutejsi ludzie też byli poganami, ale innymi niż teraz, czystszyimi. Nie czcili diabłów, ani nie jedli ludzkiego mięsa. Zostali zepsuci, żeby mogli być instrumentem w rękach wrogów człowieka. Ich wodzowie zostali przyjęci do ciemnego kręgu i teraz ci, którzy w tym kręgu

rządzą każą prowadzić plemiona przeciw mieszkańcom dolin. Może to dzisiejsze zgromadzenie było ostatnim spośród wielu. Kanibale zapewne od jutra zaczną się zwoływać.

– Też tak myślę – odpowiedział Holger machinalnie.

– Myślisz o wielu rzeczach, których nam nie mówisz – powiedział Carahue. Schował szablę do pochwy.

– Nieważne. Teraz bardziej nam potrzebny sen, niż rozmowa. O odpowiedź na pewne, nasuwające mi się pytania poproszę cię innym razem.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział Holger.

Spodziewał się, że w ogóle nie będzie mógł zasnąć. Zapadł jednak w nie dającą odpoczynku drzemkę, niespokojne, wypełnione majakami pół – uśpienie. Był zadowolony, gdy Hugi go obudził, żeby objął swoją wartę, a jeszcze bardziej ucieszył się z nadejścia dnia.

W pośpiechu zjedli śniadanie, osiodłali konie i ruszyli w dalszą drogę. Holger już ani razu nie spojrzął na przebłyskujące przez białe opary jezioro, a wkrótce zostawili je daleko za sobą. Powietrze wyraźnie się ochłodziło, pod ołowianym niebem wiatr gonił kłęby szarych chmur. Stok góry, po którym wjeżdżali stawał się coraz bardziej pusty, aż w końcu porastały go tylko kępki srebrzystej trawy. Szczyty przecinały wyszczerbionymi sylwetkami horyzont, na północy zdominowany przez bardzo stromą, gładką skarpe. Alianora powiedziała, że będą musieli się na nią wspiąć, żeby dostać się na płaskowyż. Pójdą przez przesmyk, który zauważyła z powietrza. Inne, łatwiejsze ścieżki leżały zbyt blisko wiosek dzikich tubylców, zaś w pobliżu tej drogi nikogo nie widziała.

Hugi zmarszczył nos i splunął.

Ano, nie dziwota, że dzicy stronią o tej okolicy – powiedział. – Z każdym krokiem silniej śmierdzi tu trollem. Ta skarpa musi być dziurawa jak sito od jego nor i tuneli.

Holger spojrzął z ukosa na zmartwioną twarz Alianory, jadącej między nim a Carahue.

– Dotychczas udało nam się pokonać całkiem niezłą menażerię – powiedział, mając nadzieję, że ją trochę rozweseli. – Wiedzmy, Faryzeuszy, smoka, olbrzyma, wilkołaka. Co dla nas znaczy jeszcze jakiś troll?

– Ja tam raczej ze wszystkimi dawnymi przeciwnikami zlanymi w jedno bym się wolał spotkać – powiedział Hugi ponuro – aniżeli z myśliwym z onego przesmyku. Ma się on do olbrzyma jak rosomak do niedźwiedzia. Nie tak wielki, ale zawzięty ponad miarę, sprytny i jeno zduszenie życia może go zadowolić. Wielu olbrzymów padło z ręki śmiertelnych, takim czy innym sposobem, mówi się jednak, że żaden rycerz nie wyszedł jeszcze zwycięzcą z wałki z trollem.

– No i co? – Carahue uniósł brwi. – Żelazo nie zadaje im bólu?

– Ano, żelazo pali ich, jak ciebie by palił czerwony od gorąca pogrzebacz. Jenó szybko byś się rozprawił z wrogiem, co taką walczy bronią, a i z otrzymanych ran szybko byś się wylizał. Trolle pokrewne są goblinom, wyjadającym zmarłych z grobów, i świętej aury się nie lękają, jeśli nie jest mocna. Twój krzyż nie wiele przeciw nim pomoże, chyba żeś święty. Więcej już mi o nich nie wiadomo, bo mało takich, co trolla widzieli wróciło, żeby o nim mówić.

– Stawne by to było dzieło, zabić któregoś z nich – powiedział Carahue, dając się ponieść rycerskiej ambicji. Ja raczej pozostanę nieznany, jeżeli zdołam, pomyślał Holger.

Z trudem jechali dalej. Było około południa, gdy, wyjechawszy ze skalistego wąwozu, zobaczyli ludożerców.

Nie było żadnego ostrzeżenia. Holger klnąc ściągnął wodze. Jego serce przez chwilę zabiło mocniej, potem strach ustąpił przed koniecznością podjęcia jakiegoś działania. Wyteżając wzrok, popatrzył przed siebie. Widział wszystkie szczegóły, wyraźnie i ostro jak w świetle błyskawicy.

Było ich może dwudziestu, truchtem nadbiegających z północy, w dół zbocza. Zauważyli go, gwałtownie skręcili i zaczęli szybko się zbliżać. Ich okrzyki brzmiały jak szczekanie psów.

Ich dowódca był wysoki, posepny, żółte włosy i brodę miał splecione w warkocze, twarz pomalowaną czerwone i błękitne pasy. Ponad jego głową wznosiły się rogi byka i ozdoby z piór, na ramionach powiewał krótki płaszcz ze skór borsuczych, biodra i uda pokryte były włochatym kiltem. W dłoniach trzymał wielki, stalowy topór.

Inni byli podobni. W ich rękach błyszcząły topory, miecze, włócznie. Jeden z nich miał na głowie zardzewiały hełm z zasłoną, zapewne zdarty z jakiegoś zamordowanego rycerza – upiorny widok przy jego nagim ciele; drugi dał w drewniany gwizdek, wplatając jego świst w wilcze głosy innych.

– Do tyłu! – wrzasnął Carahue. – Musimy uciekać!

– Nie mamy szans – powiedział Holger. – W takim terenie człowiek porusza się szybciej od konia. Poza tym musimy jak najszybciej dotrzeć do kościoła.

Cięnięta włócznia wylądowała kilka metrów przed nim. – Alianora, wnieś się w powietrze! – krzyknął.

– Nie – pokręciła głową. Na ślepo poszukała dłonią jego ręki.

– W ten sposób będziesz mogła skuteczniej walczyć – powiedział Carahue. Holger zapragnął, żeby również jego mózg działał tak sprawnie. Dziewczyna mruknęła potwierdzająco, wyszarpnęła stopy ze strzemion i zmieniła postać. Z łopotem skrzydeł łabędzica wzbiła się w górę.

Napastnicy stanęli jak wryci. Zawyli z trwogą, kilku przykryto oczy, kilku innych runęło na ziemię. – Allah akbar! – wybuchnął Carahue. – Przeraza ich magia. Bogu niech będą dzięki, chciałem powiedzieć.

Łabędzica zanurkowała. Wódz potrząsnął toporem w jej stronę, wyrwał łuk z rąk jednego z wojowników i wypuścił strzałę. Ptak skręcił w ostatnim momencie. Wódz zaczął wrzeszczeć na swych ludzi, chrapliwe rozkazy niosły się z wiatrem ku tym, których chciał pojmać. Kopniakami zmusił kilku przytulonych do ziemi, żeby się podnieśli i zapomnieli o strachu.

– Tak – Hugi ściągnął usta. – Ten pewnie do ciemnego kręgu należy i gorsze już oglądał czary. Zagrzewa innych, żeby się na nas rzucili.

– Nie czują się jednak zbyt pewni – powiedział Carahue niefrasobliwie, jakby siedział przy biesiadnym stole. Zdjął z pleców własny łuk, krótki, podwójnie wygięty. – Gdybyśmy im pokazali jeszcze jakąś sztuczkę, czy dwie... – Spojrzał na Holgera.

Duńczyk z rozpaczą pomyślał o sztuczках karcianych i zobaczył siebie zachęcającego wodza kanibali, żeby ten wybrał sobie jedną kartę, jakąkolwiek... Zaraz!

– Hugi – wydusił. – Skrzესaj mi ognia!

– A to ci na co?

– Do diabła z twoimi pytaniami. Ognia szybko!

Krasnolud wydobył krzesiwo z mieszka przy pasie. Holger w tym czasie nabił fajkę. Jego palce drżały. Zanim fajka na dobre się rozpałała, dzicy byli już straszliwie blisko. Holger widział bliznę na policzku jednego, kość osadzoną w nozdrzach innego, słyszał tupot nagich stóp o ziemię, niemal słyszał ich oddechy. Zaciągnął się mocno, wypełniając usta dymem.

Wydmuchnął.

Dzicy zahamowali z poślizgiem. Holger pykał aż oczy mu zasły łzami i zaczęło kapać z nosa. Wiatr, dzięki Bogu, przed chwilą zupełnie ucichł. Poprowadził Papillona kolanami, unosząc za głową opończę, żeby stworzyć ciemne tło dla dymu. Powoli pojechał ku wojownikom. Stali jak wmurowani. Niemał wszystkie usta były otwarte, oczy wytrzeszczone.

Pomachał rękami.

– Buuuu! – krzyknął.

Minutę później ostatni poganie zniknęli im z oczu. Zbocze było usiane porzuconą przez nich bronią. Tylko z wąwozu, do którego czmychnęli dobiegały jeszcze ich wrzaski. Ich wódz jednak pozostał, samotnic. Holger wyciągnął miecz. Wódz warknął i również uciekł. Carahue wypuścił za nim strzałę, ale nie trafił.

Alianora wylądowała, zmieniła się w dziewczynę, podbiegła do Holgera i ścisnęła jego nogę.

– Och. Holger. Holger! – zachłystywała się.

Carahue wypuścił łuk, żeby obiema rękami móc złapać się za boki, gdyż cała okolica zaczęła rozbrzmiewać echem jego śmiechu.

– Gniusz! – wiwatował. – Czysty geniusz! Rupert, kocham cię za to!

Holger uśmiechnął się słabo. Po prostu jeszcze raz sięgnął do literatury – tym razem do "Jankesa na dworze króla Artura" – ale nie było sensu im tego tłumaczyć. Wystarczyło, że zapożyczenie było skuteczne.

– Ruszajmy lepiej – powiedział. – Ich szef może jeszcze zdoła wbić im i wkopać odrobinę odwagi.

Alianora wskoczyła na siodło. Policzki jej się zaróżowiły i wyglądała już na dużo szczęśliwszą.

– Ano szybko z nich wyciekła odwaga – zauważył Hugi zrzędlawie. – Jeno, jak pomnę, zawsze się o nich mówiło, że to twardzi wojownicy. To dlaczego od odrobiny czarów tak stronią? A dlatego, że naogładali się ich ostatnio i to takich wrednych, że teraz do granicy wytrzymałości dochodzą.

Holger w pełni się z tym zgadzał. Wątpił, żeby banda znalazła się na jego drodze przypadkowo. Musieli dostać taki rozkaz od Morgan – pewnie po tym, jak dowiedziała się, że Rusel nie zdołała go u siebie zatrzymać. I teraz, po tej porażce, zapewne również nie zrezygnuje.

Carahue podprowadził bliżej swego konia.

– Wydaje mi się, że piękna pani zwróciła się do ciebie nieznanym mi imieniem – powiedział. Alimora zaczerwieniła się.

– N – nie – wyjąkała. – Musiałeś źle usłyszeć.

Carahue uniósł brwi. Był zbyt uprzejmy, żeby na głos zarzucać jej kłamstwo. Dziewczyna podjechała do niego tak blisko, że ich kolana się zetknęły.

– To taka wyczerpująca podróż – wymruczała. – Czy nie ubarwisz jej opowieścią o następnej ze swych przygód? Masz za sobą tyle wielkich czynów i opowiadasz u nich tak interesująco...

– Och, wiesz... No, dobrze! – Carahue uśmiechnął się podkręcił wąsa i zaczął opowiadać. Dziewczyna z szeroko otwartymi oczyma wsłuchiwała się w najbardziej nieprawdopodobne, chociaż gładko podane łągarstwa, z jakimi Holger dotychczas się zetknął. W końcu jednak nie mógł już znieść jej pełnych zachwyty achów i ochów. Gwałtownie szarpnął wodze Papillona i odjechał daleko na bok. Radość niedawnego zwycięstwa zupełnie z niego uleciała.

Wieczór zastał ich pod przesmykiem. Okazało się, że jest to prowadząca w górę szczelina w skarpie, wypełniona grubą warstwą skalnych odłamków. Wspinaczka na płaskowyż, która czekała ich następnego dnia prawdopodobnie będzie trwała całe godziny. Ale potem, powiedziała Alianora, zostanie im tylko kilka mil do celu i droga będzie już zupełnie łatwa.

Łatwa jak zejście do piekła, pomyślał Holger i zadrżał. Trzeźwo myślący inżynier stwierdziłby, że ich dotychczasowa wędrówka przypominała raczej przysłowiową drogę do nieba. Lecz świat inżyniera wydawał się być nieskończenie odległy, tak w przestrzeni, jak i w czasie – sen, który śnił mu się kiedyś, ale teraz, jak wszystkie sny, zacierał się w pamięci.

U podnóża skarpy znaleźli łąkę, jeśli ten skrawek niemal nagiej ziemi zasługiwał na to miano i rozbili obóz. W jego centrum wznosił się wysoki, kamienny monolit. Kiedyś mógł to być pogański menhir, ale potem w jakiejś pobliskiej jaskini zamieszkał ten troll, którego Hugi wywietrzył i przegonił stąd ludzi. Zapadła noc. Powrócił wiatr i z każdą godziną był coraz mocniejszy. Pomarańczowe płomienie kładły się na ziemi, iskry przecinały niebo jak meteory i równie szybko jak one gasły. Nad głowami królowała ciemność, z rzadka tylko rozjaśniana blaskiem księżyca, pędzącego między gigantycznymi chmurami. Noc była pełna świstów, szelestów i jęków.

Wszyscy byli zbyt wyczerpani, żeby zdobyć się na cokolwiek, poza przełknięciem kilku kęsów jedzenia i zawinięciem się w kocy. Hugi objął pierwszą wartę, Holger drugą. Była już głęboka noc. Dorzucił kilka drewno do ogniska, owinał się szczelnie opończą, szukając obrony przed chłodem i spojrzął na swych towarzyszy.

Blask ognia kładł się chybotliwie na ich nieruchomych sylwetkach. Carahue spał jak kot, w nocy równie spokojny i rozluźniony, jak w czasie dnia. Hugi owinał się w kokon z koca, z którego wystawał tylko jego donośnie pochrapujący nos. Oczy Holgera powędrowały ku Alianorze i na niej już pozostały. Koc zsunął się z niej, była niemal odkryta. Leżała na boku, z podkurczonymi nogami i ramionami skrzyżowanymi na małych piersiach. Jej twarz, widoczna poprzez płataninę włosów, przypominała twarz dziecka – ślepą od snu, dziwnie bezbronną. Holger przysunął się i otulił ją kocem. Uśmiechnęła się przez sen, gdy musnął wargami jej policzek.

Wstał z ciężkim sercem. Martwił się raczej o nią, niż o siebie. Jeżeli on zostanie wciągnięty w wir nadchodzącej wojny, to trudno, jakoś to zniesie, ale nieznośna była mu myśl, że wojna razem z nim porwie Alianorę. Nie wiadomo dokąd. Cóż jednak mógł na to poradzić? Co zrobić?

Uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

– Niech to diabli porwą. – Sam nie wiedział – przeklina, czy prosi.

– Holger.

Odwrócił się gwałtownie. Miecz wyskoczył z pochwy. Jednak zobaczył tylko mrok, odpychany przez chwiejny płomień ogniska. Szumiał wiatr, szeleściła sucha trawa, skądś dobiegło pohukiwanie sowy.

– Holger. Podbiegł do skraju ochronnego kręgu.

– Kto to? – spytał cicho, na przekór sobie.

Holger – mówił śpiewny głos. – Nic podnoś alarmu. Chcę rozmawiać tylko z tobą.

Serce zaczęło mu walić, miecz wypadł z dłoni, jakby nagle stał się dla niego zbyt ciężki. Morgan le Fay wyszła z ciemności.

Ogień barwił czerwienią jej sylwetkę, cienie tuliły się do ciała wewnątrz długiej, luźnej sukni. Światło dotknęło jej oczu, zapalając w nich małe płomyki.

– Czego chcesz? – wychrypiał Holger.

Jej wargi ułożyły się powoli w piękny uśmiech.

– Tylko porozmawiać z tobą. Chodź tu do mnie.

– Nie. – Potrząsnął gwałtownie głową, chcąc usunąć z niej otępienie. – Nic z tego. Nie zrobię kroku poza krąg.

– Nie musisz się bać. W każdym razie nie tych istot, które nie mogą zbliżyć się do waszych symboli. One są gdzie indziej, przygotowują się do walki. – Wzruszyła ramionami. – Ale rób jak chcesz.

– Czym wobec tego chcesz mnie teraz straszyć? – spytał. – Następnymi oddziałami kanibali?

– Ci, których dzisiaj spotkałeś dostali ode mnie rozkaz ujęcia cię żywcem, bez względu na straty. Zrobiłbyś najlepiej, oddając się w ich ręce. Przyprawdziliby cię do mnie, nie czyniąc ci żadnej krzywdy. – A moim przyjaciółom?

– Czymże ci znajomi od kilku tygodni są dla ciebie, Holgerze? Czemu tak ci na nich zależy? Pamiętaj, mój drogi, że grupa, którą dzisiaj rozpędziłeś, wróciła do głównych sił tego plemienia. Jej dowódca jest wściekły z powodu hańby, którą go okryłeś. Przy waszym następnym spotkaniu, ani ja, ani samo piekło nie może go powstrzymać od sięgnięcia po twoje życie. Jedyne zjedzenie twego serca może, zwrócić mu honor. Chodź ze mną, Holgerze, póki jeszcze możesz.

– Z tobą, która nauczyłaś tych biednych dzikusów jeść ludzkie mięso? Skrzywiła się.

– To nie ja. Pewni moi sprzymierzeńcy, to prawda, demony i ich prorocy, których Chaos użył, żeby zdobyć kontrolę nad mieszkańcami tych wzgórz... to oni zaczęli głosić nieczystą religię. Nie ma wśród nich takich, których ja bym czegoś uczyła. – Uśmiech powrócił na jej usta. – Ja wierzę w radość, w spełnienie, w życie pełną pierśią.. W to, czego ciebie kiedyś uczyłam i co chętnie znowu bym ci dała.

– Te obietnice już na mnie nie działają – powiedział. Popatrzył obok niej, w ciemność. Zdał sobie sprawę, że tym razem rzeczywiście powiedział to, co czuł. Nie pożałował już Morgan le Fay. Gdy wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń, ten dotyk mógł być dotykiem jakiegokolwiek kobiety. Atrakcyjnej, oczywiście, ale nic więcej.

– Nie jesteś najbardziej stałym w uczuciach człowiekiem na świecie – powiedziała, ciągle się uśmiechając. – Kiedyś zbuntowałeś się nawet przeciw swemu panu, samemu Karolowi. Nigdy nie miał bardziej zajadłego przeciwnika, aż wreszcie twa wielkoduszność zakończyła spór.

– I pojedналиśmy się, jak sądzę. – Wyjął dłoń z jej uścisku.

Morgan spojrzała na Alianorę. W jej westchnieniu był nieudawany smutek.

– Widzę, że teraz mają nad tobą władzę zaklęcia starsze niż moje. Ha, trudno. Jednak kiedyś było pięknie i nikt mi tego już nie odbierze.

– Moją przeszłość ty mi odebrałaś – powiedział z goryczą. – Zmieniłaś mnie z powrotem w dziecko i wysłałaś poza najdalsze granice mojego wszechświata. Mój powrót nie jest twoim dziełem. Wróciłem za sprawą czegoś innego, siły, której ani ty, ani ja nie rozumiemy.

– A więc dowiedziałaś się już tyle – odpowiedziała. – Czy chcesz wiedzieć jeszcze więcej? Mogę ci zwrócić te stracone wspomnienia.

– Za jaką cenę? Tę samą, której chciałaś ostatnim razem?

– Niższą. Nie musisz nawet zdradzać swoich przyjaciół. Mogę dopilnować, żeby im również nie stało się nic złego. Natomiast twoje obecne postępowanie prowadzi ich prosto do zguby. Podziela ją z tobą.

– Dlaczego miałbym ci teraz wierzyć?

– Pozwól mi przywrócić ci pamięć. Wyjdź z kręgu, żebym mogła użyć czaru, który rozproszy w tobie mrok. Wtedy przypomnisz sobie, jakie wiążą mnie przysięgi.

Spojrzał na nią. Stała, wysoka i jasna. Jedyłą ciemną plamą były włosy, spływające kaskadą spod korony. Jednak czuł, że pod maską pozornego spokoju była napięta jak struna, która za chwilę ma pęknąć. Pełne usta zacisnęły się w kreskę, nozdrza rozszerzyły, ogień, odbity w jej oczach płonął gorączką. Jej dłonie powoli zwinęły się w pięści.

Dlaczego najpotężniejsza czarownica na świecie miałaby się go bać?

Zastanawiał się nad tym stojąc nieruchomo w tę wietrzną noc, mając sen u stóp i ciemność nad głową. Dysponowała wielką mocą, tak, i użyła jej przeciwko niemu; jednak w nim również była siła, inna, przeciwstawiająca się tamtej. Ta siła teraz powiedziała: "Dotąd i ani kroku dalej". Cała ta magia, której próbowali, na Avalonie, w Faerie, na ziemiach ludzi śmiertelnych, nie zdołała go zatrzymać. Teraz, dzięki pewnym szarym oczom i kasztanowym lokom nawet fizyczne piękno Morgan nie miało nad nim władzy. Królowa nie posiadała już w swym repertuarze zaklęć, które mogły go powstrzymać.

Oczywiście dla czegoś, co nie zostało przywołane przez nią, lecz było ponadnaturalne samo przez się – albo dla kawałka normalnej, ostrej stali – w dalszym ciągu był zwykłym śmiertelnikiem.

– W moim świecie – powiedział w zamyśleniu – ty jesteś mitem. Nigdy nie przypuszczałem, że przyjdzie mi walczyć z kimś takim.

– To nie był twój świat – powiedziała. – Ty również jesteś tam legendą. To jest twoje właściwe miejsce, tutaj, ze mną.

Potrząsnął głową.

– Sądzę, że oba te światy są moje – odpowiedział pewnym głosem. – Mam swoje miejsce i tam, i tu. Mimo wszystko narastało w nim podniecenie. Był zbyt zajęty, żeby wcześniej dojść do zupełnie oczywistego wniosku – że on sam był postacią z kręgu karolińsko – arturiańskiego. Kiedyś, w tym innym kosmosie (jakże odległym od tej nocy i tej kobiety!) mógł nawet czytać o swych własnych czynach.

Jednak nawet jeśli tak było, pomyślał posępnie, zostało to schowane pod płaszczem zapomnienia. Jego imię mogło być powszechnie znane, być może był bohaterem własnego dzieciństwa, jednak, zaklęcie Morgan nadal skuwało jego pamięć. Przejście do tego wszechświata zatarło wszelkie opowieści, jakie mógł słyszeć o... o trzech sercach i trzech lwach.

– Wydaje mi się, że przynajmniej tyle zyskałeś, iż jesteś w świecie, który bardziej przypada ci do gustu – powiedziała Morgan. – Strzeż się, gdyż możesz zabłądzić z powrotem do tego drugiego. – Zrobiła krok w jego stronę, stając tak, że niemal się dotykali. – Tak, rzeczywiście w obu światach trwa wielkie poruszenie, a ty jesteś punktem centralnym i tu, i tam. Przynajmniej tyle mogę ci powiedzieć. Jednak jeżeli będziesz realizował ten zwariowany plan, posługując się siłami, o których nic nie wiesz, najprawdopodobniej poniesiesz klęskę i umrzesz. A jeśli przez przypadek ci się uda, będziesz gorzko tego żałował. Zrzuć z siebie ten ciężar, Holger, i zostań ze mną, szczęśliwy na zawsze. Jeszcze ciągle jest czas! Uśmiechnął się.

– Nie starałabyś się tak usilnie namówić mnie do rezygnacji, gdyby moje szanse na zwycięstwo nie były większe, niż chcesz przyznać – powiedział. – Przypuszczam, że wiesz dokąd teraz zmierzam. Zrobiłaś, co w twojej mocy, żeby mnie zmylić, schwytać, okaleczyć. Następnym razem bez wątpienia będziesz starała się mnie zabić. Ale mam zamiar iść dalej tą samą drogą.

Co za górnolotne słowa, zakpił z siebie. Ktoś mógłby pomyśleć, że rzeczywiście tak uważam.

Poczuł nagły przyływ zmęczenia. Wiedział, że w rzeczywistości pragnie jedynie spokoju. I końca tego błędzenia w ciemności. I miejsca, w którym wraz z Alianorą mógłby się ukryć przed wszystkimi światami i ich okrucieństwami. A nie mógł pozwolić sobie nawet na chwilę odpoczynku. Było zbyt wielu innych, którzy zostaliby zdeptani w tym samym momencie, w którym on odsunąłby się na bok.

Morgan patrzyła na niego przez dłuższą chwilę. Wiatr jęczał wokół nich.

– To wszystko jest dziełem przeznaczenia – powiedziała w końcu ciężko. – Tak, widzę, że nawet Carahue powrócił. Wielki Tkacz zaczyna układać części wzoru w całość. Nie bądź jednak nadmiernie pewny, że uda mu się dokończyć tego dzieła.

Nagle w jej oczach zabłyśły łzy. Przysunęła się i pocałowała go lekko, zaledwie musnęła ustami jego usta, jednak rzadko zdarzało mu się doświadczać większej czułości.

– Żegnaj, Holgerze – powiedziała. Odwróciła się i wtopiła w ciemność.

Stał nieruchomo, drżąc z zimna. Może powinien zawołać pozostałych? Nie, niech śpią, pomyślał. Nie miał ochoty rozmawiać o tym, co się zdarzyło. Nic im do tego.

Czas płynął. Nocne hałasy przybrały na sile. Otrząsnął się z zadumy i spojrzał w górę, żeby z położenia księżyca zorientować się, czy jego warta dobiegła końca. Niebo było kałamarzem pełnym chmur.

Nieważne. Równie dobrze może stać na warcie do rana. I tak nie mógłby zasnąć po tym, co się stało. Nie wspominał nawet o hałasach. Wiatr zmienił się w prawdziwą wichurę, kamienie grzechotały, zadzwieczał metal...

Hej! Wódz kanibali wskoczył w krąg światła. Za nim błyszczały groty włóczni. Musiało być ich ze stu, może nawet więcej, przyczaili się w przesmyku, a teraz Morgan wysłała ich na dół, żeby...

– Obudźcie się! Wstawać, mamy gości!

Hugi, Alianora i Carahue zerwali się na równe nogi. Saracen wyszarpnął szablę z pochwy, podbiegł do swego konia i zerwał jego wodze z kołka. Alianora wskoczyła na swego wierzchowca. Dwaj dzicy wrzasnęli tryumfalnie i rzucili się ku niej. Jeden zamierzył się włócznią. Hugi wpadł między jego nogi, mały, brązowy huragan. Przewrócili się obaj. Holger runął na drugiego. Jego miecz

uniósł się i opadł. Czaszka pękła z ohydny trzaskiem.

Gdy ciało waliło się na niego, odepchnął je tak silnie, że przewrócił kogoś przed sobą. Grot włóczni zazgrzytał na jego kolczudze. Zobaczył przed sobą wodza i machnął na oślep w stronę jego twarzy. Wyszczерzyły się ku niemu dwa rzędy zębów, ledwo widocznych w świetle ogniska. Na jego szyi zamknęły się czyjeś dłonie. Kopnął do tyłu, robiąc okrutny użytek ze swych ostróg. Dzikus jęknął przeraźliwie i puścił.

Holger cofał się, aż poczuł za plecami menhir. Wysoki wojownik z wymalowanym na brzuchu smokiem rzucił się do ataku. Holger ciął poziomo i głowa stoczyła się z ramion. Jednak coraz bardziej zaciskał się wokół niego pierścień innych napastników. Ponad ich piórami i rogami Holger zobaczył jak Carahue, siedząc na koniu, tnie w dół swoją szablą. Papillon kopał gryzł, tratował, grzywa i ogon powiewały jak czarne płomienie.

Ktoś podniósł się z ziemi, brzuch w brzuch z Holgerem. Prześliznął się pod zasłoną Duńczyka. Sztylet w jego dłoni skoczył w górę. Holger zdołał przyjąć cios na lewe ramię. Pod ludożercą pojawił się Hugi, chwycił go za kolana i szarpnął. Człowiek i krasnolud potoczyli się, charcząc, po trawie.

Wódz stał tuż za plecami tego, który upadł. Jego topór uderzył w hełm Holgera jak piorun. Holger zachwiał się. "Wielki Boże, święty Jerzy", usłyszał swój jęk. Wódz zaśmiał się i znowu uderzył. Holgerowi w jakiś sposób udawało się odbijać ciosy. Większość z nich. Pozostałe z hukiem waliły w jego hełm i kolczugę. Zaczął zataczać się. Obok wodza stanęło jeszcze dwóch jego ludzi.

Za ich plecami pojawił się Carahue. Jego szabla świsnęła w powietrzu. Jeden z pogan chwycił się za ramię, patrząc z bezbrzeżnym zdumieniem, jak zostaje mu ono w ściskającej je dłoni. Holger ciął nisko i drugi z napastników wycofał się, mocno kulejąc. Wódz odwrócił się i natarł na Saracena. Zaczęli krążyć wokół siebie, ze szczękiem metalu parując swoje ciosy i obrzucając się przekleństwami.

Koń Alianory kwiknął z bólu i zwałił się na ziemię. Biała łabędzica uniosła się w powietrze i chwilę później zanurkowała, mierząc dziobem w oczy wrogów. Holger wstrzymał oddech. Ktoś wyszczekał rozkaz i koło Holgera z furkotem przeleciały ciśnięte włócznie. Zapominając, że jest ranny i wyczerpany, Duńczyk runął do ataku. Jego miecz pracował jak kosa. Papillon stanął dęba, nadnaturalnie wielki. Przednimi kopytami rozłupywał czaszki, rzeniem zagłuszał wojenne okrzyki. Człowiek i koń rozgonili grupę, rzucającą włócznie i wrócili do kamienia.

Hugi wygrzebał się spod bezwładnego ciała swego przeciwnika, otrzepał ręce i dołączył do nich. Tuż obok wylądowała Alianora i z powrotem zmieniła się w kobietę. Chwilę później przycwałował Carahue. Holger włożył stopę w strzemień i wskoczył na Papillona. Kopniakiem w zęby odgonił jakiegoś dzikiego, który próbował go ściągnąć na ziemię. Schylił się, odczepił tarczę i założył ją na ramię. Rękę, trzymającą miecz wyciągnął ku Alianorze. Dziewczyna chwyciła ją i po chwili już siedziała za Holgerem. Carahue w podobny sposób wciągnął Hugiego. Rycerze spojrzeli na siebie, skinęli głowami i ruszyli do bitwy.

Przez kilka następnych minut cięli, rąbali, kłuli. A potem nagle wokół nich zrobiło się pusto. Przeciwnicy zrejterowali. Holger i Carahue wrócili pod menhir, dysząc ciężko. Ich miecze spływały czerwienią. Krew plamiła ubrania, ręce, twarze. Blask ognia odbijał się w krzepnących kałużach. Wszędzie leżały ciała, niektóre jeszcze poruszały się, jęczały... Ludożercy skupili się w posępną gromadę na skraju pola widzenia, jedynie ich broń błyszczała wyraźnie. Holger zobaczył wodza, bez

dumnego nakrycia głowy i ze zdartym częściowo skalpem, który podnosił się ciężko z ziemi, żeby za chwilę pośpiesznie pokuśtykać do swoich ludzi.

Carahue błysnął zębami w uśmiechu.

– Godna, godna walka! – wysapał. – Na rękę Proroka... Proroka Jezusa... Sir Rupercie, myślałem, że tylko jeden człowiek na świecie potrafi walczyć tak, jak ty walczyłeś!

– Ty sam niemało pokazałeś – powiedział Holger. – Wolałbym jednak, żeby ci się udało wykończyć tego ich dowódcę. Za chwilę zmusi ich do następnego ataku.

– Strzałami z nami skończą – zadeklarował Hugi. – Gdyby choćby odrobinę oleju mieli we łbach, już byśmy tu leżeli, jeże udając.

Holger odwrócił się, żeby spojrzeć na Alianorę. Z jej lewego ramienia ściekała strużka krwi. Serce zamarło w nim z przerażenia.

– Jesteś ranna? – Głos załamał mu się w falset.

– Nie, nic poważnego. – Uśmiechnęła się drżącymi wargami. – To tylko strzała. Ugodziła mnie w skrzydło.

Przypatrzył się ranie. W normalnych warunkach powiedziałby, że skaleczenie jest paskudne, ale biorąc pod uwagę obecne okoliczności, rzeczywiście nie było poważne. Poczul ogromną, obezwładniającą ulgę.

– Zbuduję kaplicę... świętemu Sebastianowi... w podzięce – wyszeptał. Ręka Alianory otoczyły go w talii.

– Masz lepszy sposób na okazanie zadowolenia – powiedziała cicho, tuż przy jego uchu. Carahue przerwał im szorstko:

– Niczego nie będziemy w stanie zbudować, jeśli zaraz stąd nie uciekniemy. Jeżeli szybko ruszymy w dół, Rupercie, może zdołamy wymknąć się pościgowi.

W jednej chwili słabość opuściła Holgera.

– Nie – powiedział. – To jest jedyna droga, którą możemy dojść do Świętego Grimmina. Inne przejścia, nawet gdyby udało nam się je odnaleźć, są z pewnością strzeżone jeszcze mocniej. Musimy iść tędy. – Prosto w ich ramiona? – krzyknął Saracen. – Mamy wspinać się na to osypisko, po ciemku, atakowani przez stu wojowników? Coś ci się chyba w głowie pomieszało.

– Możesz uciekać, jeśli taka twa wola – powiedział Holger lodowatym głosem. – Ja muszę jeszcze tej nocy dotrzeć do kościoła.

Hugi spojrział na niego nieruchomym wzrokiem, tak uważnie, że Holger nagle poczuł się nieswojo. – No, co cię gryzie? – warknął. – W tym przesmyku prawdopodobnie umrzemy. Wiem to. Uciekaj razem z Carahue. Pójdę sam.

– Nie.

Zapadła cisza, w której Holger wyraźnie słyszał bicie swego serca.

W końcu krasnolud odezwał się, powoli i chrapliwie:

– Jako że ci padło na mózg honorowego durnia z siebie robić, ja choć trochę muszę złagodzić skutki twojej głupoty. Dobrze ci wiadomo, że przez ten przesmyk nie sposób nam się przebić. Jest

jednak inna droga na górę i nikt tam za nami nie polezie. Mogę wyniuchać wejście do jamy trolla, a nos mi mówi, że to niezbyt daleko. Pewnikiem niejeden tam korytarz ponad skały wiedzie i możemy mieć nadzieję, że sam troll gdzieś wylazł, albo śpi, albo poszedł głęboko i nic się o nas nie dowie. Mała to szansa, jednak widzi mi się, że innej nie mamy. No i co powiesz? Aż tak bardzo chcesz do tego nawiedzonego kościoła się dostać?

Holger usłyszał nerwowe westchnienie za swoimi plecami.

– Carahue – powiedział – weź Alianorę i postaraj się doprowadzić ją w bezpieczne miejsce. Hugi i ja musimy iść do siedziby trolla...

Dziewczyna chwyciła go za pas.

– Nie – powiedziała gniewnie – nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Ja również idę.

– I ja – dodał Carchue, przełknąwszy ślinę. – Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się unikać przygody.

– Durnie! – parsknął Hugi. – Wasze kości bieleć w onej jamie będą, aż w proch się rozsypią. Nie pierwsicie z rycerzy, co zginęli, co tyle w sobie dumy mieli, że na rozum już miejsca nie stało. I żal mi jeno, że dziewczyna wraz z wami może tam swój koniec znaleźć. No, do galopu się szykujcie!

Carahue pojechał pierwszy, z Hugim jako przewodnikiem. Przez chwilę Holger widział czerwone i błękitne wstążki, wplecione w powiewający ogon klaczy. Potem między jego kolanami naprężyły się mięśnie Papillona.

Kierując się na wschód wzdłuż skarpy, musieli przejechać obok przyczajonych ludożerców. Słyszeli narastające wycie. Holger zauważył włócznię, nadlatującą z lewej strony. Gdy w jej grocie odbita się ta resztką światła, która tu docierała, zobaczył, że zmienia ona kierunek lotu i tukiem spada wprost na niego. Podniósł tarczę. Włócznia odbiła się od niej. Chwilę później w drewnianą ramę zagłębiły się trzy strzały.

Holger zanurzył się w ciemności. Biała klacz i luźne, białe szaty jeźdźca były tylko plamą, ledwo widoczną wśród cieni. Papillon potknął się. Iskry trysnęły z miejsca, w którym podkowa ześliznęła się z krzemienia. Zwierzęta zwolniły, przeszły w nierówny kłus. Z boków i w górze była tylko czerń. Holger nie wiedział – wyobraźnia czy zmysły mówiły mu o skałach z lewej strony. Czuł ich ciężar, wiszący nad głową, przygniatający go tak, jakby już był pod nim pogrzebany.

Spojrzał do tyłu i jego wzrok padł na wodza ludożerców. Posepny mężczyzna w borsucznych skórach chwycił polano z ogniska i wywijał nim nad głową, aż rozkwitłe płomienie oblekły go w czerwoną i żółtą jasność. Z okrzykiem, skierowanym do swoich wojowników, podniósł w górę topór i ruszył w pościg.

Wkrótce dogonił niepewnie stąpające konie. Holger kątem oka zauważył, że inni wprawdzie biegną za nim, jednak bez specjalnego zapału. Skupił uwagę na wodzu, zbliżającym się z lewej strony, tej, z której miecz nie mógł go dosięgnąć. Wódz podbiegł do Papillona i zamachnął się toporem, mierząc w pęcinę. Ogier odskoczył, niemal zrzucając swoich jeźdźców. Holger okręcił go, zwracając się twarzą do napastnika.

Za chwilę będzie tu cała reszta i znajdziemy się w pułapce, uświadomił sobie. – Alianora, trzymaj się! – krzyknął.

Wychylił się daleko do przodu, chcąc ugodzić przeciwnika. Jego cios został sparowany ostrzem topora. Ludożerca, zwinniejszy od każdego wierzchowca, cofnął się nieco. Wymalowana twarz z brodą zaplecioną w warkocze wykrzywiła się szyderczo.

Jednak pochodnia, trzymana przez wodza w lewej dłoni pozostawała w zasięgu miecza. Holger uderzył w nią, kierując płomień ku odsłoniętej piersi kanibala. Dzikus wrzasnął z bólu. Zanim przyszedł do siebie, Holger był już dostatecznie blisko, żeby zadać następny cios. Tym razem stał trafiła w żywe ciało. Wódz zachwiał się i upadł.

Ty biedny, dzielny sukinsynu, pomyślał Holger. Spiął Papillona ostrogami i ruszył za Carahue. Walka trwała zaledwie kilka sekund.

Jechali naprzód poprzez wszechogarniającą ciemność. Ludożercy biegli ich śladem, nie odważając się jednak na atak. Jedynie od czasu do czasu świsnęła strzała, a w powietrzu rozbrzmiewały okrzyki i wycie.

– Zaraz się pozbierają i ruszą do ataku – krzyknął Carahue przez ramię. – Nie wydaje mi się – powiedziała Alianora. – Nic nie czujesz

Holger pociągnął nosem. Wiatr wiał mu niemal prosto w twarz. Słyszał jego zawodzenie, czuł, że jest bardzo zimny. że rozwiewa mu opończę i targa pióropusz na hełmie. Ale nic ponadto.

– Uch! – powiedział Carahue chwilę później. – Czy to właśnie ten smród.

Ktoś przeraźliwie zawył w ciemnościach za nimi. Nos Holgera, stępiony tytoniem, był ostatnim, który zareagował na nasilający się odór. W tym czasie ludożercy rezygnowali już z pościgu. Niewątpliwie mieli zamiar pozostać w pobliżu, by się upewnić, że ich wrogowie nie umkną cichcem następnego ranka, ale nie chcieli iść już ani kroku dalej.

Jeżeli zapach może być określony jako gęsty i zimny, to tak właśnie należy opisać smród trolla. Gdy znaleźli się przy wejściu do jaskini. Holger poczuł wielką ochotę żeby zatkać sobie nos.

Zatrzymali się. Alianora zeskoczyła na ziemię.

– Musimy znaleźć coś, czym moglibyśmy oświetlić drogę – powiedziała. – Czuję pod stopami suche gałązki, pewnie wypadły z naręczy, które troll znosił, gdy urządzał legowisko.

Zebrała wiązkę chrustu, na którą Hugi skrzesał ogień. Gdy pojawił się płomień, Holger zobaczył może trzymetrowej średnicy otwór w ścianie skarpy, wiodący w kompletne ciemności.

Również on i Carahue zsiadli z koni. Podali wodze Alinorze, żeby prowadziła oba wierzchowce. Wyszli na czoło, Hugi z pochodnią stanął krok za nimi.

– No, ruszamy. – Język Holgera był zupełnie suchy.

– Chciałabym, żebyśmy jeszcze kiedyś zobaczyli gwiazdy – powiedziała Alianora, wiatr rozwiał jej słowa. Hugi ujął jej dłoń i ścisnął.

– Och, a jeżeli nawet spotkalibyśmy tego trolla – powiedział Carahue. – Nasze miecze posiekają go na kawałki. Zdaje mi się, że przestraszyliśmy się opowieści babuni.

Podszedł energicznie do wejścia i przekroczył je.

Holger ruszył za nim. Miecz, który trzymał w prawej dłoni i tarcza na lewym ramieniu były nienaturalnie ciężkie. Czuł ściekające po plecach strużki potu, świerzbienie w miejscach, których nie mógł podrapać, tępy ból po otrzymanych ciosach. Powietrze w jaskini przesycone było odorem trolla, wymieszanym z duszącym smrodem gnijącego mięsa. Płomień pochodni tańczył, przygasał, tu znów wybuchał jasnością, cienie skakały po nierównych ścianach. Holger mógłby przysiąc, że widzi na nich kamienne twarze, rozdziawiające ku niemu bezzębne usta. Grunt pod stopami usłany był skalnymi okruchami, o które co chwila obijał sobie palce i ogryzionymi do czysta zwierzęcymi kośćmi. Alianora przezornie wybierała spośród nich kawałki drewna i suche gałązki. Słyszeli tylko wyraźne, ostre człapanie końskich podków, wracające do nich głuchym echem.

W przeciwległej ścianie jaskini wykopany był tunel. wysoki na trzy metry i niewiele szerszy – Holger i Carahue musieli w nim iść znacznie bliżej siebie. Holger starał się nie zastanawia, czy troll wygrzebał go gołymi rękami. Raz czy dwa kopnął przypadkiem kostne odłamki, pochodzące wyraźnie ludzkich czaszek. Gdy tunel opadł kilka razy, jego wycucie kierunku zawiodło całkowicie i nagle Holger wiedział, że idą w dół, drogą bez końca, aż do trzewi ziemi. Siłą woli powstrzymywał się od wrzasku.

Tunel doprowadził ich do nieco większej jaskini. Na wprost nich ziały trzy następne dziury. Hugi wyprzedził Holgera i Carahue, gestem nakazując im pozostanie w miejscu. Światłu pochodni uwydatniało rysy jego twarzy, wielki cień wyglądał jak czarny. groteskowy otwór, gotowy lada

chwila się na niego rzucić.

Przyjrzał się uważnie płomieniowi, który stał się żółty i dymił, potem poślinił palec, wyciągając go i obracając we wszystkie strony, wreszcie ukląkł i obwąchał ziemię. W końcu spojrział na tunel z lewej strony.

– Ten – mruknął.

– Nie – powiedział Holger. – Nie widzisz, że w tym kierunku podłoga opada:

– Nie, nie opada. I nie rób tyle hałasu.

– Chyba zwariowałeś! – zaperzył się Holger. – Każdy głupi...

Hugi popatrzył na niego spod krzaczastych brwi.

– Każdy głupi może zrobić, co mu się spodoba – powiedział. – A może i masz rację. Głowy nie dam. Jenó moje zdanie jest takie, że dobra droga wiedzie przez ten tunel, a wiem o podziemiach trochę więcej niż ty. To co, pójdziecie jak radzę?

Holger przetknął ślinę.

– Dobrze – powiedział. – Przepraszam. Prowadź. Hugi uśmiechnął się lekko.

– Dobry chłopiec.

Podreptał do wybranego przez siebie tunelu. Pozostali poszli za nim.

Wkrótce tunel wyraźnie zaczął prowadzić w górę. Holger nie powiedział ani słowa, gdy Hugi minął kilka bocznych korytarzy, nie zaszczycając ich nawet jednym spojrzeniem. Jednak gdy powtórnie stanęli przed takim samym, jak poprzednie, potrójnym rozgałęzieniem, krasnolud wahał się przez kilka minut. W końcu, zatroskany powiedział:

– Wszystko wskazuje, że możemy iść tym w środku. Jenó widzi mi się, że smród trolla najsilniej stąd dochodzi.

– Potrafisz w ogóle wyczuć jakąś różnicę? – spytał Carahue, krzywiąc się.

– Pewnie tam jest jego legowisko – szepnęła Alianora. Któryś z koni parsknął. W ciasnej, akustycznej przestrzeni zabrzmiało to jak wystrzał. – Nie mógłbyś znaleźć jakiejś innej, okrężnej drogi?

– Może i mógłbym – odpowiedział Hugi niepewnie. – Jenó sporo czasu by na tym zeszło. – A musimy jak najszybciej dotrzeć do kościoła – dodał Holger.

– Dlaczego? – spytał Carahue. – Teraz to nie jest ważne – powiedział Holger. – Po prostu uwierz mi na słowo, dobrze? Jakkolwiek Saracen udowodnił, że jest godny zaufania, nie było to odpowiednie miejsce na postój i wyjaśnianie skomplikowanej prawdy. Było zupełnie oczywiste, że miecz Cortana miał podstawowe znaczenie. Gdyby gra szła o pietruszkę, wrogowie tak usilnie nie staraliby się uniemożliwić mu dojście do niego.

Morgan bez trudności mogła dotrzeć do kościoła szybciej niż on. Jednak nic by jej to nie dało – nie mogłaby przenieść miecza w inne miejsce. Zapewne był za ciężki, żeby mogła poradzić sobie z nim w naturalny sposób, a zbyt święty i chroniony przez błogosławieństwa, żeby działały nań jej czary. Potrzebowałyby pomocy innych ludzi, takiej, jaką miała, gdy Cortana został ukradziony. Jednak wszystko wskazywało na to, że poganie czuli zbyt wielki strach przed kościołem Świętego Grimmina, żeby do niego podejść, nawet gdyby im wydała taki rozkaz. Jej własne oddziały,

pochodzące z innych rejonów świata, były zajęte przygotowaniem do wojny z Imperium.

Gdyby jednak miała wystarczająco dużo czasu, na pewno by kogoś znalazła. Lub... co bardziej prawdopodobne... mogła wezwać Moce, które z łatwością poradziłyby sobie z Holgerem, zanim zdołałby dotrzeć do kościoła. Miał dotychczas więcej szczęścia, niż zasługiwał. Wiedział aż nadto dobrze, że nie byłby w stanie wyrwać się z łap jej najsilniejszych sprzymierzeńców. Tylko święty mógłby tego dokonać, a jemu sporo jeszcze do Świętości brakowało.

C.B.D.O. : musiał się maksymalnie śpieszyć.

Carahue przez chwilę patrzył na niego ponurym wzrokiem, potem powiedział:

– Jak sobie życzysz, przyjacielu. Idźmy więc najkrótszą drogą.

Hugi wzruszył ramionami i ruszył naprzód. Tunel wyginał się, wiódł w górę, potem w dół, i znowu w górę, zakręcał, rozszerzał się i zwężał. Ich kroki brzmiały jak uderzenie bębna. Tutaj, tutaj, tu jesteście, trollu tutaj, tutaj, tu jesteście.

Gdy korytarz stał się tak wąski, że niemal ocierali sobie ramiona o ściany, Holger znalazł się za Hugim. Za plecami miał Carahue, który z kolei szedł tuż przed prowadzącą konie Alianorą. Nie widział nic, poza mrokiem, barwionym czerwienią przez filujący płomień pochodni. Usłyszał przyciszony głos Carahue:

– Najcięższym z moich grzechów jest to, że tak słodkiej dziewczynie pozwoliłem znaleźć się w tak cuchnącym miejscu. Bóg nigdy mi tego nie wybaczy.

– Ale ja tak – szepnęła Alianora.

Saracen zaśmiał się.

– Ha! To wystarczy! A poza tym, moja pani, komu potrzebne jest słońce, czy księżyc, czy gwiazdy, jeżeli ty jesteś obok?

– Nie, proszę cię, nie możemy rozmawiać, robimy za dużo hałasu.

– A więc zadowolę się myślami. Myślami o piękni, wdzięku, łagodności i dobroci, słowem, myślami o Alianorze.

– Och, Carahue...

Holger zagryzł wargi aż do bólu.

– Cicho tam z tyłu – sapnęła Hugi. – Do samego legowiska dochodzimy.

Korytarz urwał się. Pochodnia oświetlała zaledwie niewielką część jaskini, w której się znaleźli. Gdy płomień rozgorzał nieco jaśniej, Holger miał wrażenie, że widzi ściany wznoszące się łukiem i ginące w ruchomej ciemności. Na podłodze leżała gruba warstwa gałęzi. Liści, na wpół zgniłej słomy i kości wszędzie ogryzione kości. Nad tym wszystkim przemożny, obeszwałniający odór śmierci.

– Cicho, mówię! – rozkazał Hugi. – Myślicie, że mnie się tu podoba. Musim tędy przejść miękko jak koty. Wyjścia pewno są po tamtej stronie.

Śmiecie trzeszczały pod stopami, z każdym krokiem głośniejsze. Holger chwiał się, stąpając po tym grubym, niepewnym dywanie. Potknął się o pień drzewa. Gałąź drasnęła jego policzek, jakby mierząc w oczy. Nadepnął na ludzki kręgosłup z resztkami żeber, który rozpadł się pod jego stopą. Słyszał, jak konie zapadają się pod własnym ciężarem, potykają i parskają z oburzeniem.

Pochodnia strzeliła jaśniejszym płomieniem. W tej samej chwili Holger poczuł chłodniejszy powiew.

– Wcaleśmy nie tak daleko od wyjścia. Ho! – powiedział Hugi. – Ho – odpowiedziało echo. – Ho – o – o. Spod sterty martwych liści wygrzebał się troll.

Alianora wrzasnęła. Holger zdążył pomyśleć, że nigdy dotąd nie słyszał w jej głosie prawdziwego strachu.

– Boże, miej litość – szepnął Carahue.

Hugi przykucnął i zawarczał. Holger upuścił miecz, nachylił się, żeby go podnieść i znowu upuścił, gdyż jego dłonie nagle stały się mokre od potu.

Troll podszedł bliżej, powłócząc nogami. Miał dwa i pół metra wysokości, może więcej. Trudno to było określić, gdyż był mocno zgarbiony, ramiona zwisały aż do ziemi, wlokąc się obok grubych, uzbrojonych w pazury stóp. Bezwłosa, zielona skóra poruszała się na całym ciele, jakby była zbyt luźna. Jego głowa – szeroka szrama ust, metrowej długości nos i para oczu, które były czarnymi studniami, bez źrenic czy białkówek, oczu, pijących niepewne światło pochodni i nie oddających ani jednego błysku.

– Ho – o – o – troll uśmiechnął się kretyńsko i wyciągnął łapę.

Carahue krzyknął. Błysnęła szabla. Uderzyła z młaśnięciem. Z rany uniósł się dym. Głupkowaty uśmiech trolla nie zmienił się na jotę. Sięgnął ku Saracenowi drugą łapą. Holger podniósł miecz i zaatakował ją.

Troll uderzył go na odlew. Holger przyjął uderzenie na tarczę. Drewno pękło, Duńczyk przewrócił się na stos przegniłych liści na podłodze. Przez chwilę leżał bez ruchu, starając się złapać oddech. Klacz Carahue kwiczała przeraźliwie, szarpała się i wierzgała. Alianora zawisła na jej wodzach. Tyle Holger zdążył zobaczyć, zanim znowu podniósł się na nogi. Potem jego wzrok powędrował ku Carahue.

Saracen tańczył na legowisku trolla: W jakiś nieprawdopodobny sposób był w stanie utrzymywać równowagę na tak niepewnym podłożu. Nurkował, uchylał się, uskakiwał przed każdym niezdarnym ciosem potwora, przed każdą próbą schwytania go, a jego szabla nie spoczęła ani na chwilę. Holger słyszał jej nieustanny świst, widział tylko rozmazaną smugę, zza której w uśmiechu błyszczały zęby Maura. Każdy cios wchodził głęboko w zielone cielsko. Lecz troll jedynie chrząkał. Carahue, zimno i z wyrachowaniem, starał się jak najczęściej uderzać w jego prawe ramię, ponad nadgarstkiem.

Aż w końcu któryś z kolei cios odciął tę rękę.

– Następny! – Carahue roześmiał się radośnie. – Poświeć nam trochę. Hugi!

Krasnolud wetknął pochodnię między dwie sterczące w górę gałęzie i zaczął pomagać Aliyorze w opanowaniu białej klaczy. Papillon krążył wokół, wypatrując szansy dla siebie.

Dostrzegł ją, gdy troll lewą ręką zamachnął się na Carahue. Skoczył na potwora z tyłu. Kopyta uderzyły w szerokie plecy jak w bęben. Troll przewrócił się do przodu, a Papillon stanął dęba na całą swą przerażającą wysokość i natychmiast opadł z powrotem. Czaszka trolla pękła z trzaskiem.

– Wielkie nieba – wysapał Carahue i przeżegnał się. Odwracając się do Holgera, powiedział wesoło – Nie było tak źle, co?

Holger popatrzył na swą mocno wgniecioną tarczę.

– Nie – odpowiedział nieco ponuro – tylko ja nieszczególnie się sprawiłem.

Klacz ciągle drżała, uspokoiła się jednak na tyle, że Alianora mogła gładzić jej szyję.

– Dalej, zabierajmy się stąd – powiedział Hugi. – Nos mi zaraz odpadnie z tego smrodu. Holger skinął głową.

– Wyjście nie powinno... Jezu Chryste!

Odcięta dłoń trolla biegła na swych palcach jak wielki, zielony pająk. Przez zaśmieconą podłogę, w górę na pień drzewa, czepiając się kory pazurem palca wskazującego, i znowu na dół, pełzła, aż znalazła przecięty nadgarstek. Zatrzymała się i szybko węń wrosła. Odłamki strzaskanej głowy trolla przemieściły się i połączyły w całość. Potwór stanął na nogi i znów się do nich wyszczerzył. Gasnąca pochodnia oświetlała czerwienią jego kły.

Ruszył na Holgera. Duńczyk przez chwilę miał ogromną ochotę rzucić się do ucieczki. Ale nawet nie miał którejdy. Splunął na ziemię i uniósł miecz. Gdy troll sięgnął ku niemu uderzył, wkładając w to wszystkie siły.

Ostrze miecza raz za razem cięło podobną do gałęzi dębu rękę. Żelazo dzwoniło w ciemnościach. Zielona posoka spływała obficie, czerniejąc w dymie, unoszącym się z ran. Miecz zdawał jarzyć się wewnętrznym blaskiem. W pewnej chwili cała ręka odpadła. Potoczyła się na stertę liści, odwróciła dłonią w dół i mozolnie ruszyła z powrotem.

Carahue atakował z prawej strony. Jego szabla zahaczyła o żebra trolla. Odcięty płat skóry upadł na ziemię, potem z młaskującym hałasem zaczął pełznąć do swego właściciela. Papillon stanął dęba i uderzył przednimi kopytami, zdzierając połowę twarzy trolla. Szczęki wylądowały mu pod nogami i zamknęły się na pęcinie. Ogier zarżał i zaczął gwałtownie wierzgać i podskakiwać. Carahue nie zdążył uskoczyć przed następnym uderzeniem jedynej ręki trolla, przyjął je na chroniony przez zbroję brzuch, przewrócił się i już nie wstał.

Rzeczywiście nie można go zabić!, pomyślał Holger. Co za miejsce na zakończenie życia. – Alianora, uciekaj!

– Nie. – Chwyciła pochodnię i podeszła do Papillona, który szalał, nie mogąc pozbyć się wgrzyżających mu się w nogę zębów. – Zdejmę to z ciebie! – krzyknęła. – Stań spokojnie, a zaraz cię uwolnię. Troll zgarnął z ziemi swą lewą rękę i przystawił ją na miejsce. Jego zredukowana do połowy twarz zdawała ciągle się uśmiechać. Holger znowu uderzył, i jeszcze raz, jednak głębokie rany natychmiast się zamykały. Potknął się i zatoczył do tyłu. Ponad ramieniem trolla zobaczył Alianorę. Uchyliła się przed grzmocącymi kopytami Papillona, chwyciła jego wodze i w jakiś sposób zmusiła go do chwilowego przynajmniej spokoju. Potem przyklękła, żeby spróbować rozewrzeć wczepione w nogę konia szczęki.

Gdy zbliżyła trzymaną w lewym ręku pochodnię, szczęki puściły. Zdziwiona wstała i cofnęła się kilka kroków.

– Ho – o – o – powiedział troll. Odwrócił się od Holgera, podszedł do kości, podniósł je i włożył dolną część twarzy. Zęby kłapały donośnie, gdy wracał, by znowu atakować Duńczyka.

Alianora krzyknęła. Uderzyła trolla pochodnią w plecy. Potwór zahuczał i opadł na cztery łapy. Wypalona pręga na jego skórze nie goiła się.

Holger nagle przypomniał sobie.

– Ogień! – krzyknął. – Podłóżcie ogień! Spalcie go!

Alianora rzuciła pochodnię na stertę słomy, która chwilę później stanęła w płomieniach. Dym wiercił w nosie i wyciskał łzy z oczu... czysty dym, pomyślał Holger nieprzytomnie, czyste płomienie, wypalą smród z tego grobu. Zebrał się w sobie i machnął mieczem.

Odcięta dłoń trolla przeleciała niemal pół jaskini. Alianora skoczyła za nią, podniosła. Dłoń wykręcała się w jej rękach, palce zwijały się jak zielone robaki, próbując wyrwać się na wolność. Alianora wrzuciła ją do ognia. Przez chwilę dłoń kręciła się w koło, nawet wypełzła z płomieni, ale była już poczerniała, niemal spalona. W końcu znieruchomiała, a ogień sięgnął po nią i dokończył swego dzieła.

Troll zawył płaczkliwie. Machnął ramieniem jak maczugą. Uderzony miecz wyskoczył Holgerowi z ręki. Duńczyk schylił się, żeby go podnieść. Troll przygniótł go swoim cielskiem. Przez chwilę Holger leżał, przytłoczony ciężarem, nie mogąc się poruszyć, nawet oddychać. Potem potwór uciekł, zaatakowany przez Papillona.

Carahue wstał ciężko i natychmiast ruszył do walki. Papillon zdołał już przewrócić trolla. Ostrze szabli spadło na nogę potwora, i jeszcze raz, i znowu, aż nie było już potrzeby. Ogień przeniósł się już na drewno. Jego trzaskanie zmieniło się w ryk, w jaskini było zupełnie jasno. Alianora musiała włożyć w to cała swą siłę, ale w końcu udało jej się wepchnąć wierzgającą nogę między płonące radośnie polana.

Holger wrócił do walki. Dłoń zacisnęła się na jego kostce... dłoń drugiej ręki, odciętej przez Carahue. Oderwał ją i rzucił w stronę ognia. W jakiś sposób wylądowała na bezpiecznym jeszcze miejscu i odpełzła, szukając schronienia pod pnem drzewa. Hugi zanurkował za nią. Potoczyli się po podłodze, krasnolud i ręka.

Głowa trolla była już odcięta. Kłapała zębami i śliniła się, gdy Holger nadziewał ją na sztych miecza i wrzucał w płomienie. Potoczyła się, płonąc, w stronę Alianory. Holger znowu wbił w nią miecz i tym razem, nie zważając na to, że może rozhartować ostrze, przytrzymał ją w ogniu tak długo, aż całkowicie się zwęgliła.

Pozostał jeszcze tułów. To było najtrudniejsze zadanie. Walcząc z oplatającymi ich, śliskimi węzami jelit Holger i Carahue potoczyli ciężki jak z ołowiu korpus w stronę buchającego żarem serca jaskini. Później Holger nie bardzo mógł sobie przypomnieć, jak to wszystko przebiegało. Ale udało im się.

Zobaczył ostatnią scenę tej walki. Hugi, zaczerwieniony i obszarpany, wrzucił rękę trolla w płomienie. Potem osunął się na ziemię i tak już został.

Alianora podbiegła do niego, uklękła obok.

– Jest ciężko ranny – krzyknęła. Holger ledwo słyszał jej głos poprzez huk pożaru. Żar i dym oszałamiały, niemal uniemożliwiały myślenie. – Hugi! Hugi!

– Lepiej zabierajmy się stąd, zanim to miejsce do końca zamieni się w piec – wysapał Carahue prosto w ucho Holgera. – Widzisz jak dym ucieka tamtym tunelem? To musi być droga do wyjścia. Niech Alianora niesie krasnoluda, ty mi pomóż przy tej mojej debilnej klaczy!

Wspólnymi siłami udało im się jakoś uspokoić przerażone zwierzę. Potem przedarli się przez

korytarz, w którym każdemu oddechowi towarzyszył ból i nie dający się opanować kaszel. W końcu wyszli na otwartą przestrzeń.

Jesteśmy na górze, pomyślał Holger z tępym zdumieniem. Nie wiedział jak długo przebywali pod ziemią, ale księżyc zbliżał się już do horyzontu na zachodzie.

Księżyc? Ach, tak. Tak, niebo się trochę przeczyszcilo, prawda? Wiatr rozegnał chmury. Wiatr, który jęczał na porośniętej sztywnej trawą równinie, szarpał wyschnięte krzewy, wyginał bezlistne gałęzie sterczących tu i ówdzie, poskręcanych drzew. To wszystko było szare, obleczone w upiorny blask księżyca i niemiłosiernie kłujących gwiazd. Holger nie mógł dostrzec dymu, wydobywającego się z dziury, z której wyszli, zbyt szybko był rozwiewany. Na południu, blisko jak ręką sięgnąć, płaskowyż kończył się, urywał na krawędzi przepaści, wypełnionej nieprzeniknioną ciemnością. Holgerowi zdawało się, że na północy widzi wyrastające w niebo szczyty, ale nie był pewien. Chłód przeniknął go do szpiku kości.

Carahue podszedł do niego, kulejąc. Holger zastanawiał ęć przez chwilę, czy on sam wygląda równie źle jak Saracen – podrapany, umazany krwią, czarny od dymu, we wgniecionym hełmie i podartym ubraniu; ze zniszczonym mieczem w dłoni. Niewyraźna w przyćmionym świetle, zmaltretowana sylwetka. Chmura przesłoniła księżyc i Holger przestał już cokolwiek widzieć.

– Czy są wszyscy? – wychrypiał.

Carahue odpowiedział tak cicho, że jego słowa niemal utonęły w niespokojnym szeleście trawy.

– Obawiam się, że Hugi wyszedł na tym naprawdę paskudnie.

– Nie – powiedział głos, w którym pobrzmiwało jeszcze basowe huczenie. – Dałem tyle, ilem sam dostat.

Księżyc znowu wyłonił się zza chmur. Holger ukląkł obok Alianory, trzymającej głowę krasoluda na kolanach. Strumień krwi, płynący obficie z jego boku stawał się słabszy z każdą chwilą.

– Hugi – szepnęła Alianora. – Ty nie możesz umrzeć. Nigdy w to nie uwierzę.

– Nie smuć się dziewczyno – wymamrotał. – Ten tam osiłek dobrze im za mnie odpłacił.

Holger nachylił się nad nim. W blasku księżyca, białym, odrealnionym, twarz krasoluda przypominała rzeźbę ze starego, bardzo ciemnego drewna. Tylko targana wiatrem broda i kilka pęcherzyków krwi na ustach jeszcze się poruszały. Rana w jego boku nie mogła zostać skutecznie opatrzona. Była zbyt wielka jak na tak małe ciało.

Hugi podniósł rękę i poklepał dłoń Alianory.

– No, nie płacz – westchnął. – Z pięć dziesiątków kobiet mojej własnej rasy znajdzie powód, żeby po mnie płakać. Ty jednak zawsze najdroższa nam byłaś. – Chwycił ustami powietrze. – Dałbym ci dobrą radę jeno już nie zdołam... hałas zbyt wielki w mojej czaszce...

Holger zdjął hełm.

– Ave Maria... – zaczął. Tu, w tych wietrznych górach nie mógł zrobić nic innego, a pewnie również nic lepszego. Prosił o łaskę i spokój dla duszy krasoluda, a gdy Hugi umarł, zamknął mu oczy i nakreślił nad nim znak krzyża.

Podniósł się, na chwilę zostawiając Alianorę samą. W tym czasie wraz z Carahue wygrzebali

mieczami płytką moglię. Potem, po złożeniu do niej ciała, przykryli ją ułożonymi w stertę kamieniami. Na szczycie tego prowizorycznego nagrobka Holger zatknął sztylet Hugiego, rękojeścią do góry. Gdzieś, mile od nich, zawyły wilki. Holger miał nadzieję, że nic znajdą grobu.

W końcu ludzie zajęli się opatrywaniem swoich ran.

– Ponieśliśmy ciężkie straty – powiedział Carahue. Po jego zwykle dobrym humorze nie zostało ani śladu. – Straciliśmy nie tylko przyjaciela, ale również konia i muła wraz z całym ładunkiem. Nasze miecze w tej chwili są tylko tępymi, żelaznymi maczugami, nasze zbroje niemal się rozpadają. Ponadto Alianora nie będzie mogła latać, aż jej skrzydło... jej ramię się zagoi.

Holger zapatrzył się w szary, niegościnnie krajobraz. Wiatr dmuchnął mu prosto w twarz.

– To było m o j e zadanie – powiedział. – Czuję się winny temu, że inni przeze mnie ucierpieli. Saracen patrzył na niego spokojnym wzrokiem.

– Myślę, że jest to zadanie wszystkich ludzi honoru – powiedział po dłuższej chwili.

– Posłuchaj mnie, Carahue, mogę ci właściwie powiedzieć, że występujemy przeciwko samej królowej Morgan le Fay. Ona dowie się, że dotarliśmy aż tutaj. Przypuszczam, że już udała się do Środkowego Świata, żeby zyskać pomoc tych, którzy są w stanie nas zatrzymać.

– Oni umieją naprawdę szybko podróżować, ci ze Środkowego Świata – powiedział Carahue. – Więc lepiej nie zatrzymujmy się teraz na dłuższy odpoczynek. A co będzie, gdy wreszcie dotrzemy do kościoła?

– Wtedy moje poszukiwania dobiegną końca... zapewne... i być może będziemy bezpieczni. A może nie. Nie wiem.

Holger zdecydował się opowiedzieć całą swoją historię, ale Carahue już się odwrócił i podchodził do swego konia. Czas, czas ucieka.

Alianora usiadła wraz z Holgerem na Papillonie. Jej ramiona oplotły talię Duńczyka z desperacką siłą. Gdy ruszyli, odwróciła się jeszcze na chwilę, żeby skinieniem ręki pożegnać tego, który tu zostawał. Nawet Papillon był zmęczony, a klacz niemal staniała się z wyczerpania. Podkowy dzwoniły na kamieniach, trawa rozstępowała się z suchym szeptem, szeleściły krzewy i trzeszczały martwe drzewa. Księżyc raził znad horyzontu oczy Holgera, jakby próbując go oślepić.

Po pewnym czasie Alianora spytała:

– Czy tam, pod przesmykiem, to był przypadek, że zostaliśmy napadnięci?

– Nie. – Holger obrzucił spojrzeniem bezbarwną, pociętą cieniami okolicę. Carahue był tylko sylwetką na tle gwiazd i chmur – prawdopodobnie spał w siodle, gdyż nie zareagował na to, co Holger powiedział: – Najpierw przyszła Morgan. Przysłała tubylców dopiero po naszej rozmowie.

– Po rozmowie? I co ci powiedziała?

– Ona... nic ważnego. Chciała po prostu, żebym się poddał.

– Myślę, że chciała znacznie więcej. Kiedyś była twoją kobietą. prawda?

– Tak – odpowiedział Holger beznamiętnym głosem.

– Mogłaby zapewnić ci wspaniałe życie.

– Powiedziałem jej, że wolę zostać z tobą.

– Och, mój kochany – szepnęła. – Ja... ja...

Słyszał, że dziewczyna stara się powstrzymać łzy.

– Co się stało? – spytał.

– Och, sama nie wiem. Nie powinnam być tak szczęśliwa, właśnie teraz, prawda? A jednak... a jednak nic nie mogę na to poradzić... – Wytarła łzy skrawkiem swej porwanej opończy.

– Ale... – Holger zająknął się. – Myślałem, że ty i Carahue...

– On? Owszem, jest bardzo miły. Jednak czy ty naprawdę pomyślałaś, Holgerze, naprawdę uwierzyłaś w to, że ja chcę czegoś więcej, niż tylko odwrócić jego uwagę od ciebie i twej tajemnicy? I może wzbudzić w tobie odrobinę zazdrości? Jak którakolwiek dziewczyna może pragnąć innego mężczyzny, niż ty? Holger wbił wzrok w Gwiazdę Polarną.

Alianora westchnęła głęboko i położyła dłonie na jego ramionach.

– Już nigdy więcej na ten temat nie rozmawiajmy – powiedziała stanowczo. – Ale jeśli kiedykolwiek zobaczę, że sięgasz po jakąś dziewczynę, Holgerze, będzie z tobą naprawdę krucho. – Zamilkła na chwilę. – Oczywiście po jakąś inną dziewczynę, a nie po mnie.

Ściągnął gwałtownie wodze, zatrzymując konia:

– Carahue! – krzyknął. – Obudź się!

– Co? – Saracen chwycił rękojeść szabli.

– Nasze zwierzęta – powiedział Holger, niezbyt zgodnie z tym, co miał na myśli. – Padną, jeżeli nie damy im chwili odpoczynku. Jeśli teraz odpoczniemy z godzinę, potem będziemy mogli jechać dużo szybciej.

Twarz Carahue była tylko owalną plamą, jego zbroja matowym połyskiem, ale można było zauważyć, jak Maur się zastanawia.

– Nie wiem. Jeżeli Morgan sprowadzi nam na głowy pościg, te konie mogą jeszcze pognać jak wicher. Z drugiej strony... – Wzruszył ramionami. – Niech będzie, jak chcesz.

Zeskoczyli na trawę. Alianora przytuliła się do ramienia Duńczyka. Holger skinął Saracenowi głową; mając nadzieję, że ten gest nie zostanie odczytany jako nadmierne zadowolenie z siebie. Przez chwilę Carahue wyglądał na bezmiernie zdziwionego, potem uśmiechnął się szeroko.

– Życzę ci powodzenia, przyjacielu – powiedział. Wyciągnął się wygodnie na trawie i zagwizdał niebu jakąś melodię.

Holger poszedł za Alianorą, daleko. Zapomniał o bólu i zmęczeniu. Słyszał bicie swego serca, nie gwałtowne, lecz równe, silne uderzenia, odczuwalne całym ciałem. Zatrzymali się, wzięli za ręce i stali tak, patrząc na siebie.

Płaskowyż kąpał się w blasku księżyca, szarym, znaczoneym pasami cieni, iskrzącym się na nocnym szronie. Nieliczne, jeszcze wędrujące po niebie chmury miały rozświetlone brzegi, pomiędzy nimi błyszczały gwiazdy. Wiatr ciągle zawodził natrętnie, ale Holger nie zwracał na to uwagi. Widział Alianorę jako sylwetkę z rtęci, z ruchomych, ślizgających się cieni i zimnego, białego światła. Krople rosy połyskiwały na jej włosach, w oczach był błask księżyca.

– Możemy już nie mieć okazji do rozmowy – powiedziała cicho. – Tak, może tak się zdarzyć – odpowiedział.

– Więc ci powiem teraz – kocham cię.

– I ja cię kocham.

– Och, mój najdroższy... – podeszła, a on ją mocno przytulił.

– Jakim byłem głupcem – powiedział po chwili. – Sam nie wiedziałem, czego pragnę. Myślałem, że kiedy to wszystko się skończy, będę mógł odejść, zostawiając cię tutaj. Byłem głupi.

Przebaczyła mu dłońmi, ustami, oczyma.

– Jeżeli jakoś uda nam się przez to przebrnąć – mówił – już się nie rozłączymy. Tutaj jest moje miejsce. Tutaj, przy tobie.

Blask księżyca odbijał się w jej łzach, lecz jej śmiech brzmiał szczęściem. – Nic już nie mów.

Znowu ją pocałował.

Krzyk Saracena oderwał ich od siebie. Słowa dolatywały do nich poszarpane przez wiatr, dźwięczały przez chwilę i ginęły w głębi jeziora księżycowego blasku.

– Szybko! Chodźcie szybko! Łowcy nadciągają!

Gdzieś daleko, na granicy słyszalności, grały rogi. Były w nich głosy wiatru i morza, i bicia wielkich skrzydeł, głosy jastrzębi, głosy kruków. I Holger wiedział, że to wyruszyli Dzicy Łowcy i że on jest zwierzyną.

Wskoczył na Papillona, a gdy ogier zerwał się do biegu, wciągnął Alianorę i posadził ją za sobą. Carahue już odjechał. Biała klacz i jeździec w poszarpanym, białym stroju pędzili jak duchy poprzez blask księżyca. Podkowy dźwięczały, dudniły o ziemię. Pochylili głowy, szykując się do długiej ucieczki.

Księżyc był srebrną poświatą z lewej strony. Płaskowyż płynący wokół, ciemność pod nogami, strzelające spod kopyt kamienie i syk trawy, grzechot gałęzi jak śmiech. Holger czuł, jak mięśnie konia naprężają się i wyciągają między jego udami. czuł na swojej talii ręce dziewczyny, prowadzącej go w kierunku, który znała z podniebnych wypraw. Żelazo na jego ciele dzwoniło, skóra poskrzypywała, wiatr huczał w uszach. Ponad to wszystko wybijał się ciężki oddech konia.

Wszędzie wokół były gwiazdy, niewyobrażalnie odległe na czarnym niebie. Łabędź błyszczał nad głowami, niewyraźny łuk Drogi Mlecznej rozsiewał swoje słońca, Wielki Wóz toczył się pod Gwiazdą Polarną. I wszystkie gwiazdy były zimne. Na północy Holger zaczynał wyraźnie widzieć szczyty, ostre jak miecze, ubrane w lód błyszczący odbitą księżycową poświatą. Z tyłu, za jego plecami kłębiła się ciemność.

Galop, galop, galop! Teraz już głosy rogów rozlegały się bliżej, jęczące, zawodzące. Nigdy jeszcze Holger nie zetknął się z taką udręką, jaką brzmiały rogi, w które dęli potępieni. Poprzez świst rozcinanego powietrza słyszał dudnienie kopyt na niebie i ujadanie nieśmiertelnych ogarów. Jeszcze bardziej pochylił się do przodu. Jego ciało kołysało się w rytm biegu, ręka trzymająca wodze leżała luźno na szyi Papillona, druga mocno trzymała Alianorę.

Szybko, szybko, przez szarą jak popiół równinę, pod ostatnimi chmurami i tonącym księżycem, galop, galop, galop. Smutek myśliwych wypełnił mu czaszkę, wielki i beznadziejny. Otrząsnął się i wyteżył oczy, starając się dojrzeć cel. Przed nimi była tylko równina, a za nią lodowe góry.

Carahue zaczął zostawać w tyle. Jego klacz się potknęła. Poderwał jej głowę do góry, spiął ją ostrogami. Holgerowi wydawało się, że słyszy za plecami tupot piekielnej sfory. Gdzieś blisko rozległo się opętańcze wycie.

Obejrzał się, ale rozwiane włosy Alianory kryły tych, którzy byli z tyłu. Chyba widział błysk metalu, a może to tylko złudzenie? A ten dźwięk, czy to grzechot nagich, pozbawionych ciała kości?

– Szybciej, szybciej, najlepszy z koni! Biegnij, przyjacielu, biegnij jak żaden koń dotychczas, bo razem z nami ścigani są wszyscy ludzie. Prędkiej, kochany, bo to wyścig z Czasem, bo to wyścig z hordami Chaosu. Niech cię Bóg wspomůže, niech da ci siły do biegu!

Ryk rogów niemal rozsadził mu czaszkę. Kopyta i psy i mnogie kości były tuż za plecami. Holger poczuł, że Papillon gubi rytm. Alianora zachwiała się, niemal spadła. Przyciągnął ją mocniej do siebie. Znowu gnali.

Tam w górze, przed nimi – co to było, ta ostra bryła na tle nieba. Kościół Świętego Grimmina. Dzicy Łowcy z wyciem runęli w dół. Słyszał łopot wielkich skrzydeł, widział ciemność, gęstniejącą

przed oczyma. Jezu Chryste, nie jestem godzien, ale pomóż mi teraz! Mur wyrósł na ich drodze. Papillon sprężył się i skoczył. Gdy Łowcy okrążyli ich, Holger poczuł straszliwy, niewyobrażalny chłód. godzący prosto w serce. Pomyślał, że chyba słyszy wiatr, świszczący wśród jego własnych żeber.

Czarny ogier uderzył w ziemię ze wstrząsem, który niemal wysadził ich z siodła. Carahue jechał tuż za nimi. Jednak białej klaczy nie udało się przesadzić muru. Cofnęła się. Jej jeździec skoczył z siodła, złapał krawędź i przerzucił nad nią ciało, spadając na kościelny dziedziniec. Holger usłyszał kwik klaczy, krótki i przeraźliwy, potem jej głos utonął w potępieńczym wyciu.

I nagle wszystko ucichło. Również wiatr zamilkł. Cisza uderzyła w nich jak wrzask.

Holger pochylił się i drżącą ręką chwycił dłoń Carahue. Drugą trzymał Alianorę. Rozejrzeli się wokół siebie.

Dziedziniec zarośnięty był trawą i krzakami, niemal przykrywającymi nagrobki, które pierścieniem otaczały zrujnowaną bryłę kościoła. W powietrzu unosiły się pasma mgły, jasne w miejscach, w których dotykał ich księżyc, niosąc wilgotne, cmentarne zapachy. Holger czuł, że Alianora drży z zimna.

Usłyszał dźwięk, dobiegający z cieni za kościołem. Stąpanie konia, idącego między grobami, konia starego i kulawego, i śmiertelnie zmęczonego, stąpanie nierówne, łamane potknięciami o nagrobki, jednak coraz bliższe, szukające drogi do niego. Strach ścisnął mu gardło, gdyż wiedział, że to Rumak Piekieł i kto na niego spojrzy, będzie musiał umrzeć. Papillon nie mógł się śpieszyć – nie tutaj, gdzie nagrobki sterczały z trawy jak palce, gotowe złapać go i zwalić na ziemię. Carahue ujął wodze i ostrożnie poprowadził ogiera. Szli między kamiennymi płytami, pochylonymi w pijackim zapomnieniu, z imionami dawno już zatartymi na ich twarzach. Stąpanie starego, kulawego konia było coraz głośniejsze, chwiejne, niepewne, ale uparcie zdążające im na spotkanie.

Mgły kłębiły się wokół kościoła, coraz bardziej zwarte, jakby chciały go ukryć przed wzrokiem niepożądanych gości. Dzwonnica leżała w gruzach, dach zawalił się do środka, ze ścian gapiły się na nich ślepe oczy okien. Zbliżali się powoli, wyczuwając drogę wśród spowitych w opary nagrobnych kamieni.

Kopyta Rumaka Piekieł zachrzęściły na żwirze obok nich. Ale byli już przy wejściu do kościoła. Duńczyk zeskoczył na ziemię. Alianora położyła się na grzbiecie Papillona, potem spadła w wyciągnięte ramiona Holgera. Niosąc ją, wszedł na starte przez czas stopnie.

– Ty także – powiedział Carahue łagodnie i poprowadził Papillona do środka.

Zatrzymali się w czymś, co kiedyś było nawą główną i spojrzeli w stronę ołtarza, na którym kładły się ostatnie blaski księżycowego światła. Krzyż ciągle wisiał, wysoko ponad szczątkami prezbiterium. Holger zobaczył twarz Chrystusa w wielkiej koronie gwiazd. Zdjął hełm i opadł na kolana. Chwilę potem dołączyli do niego Carahue i Alianura.

Usłyszeli, że Rumak Piekieł odchodzi. Gdy jego kalekie, zmęczone stąpanie rozpląnęło się w ciszy, powiał leciutki wiatr i mgła się rozproszyła. Holger pomyślał, że ten kościół wcale nie był martwy, zbeszczeszczony. Niebo było jego dachem, pulsujący życiem świat ścianami. Trwał jako symbol pokoju.

Podniósł się i przygarnął Alianorę. Wiedział, że jego poszukiwania się zakończyły i ta wiedza była bolesna. Patrzył przez chwilę na zwróconą ku niemu twarz dziewczyny, potem delikatnie ją

pocałował. Usłyszał cichy, łagodny głos Carahue:

– Co, tak naprawdę chcesz tutaj znaleźć?

Nie odpowiedział od razu. Podeszedł do ołtarza. W podłodze przed nim zobaczył dużą, kamienną płytę. Poczł dreszcz, gdy dotknął osadzonego w niej, żelaznego pierścienia.

– To – powiedział. Wyciągnął miecz, teraz już bezużyteczny jako broń i wetknął go w pierścień, tworząc dźwignię. Płyta była monstrualnie ciężka. Ostrze miecza wygięło się, grożąc pęknięciem.

– Pomóż mi – wysapał.

Carahue wepchnął szablę w otworzoną przez Duńczyka szczelinę. Chwilę później miecz złamał się z trzaskiem. Wspólnymi siłami unieśli płytę i przewrócili ją. Z głuchym grzmotem uderzyła w posadzkę i pękła na trzy części.

Alianora chwyciła Holgera za ramię. – Słuchaj! – szepnęła.

Uniósł głowę. Usłyszał odległy odgłos maszerującej armii. Było w nim potężne dudnienie kopyt, granie trąbek, przesiąknięty śmiercią szczęk broni.

– To hordy Chaosu, ruszające na ludzkość.

Holger spojrzał w otwór u swoich stóp. Przytłumione światło odbijało się błękitem od ogromnego czekającego tam miecza.

– Już nie musimy się bać – powiedział. – Temu, co jest w tym mieczu zamknięte nie zdołają stawić czoła. A gdy demony, których ci dzicy mają za bogów zostaną wypędzone, ich ludzcy sprzymierzeńcy stracą odwagę i uciekną. Zdążymy tam dotrzeć na czas.

– Kim ty jesteś? – szepnęła Alianora.

– Jeszcze nic wiem – odpowiedział. – Ale wkrótce będę wiedział.

Jeszcze zwlekał. Miał w sobie Moc, ale to, przed czym teraz stał przekraczało ludzką miarę i ludzkie nadzieje. Jeszcze nie znalazł dość odwagi, żeby ująć tę rękojęść.

Spojrzał w górę, na postać rozpiętą na krzyżu. Potem przykląkł, a gdy wstał, trzymał już Cortanę w dłoni.

– Znam ten miecz – wyszeptał Carahue. Holger poczuł, jak rozplywa się maskująca go dotąd iluzja. Wróciła również pamięć, przynosząc mu wiedzę o sobie.

Stanęli obok niego. Alianora przytuliła się do jego boku, Carahue położył mu dłoń na ramieniu. Papillon delikatnie dotknął nosem jego policzka.

– Cokolwiek się zdarzy, cokolwiek się ze mną stanie, wiedzcie, że wy wrócicie bezpiecznie i że zawsze będzie z wami moja miłość.

– Szukałem cię, przyjacielu – powiedział Carahue. – Szukałem cię, Ogier.

– Kocham się. Holgerze – powiedziała Alianora.

Ogier Duńczyk, Holger Danske, którego stare francuskie kroniki znają pod imieniem Ogier le Danois, wskoczył na siodło. Był duńskim księciem, obdarowanym w kołysce siłą, szczęściem i miłością przez tych mieszkańców Faerie, którzy życzyli ludziom dobrze. Był tym, który poszedł służyć Karolowi Wielkiemu i stał się jednym z jego najznamienitszych rycerzy, stał się obrońcą chrześcijaństwa i ludzkości. Był tym, który pokonał w walce króla Carahue z Mauretanii i został jego

przyjacielem, i wędrował z nim długie lata. Był tym, którego kochała Morgan le Fay i którego, gdy się zestarzał, wzięła ze sobą na Avalon, żeby zwrócić mu młodość. Tam z nią mieszkał, aż w sto lat później poganie zagrozili Francji i wtedy wrócił, żeby zadać im klęskę. A potem, w godzinie swego tryumfu, został zabrany spośród śmiertelnych i przeniesiony w nieznane.

Niektórzy twierdzą, że czeka na Avalonie, gdzie czas nie ma władzy, na chwilę, w której Francja znajdzie się w niebezpieczeństwie, a inni mówią, że śpi pod zamkiem Kronborg i obudzi się, gdy będzie w potrzebie Dania, ale nikt nie pamięta, że jest i zawsze był człowiekiem, z przyziemnymi potrzebami i ludzkimi słabościami. Dla wszystkich jest po prostu Obrońcą.

Wyjechał z kościoła na płaskowyż i to było tak, jakby wraz z nim jechał świt.

EPILOG

Zaraz po zakończeniu wojny dostałem list od Holgera Carlsena, w którym pisał, że udało mu się przeżyć. Potem przez długi czas nie miałem od niego żadnej wiadomości, aż do pewnego dnia dwa lata temu, kiedy to wkroczył do mojego biura.

Pomyślałem sobie, że bardzo się zmienił, stał się znacznie cichszy i wyglądał dużo starzej, ale niezbyt mnie to zaskoczyło, gdyż wiedziałem co musiał przejść walcząc w partyzantce. Wyjaśnił mi, że znowu znalazł sobie pracę w Ameryce.

– Po prostu zarabiam na życie – powiedział. – Natomiast naprawdę zależy mi na przeszukaniu waszych antykwariatów. Znalazłem trochę interesujących mnie woluminów w Londynie, Paryżu i Rzymie, ale to jeszcze nie wystarczy.

– To coś zupełnie nowego! – wykrzyknąłem. – Ty stałeś się bibliofilem? Zaśmiał się ale niezbyt wesoło.

– Niezupełnie. Opowiem ci o tym przy jakiejś okazji. – I zaczął mnie wypytywać o wspólnych przyjaciół z dawnych czasów. Pobyt w Londynie wyraźnie poprawił jego akcent.

Ta inna okazja nadarzyła się dość prędko. Przypuszczam, że bardzo potrzebował jakiegoś życzliwego słuchacza. Został przyjęty do Kościoła katolickiego – biorąc pod uwagę jego poprzednie poglądy w tym względzie, uważam ten fakt za mocny dowód, przemawiający za prawdziwością jego opowieści – ale oczywiście konfesjonał nie służył tego typu zwierzeniom. Musiał z siebie wyrzucić całą tę historię, tak jak on ją widział.

– Nie spodziewam się, że uwierzysz choćby w jedno moje słowo – powiedział pewnego popołudnia, gdy siedzieliśmy w moim mieszkaniu nad piwem i kanapkami. – Wysłuchaj mnie jednak, dobrze? Skończył opowiadać nad ranem. Ulice ziały pustką, a miejskie światła były tak przyćmione, że mogliśmy zobaczyć kilka gwiazd na niebie. Nalał sobie piwa i patrzył w nie długą chwilę, zanim wypił.

– A w jaki sposób wróciłeś? – spytałem, dość cicho, nie chcąc zbyt gwałtownie wyrywać go z zamyślenia. Spojrzał na mnie jak lunatyk.

– Zupełnie bezwiednie. Nagle byłam tutaj – powiedział. – Zjechałem na równiny i rozgoniłem hordy Chaosu, pędząc je przed sobą. W pewnej chwili zaczęło mi się wydawać, że jednocześnie walczę na plaży, w innym świecie i innym czasie. A potem już tam byłem, zupełnie nagi. Moje ubranie nie przeniosło się wraz ze mną i leżało teraz u moich stóp. Drasnęła mnie jedna czy dwie kule, ale nic poważnego. Poruszałem się piekielnie szybko. Szybciej, niż ma prawo ruszać się ludzkie ciało. Lekarze twierdzą, że w warunkach ostatecznego stresu coś takiego może się zdarzyć. Sprawa adrenaliny, czy czegoś tam. W każdym razie wpadłem między Niemców, wyrwałem jednemu z nich karabin i zacząłem pracować nim jak maczugą. Wkrótce było już po wszystkim.

Skrzywił się, wspomniawszy tę nieprzyjemną scenę, ale po chwili ciągnął dalej:

– Te dwa światy – a właściwie dużo więcej, z tego co mi wiadomo – są w pewien sposób jednym i tym samym. Toczyła się w nich ta sama walka. Tutaj z nazistami, tam ze Środkowym Światem, ale w obu przypadkach walka Ładu przeciw Chaosowi, starej, dzikiej mocy, dążącej ślepo do zniszczenia człowieka i wszystkich jego dzieł. W obu światach był to czas potrzebny dla Danii i

Francji. Więc Ogier pojawił się w obu, tak jak musiał. Tutaj, w tym wszechświecie, jego działania nie były może tak malownicze jedynie jakaś plaża i człowiek w łódce, uciekający, żeby pomóc Aliantom. Ale ucieczka tego człowieka była konieczna. W świetle wszystkiego, co się zdarzyło od tamtej pory łatwo jest się domyśleć dlaczego. Więc Holger Danske dopilnował, żeby ten człowiek wy dostał się na wolność. W tamtym, karolińskim świecie przebywałem... kilka tygodni?... a tutaj wróciłem dosłownie w tę samą sekundę, z której zostałem zabrany. Czas jest zabawny.

– A co się z tobą działo później? – nalegałem. Zaśmiał się cicho.

– Nieźle się namęczyłem, wyjaśniając w jaki sposób i po co rozebrałem się do naga przed atakiem na Niemców. Jednak nie mieliśmy zbyt dużo czasu i rozdzieliliśmy się, zanim zdołałem zapłacić się zupełnie beznadziejnie. Od tamtej pory byłem tylko zwyczajnym Holgerem Carlsenem. A co innego mi pozostawało? – Wzruszył ramionami. – Gdy doszedłem do pełnej wiedzy o sobie, gdy przekonałem się, że naprawdę jestem Obrońcą, rozpędziłem siły Chaosu w tamtym świecie. Potem, mocą ciężącego na mnie zaklęcia zostałem sprowadzony z powrotem, żeby tutaj dokończyć dzieła. Kiedy w obu światach kryzys już minął, zadanie było wykonane... no cóż, powróciła równowaga i nie było już rozchwianych mocy, które by mogły wysłać mnie poprzez czasoprzestrzeń. Więc zostałem.

Spojrzał na mnie zmęczonymi oczyma.

– Wiem, co teraz myślisz – powiedział. – Halucynacje, omamy i tak dalej. Nie mam do ciebie pretensji. Dziękuję ci jednak, że mnie wysłuchałeś.

– Wcale nie jestem taki pewny, co mam myśleć – odpowiedziałem. – Powiedz mi jeszcze, dlaczego szukasz książek?

– Nie książek, a ksiąg, starych. Grimoires. Traktatów na temat magii. Morgan potrafiła mnie wysłać do innego świata. – Nagle jego pięść wylądowała z mocą na blacie stołu: – I ja znajdę sposób, żeby wrócić!

Od tamtej pory nie widziałem go, ani nie miałem od niego żadnej wiadomości. Co cóż, zdarza się, że ludzie znikają. Być może udało mu się przenieść do świata, o którym mówił – zakładając, że jego opowieść była prawdziwa, a wolałbym się powstrzymać od jakichś ostatecznych sądów w tej kwestii. Mam nadzieję, że tak się stało.

Tymczasem jednak zbierają się nowe burze. I może nadejść czas, kiedy znowu będziemy potrzebowali Ogiera Duńczyka

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[PROLOG.. 3](#)

[1. 8](#)

[2. 15](#)

[3. 21](#)

[4. 29](#)

[5. 35](#)

[6. 40](#)

[7. 44](#)

[8. 53](#)

[9. 60](#)

[10. 69](#)

[11. 75](#)

[12. 82](#)

[13. 95](#)

[14. 103](#)

[15. 115](#)

[16. 124](#)

[17. 131](#)

[18. 138](#)

[19. 143](#)

[20. 153](#)

[21. 160](#)

[22. 170](#)

[23. 180](#)

[24. 185](#)

[EPILOG.. 190](#)